



Format literacki

NR 1 (2021)

POEZJA – PROZA – ESEJE – SZTUKI WIZUALNE

ISSN 2720-0892

KWARTALNIK DARMOWY



W numerze, m.in.: Andrzej Więckowski: Bałwochwalstwo przedmiotu | Henryk Waniek: Lapis philosophorum |
Urszula M. Benka: Brama do pustki | Stanisław Karolewski: Ciemność | Waldemar Okoń: Dniewnik |
Jakub Skrzypczak: Pustka i milczenie



Format literacki

NR 1 (2021)

POEZJA – PROZA – ESEJE – SZTUKI WIZUALNE

ISSN 2720-0892

KWARTALNIK BEZPŁATNY

W numerze, m.in.: Andrzej Więckowski: Bałwochwalstwo przedmiotu | Henryk Waniek: Lapis philosophorum |
Urszula M. Benka: Brama do pustki | Stanisław Karolewski: Ciemność | Waldemar Okoń: Dniownik |
Jakub Skrzypczak: Pustka i milczenie

Format literacki

Wydawcy:
Stowarzyszenie Pisarzy Polskich — Oddział we Wrocławiu
Prezes: prof. Waldemar Okoń

Ośrodek Kultury i Sztuki we Wrocławiu | Instytucja Kultury Samorządu
Województwa Dolnośląskiego
Dyrektor: Igor Wójcik | Rynek-Ratusz 24, 50-101 Wrocław
www.okis.pl, sekretariat@okis.pl

Redakcja:
Redaktor Naczelny
Andrzej Więckowski
e-mail: a.wieckowski@gmail.com

Z-ca red. naczelnego, Sekretarz Redakcji
Andrzej Saj
e-mail: aasaj@interia.pl

Zespół redakcyjny:
Urszula M. Benka, Waldemar Okoń, Krzysztof Rudowski

Stali współpracownicy:
Monika Braun, Piotr J. Fereński, Janusz Jaroszewski, Gabriel L. Kamiński,
Stanisław Karolewski, Leszek Koczanowicz, Andrzej Kostołowski,
Roger Piaskowski, Marek Śnieciński, Henryk Waniek, Igor Wójcik,
Tadeusz Złotorzycki

Opracowanie graficzne: Artpunkt

Okładka: Henryk Waniek, *ŚWIT*, 1996, olej na płótnie i desce. 70 x 70 cm

Korekta: Natalia Karnecka

Druk: Jaks

Nakład: 350 egz.

Za finansowe wsparcie dziękujemy Panu Prezydentowi
i Wydziałowi Kultury Urzędu Miejskiego Wrocławia

Projekt współfinansowany z Budżetu Województwa Dolnośląskiego

Dolnośląskie pismo artystyczno-literackie pod patronatem:
Urzędu Miasta Wrocławia,
Akademii Sztuk Pięknych im. Eugeniusza Gepperta we Wrocławiu,
Instytutu Kulturoznawstwa Uniwersytetu Wrocławskiego

Kwartalnik bezpłatny

Spis treści

Od redaktora — 4
Henryk Waniek Lapis Philosophorum — 10
Stanisław Karolewski Ciemność — 26
Waldemar Okoń Dniownik — 36
Urszula M. Benka Brama pustki — 54
Andrzej Więckowski Bałwochwalstwo przedmiotów — 74
Jakub Skrzypczak Zwierciadło — 90
Jakub Skrzypczak Pustka i milczenie — 98
Monika Braun Czyja to opowieść — 108
Monika Braun Twarz od środka — 120
Janusz Jaroszewski Wielkanocna Apokalipsa — 130
Janusz Jaroszewski Projekcja — 138
Janusz Gahuska Majowe pola — 144
Janusz Jano Mieleczarek Trąbka — 148
Janusz Jano Mieleczarek Tyle czasu, ile życia — 154
Krzysztof Rudowski Sen o poezji i modlitwie — 162
Andrzej Saj Glosa do „Pasji...” U. M. Benki — 166
Krzysztof Rudowski Teatr mój widzę... — 176
Stefan Jurkowski Im mniej, tym więcej — 180
Tadeusz Złotorzycki Marginalny przegląd wydawniczy — 186
UMB Kronika kulturalna — 190
Andrzej Saj Malarskie porządkowanie chaosu — 196

Prace prezentowane w numerze: **Henryk Waniek**

Wrocław miasto spotkań



FORMAT LITERACKI

Pisma zanim powstaną w dojrzałym kształcie, najczęściej już istnieją w środowisku piszących jako mniej lub bardziej salonowe miejsce spotkań. Bywa, że stolik w kawiarni przekształca się w brulion, przyjacielskie rozmowy i recytacje stają się nagle publiczne w druku, wspólne spostrzeżenia programem, a dykcja środowiskowego dialektu stylem.

Format Literacki zanim zaczął, a właściwie zaczyna, być tym oto w tej chwili brulionem oznaczonym numerem jeden z ilustracją Henryka Wańka na okładce, funkcjonował pod tym samym tytułem już dwukrotnie jako wkładka do „Formatu” artystycznego kierowanego przez Andrzeja Saja, bez którego inicjującej roli Format Literacki by nie powstał. Najpierw rozpoczął się w drugiej połowie lat dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku jako kilkustronicowy dodatek pod redakcją Uli Benki (z Rilkiem i Celanem), a potem po kilku latach przerwy w roku 2016 jako dodatek już kilkudziesięciostronicowy, któremu ze względu na objętość nie było wygodnie w „Formacie” artystycznym. Więc również dlatego ewoluował w brulion osobny.

Przede wszystkim jednak dlatego, że wzrosła jego autonomia i odrębność. Wrocławskość była tej autonomii jedną z przyczyn. Jest dosyć oczywiste, że opisanie świata w sztuce możliwe jest tylko z perspektywy lokalnej. Że jedynie tutaj i w tej chwili, a nie gdziekolwiek i nigdy kiedykolwiek może, choć wcale nie musi, otworzyć się w sztuce „światowość” znaczeń i symboli, tęcza przymierza, Boski znak, podniebny most do wszystkiego i autostrada do Centrum. I mimo że jest to powszechnie znane, iż tylko konkret tego, co bezpośrednio i dotykalne, daje życie powszechnemu odbiorowi dzieła, jest to na ogół, w kompleksie prowincjonalności, zapominane. A przecież Wrocław nawet oderwany od swoich historycznych kontekstów (jeżeli to jest w ogóle możliwe), samą swoją nagą urbanistyczną substancją jest „światowy”, „centralny”, „metropolitalny”, a na Rynku czy Ostrowie Tumskim także dla najmniej czytanego turysty jest sceną wielką.

Był zresztą bez żadnej przesady w latach siedemdziesiątych ubiegłego wieku światową stolicą teatru, nie tylko dzięki Grotowskiemu i Tomaszewskiemu, ale także dzięki wielu innym teatralnym zjawiskom. Wrocław wówczas kształtował teatr wszędzie, w Nowym Jorku i Londynie, w Berlinie i San Francisco, mimo siermięgi realnego socjalizmu, cenzury i opresyjności tamtego czasu. Miał Wrocław wtedy swoje legendy

i mityczne postacie, które wyznaczały trakty duchowych i fizycznych peregrynacji. Co trzeba opisać absolutnie koniecznie z dzisiejszej perspektywy!

Miał też wtedy jeszcze nienazwane ogromne złoża, które promieniowały i czyniły go miejscem wyjątkowym w niesłychanej skali, gdzie wszystko przekraczało granice. Opis tych złóż jest właśnie sprawą główną i ogromną.

W porządku faktów wszyscy to wiedzą: ze straszliwie zrujnowanego miasta usunięto dotychczasowych mieszkańców, Niemców (czyli niemych), i wprowadzono nowych, Polaków, spędzonych z odebranych Polakom ziem na wschodzie, którzy z tego krajobrazu ruin, do których ich przywieziono, wmawiając im ziemię obiecaną, niewiele rozumieli. W szerszym, dolnośląskim krajobrazie hreczkosieje z Polesia nic nie rozumieli z gospodarstw i wiejskich urzędów, na których ich osiedlono. Wszyscy mieszkali „wielopoziomowo” u siebie na cudzym, w sensie własności mienia i właściwości kultury. Na stałe, ale tymczasowo. Jeśli inwestowali, w skali prywatnej czy społecznej, to, oczywiście bezwiednie, wbrew miejscu, przeciwko nawarstwionej historii. Wbijali jej w serce nóż ignorancji. Jeśli coś tu było po prostu, to po prostu Sami Swoi na nieswoim. Śmiechem Się To Oswaja. Się.

Fakty daje się łatwo sztancować do znudzenia, a obudowane propagandowym stereotypem Ziem Odzyskanych, przestały komunikować jakąkolwiek treść. I polega to nie tylko na skutecznej nachalności propagandowego stereotypu, ale też na tym przede wszystkim, że indywidualne treści, które są do przekazania w tej ogromnej sprawie, właśnie ze względu na ich apokaliptyczny wymiar nie dają się wyrazić, są zbyt trudne i oniemiające, bezwolne ukrywają się w stereotypie, upadają w tak zwany goły fakt, albo krążą w Pętli. Stereotyp bierze w niewolę oniemiały krzyk i zakłada nań czapkę niewidkę historycznych wydarzeń. Stereotyp dlatego w tym przypadku jest tak skuteczny, że ukrywa trudne do wypowiedzenia, pozwala na bezproblemowe ominięcie dramatu. Dramatu obu stron. Tych winnych – to zrozumiałe. Tych zwycięzców osiadłych w ziemi obiecanej – przemilczane w gadulstwie propagandy przyjętej do „własnego rozumu”.

Fałsz dotyczy niestety także demaskacji stereotypu „ziem odzyskanych” po upadku PRL-u. Temat wcześniej zakazany polityczną cenzurą, ale też stanowiący wewnętrzne, indywidualnie przyjęte tabu, żeby się nie zaplątać w gęstwinie problemów, okazał się łatwiejszy do otwarcia w społecznej debacie, niż to się na początku wydawało. Ale odkrywanie głębi nie zdewastowanej jeszcze niemieckości odbywało się właściwie tylko w przestrzeni materialnej, architektonicznej, bez ludzi, którzy tę przestrzeń stworzyli i w tej przestrzeni później rozwijali także narodowy socjalizm. I przecież żyjąc od pokoleń już w tej założonej kiedyś i kształtowanej przez wieki przestrzeni kulturowego krajobrazu, powinniśmy chcieć go zrozumieć, powinniśmy go uczynić swoim własnym, a nie przywłaszczonym.

Restauracji zabytków nie towarzyszyło odkrywanie kulturowych podstaw cywilizacji niemieckiej (chodzi tutaj o poziom społecznej rozpoznawalności, a nie o wąskie, często znamienite grono specjalistów). Są kamienie, a nie ma ludzi, którzy je postavili; nie ma myśli, która im przyświecała. Wśród kamieni są też macewy, kolejny wielki problem polskiej kultury, tutaj splątany w szczególny sposób. Niemal kompletny brak źródeł chrześcijaństwa w chrześcijańskiej kulturze to zjawisko zadziwiające, ale przecież nie na tyle, by wprawiało w oniemiałe osłupienie. Mimo wielkiej pracy wielu wspaniałych ludzi macewy w okolicy naszej są milczące.

Wrocław (i szerzej: Dolny Śląsk, i szerzej: Śląsk) powiększa mimo wszystko powoli swoją duchową dziedzinę, ale jeszcze czeka na swoje opowieści, które oddadzą mu jego wielkość w historii świata. Ileż tu jeszcze do opowiedzenia we wrocławskiej księdze rodzaju o raju ruin, w którym wzrastało pokolenie tużpowojenne!? Ileż tu ksiąg wyjścia z kraju niewoli i kazachstanów wędrówek po nieludzkiej ziemi, iluż tu kapłanów teatru i poezji, proroków i poetów wyklętych, którzy czekają na swój los opowiedziany wreszcie!? Wiatr te strzępy opowieści powiewa po ulicach, przegania je przez nocne rodaków rozmowy, zapowiada je w książkach i podczas sympozjonów, ale one, te opowieści, jeszcze czekają na siebie, jeszcze czekają na słuchaczy, i gdy wszyscy zbiorą się współ, usta wypowiadające i uszy gotowe na słowa, to nagle zawiążą się w Wrocław solidnie.

Na tyle solidnie, że Wrocław odnajdzie, taką mamy pewność, zagubioną synergię swoich własnych środowisk artystycznych, że nie będzie się sam pomijał w polityce kulturalnej i sam, już bez zaciężnych kondotierów wątpliwego autoramentu, suwerennie będzie decydował o swoich dziełach. A dzieła literackie, śmiesznie tanie w utrzymaniu dla mecenasów państwowego czy samorządowego w porównaniu z innymi sztukami, będą wspierane mądrze i autonomicznie. Formułowanie w języku zjawisk kultury ma znaczenie fundamentalne społecznie, nawet jeśli rozlega się bardzo elitarnie. Formułowanie w języku zjawisk kultury nie może się też ograniczać do jednoosobowej dominacji poprawności polityczno-kulturalnej, ono bowiem musi być trudną i niewygodną dyskusją (jakie banały sytuacja obecna wkłada mi w usta!).

Henryk Waniek, którego obrazy ilustrują i którego esej otwiera pierwszy numer (książkowy) Formatu Literackiego, zwykł często powtarzać, że już go właściwie nic nie interesuje z wyjątkiem Śląska (Dolnego Śląska, Wrocławia), bo jest ta ziemia węzłem historii świata i mieści się w niej wszystko. Nie jest to cytat, ale myśl wspólna wszystkim autorom Formatu Literackiego i w kreowaniu tej myśli wszyscy są wytrwali, a niektórzy nawet zaciekli, co wróży powodzenie tej myśli, tej idei, której u Wańka patronuje zawsze Hermes.

Posłaniec, zwiadowca, patron drogi i odległości, przewodnik, ale też rozbójnik i złodziej, opiekun szabrowników i poszukiwaczy skarbów, jest figurą często

spotykaną w pierwszych dziesięcioleciach po wojnie. Trudno sobie wyobrazić lepszego opiekuna tamtych wrocławskich i dolnośląskich czasów: trójkątów bermudzkich na niezmierzonych ruinach, małych gajów, szabrowników, ukrywających się AK-owców, ale też powstawania Uniwersytetu i innych wyższych uczelni. Zapomina się, że Hermes, ten złodziej, ale na Olimpie, jest także wynalazcą pisma i liczb. To są czasy do narracyjnej penetracji, one jeszcze nie zostały opowiedziane w pełni, co tu już od kilku chwil sugeruję.

Od lat siedemdziesiątych wszakże podróżnicy po Wrocławiu i Dolnym Śląsku na wielkich podwórkach miasta i górskich ścieżkach Sudetów spotykają jeszcze Hermesa, ale sprawia on wrażenie zagubionego, co jest paradoksem wymagającym zbadania. Znamy temat twierdzą, że Hermes myli się obserwatorom z Orfeuszem. Być może z tego powodu, że w ikonografii najbardziej znane jest przedstawienie Orfeusza, Hermesa oraz Eurydyki, którzy wychodzą z Podziemi ku światłu. I jeśli ustalenie, kto jest Eurydyką nie sprawia trudności, to kłopot może być z ustaleniem tożsamości pozostałych mężczyzn. Gdyby Hermes na tym słynnym przedstawieniu miał swój uskrzydłony kapelusz, uskrzydłone sandały i kaduceusz, mogłoby to ułatwić zadanie. Ale Hermes zostawiał swoje akcesoria u wrót Hadesu i wchodził do antycznego piekła na bosaka. Orfeusz jest przedstawiony wprowadzić w czapce frygijskiej, ale jest to szczegół zapomniany.

Ważniejsze jest, że Hermes jest świadkiem tego mitycznego zdarzenia, a Orfeusz jego uczestnikiem. Bycie tuż obok, ale w oddaleniu bycia świadkiem, sprawia, że Hermes, mimo że jest psychopompem, staje się statystą, a główną rolę amanta z rozdartym sercem i utraconą głową gra Orfeusz. Złodziej i handlarz, wędrowiec i uciekinier, ale też wynalazca pisma i liczb, o czym nie zapominamy, ustępuje zakochanemu poecie, ale też twórcy orfizmu, którego twórczym kontynuatorem był Pitagoras.

Ten melodramat o Orfeuszu i Eurydyce jest już na zawsze interesujący i grać go będą w poematach i dramatach we wszystkich możliwych wariantach do końca świata. Format Literacki jest otwarty na tę wzorcową tragedię ludzkości i powita z radością każdy niuans w tej smutnej historii. Głównie jednak z tego powodu jesteśmy entuzjastami tego mitu, że poczynny romans splata się w nim z najbardziej zasadniczymi pytaniami filozofii. Że zmusza wręcz do filozofowania na wysokim (piekielnym) poziomie. W jego świetle nawet operetka jest w stanie dyskutować z Heideggerem, a zrozpaczony kochanek zadawać pytania Levinasowi o nieskończoność oddalenia Innego.

Jest w tym też charakterystyczna forma „wrocławskości” w poezji, mianowicie liryzm zanurzony w ścisłości, w matematycznej zasadzie istnienia. Jakaś taka wrocławska pitagorejskość, widoczna w wierszach pisanych w tym mieście. W różny sposób przejawia się ta cecha u wrocławskich poetów: od egzystencjalnego równania pisania krwią i ciałem u Wojaczka, po traktaty poetyckiej logiki formalnej Karpowicza. Kolejny wielki temat stojący przed autorami Formatu Literackiego.

Przed Urszulą Benką, która w swoich esejach odsłania otchłanie znaczeń w zastygłych, wydawałoby się, formach języka i stylu; nikt tak nie penetruje genetyki mitu, jego symboli i metafor, jak ta wybitna poetka, która choć wśród wtajemniczonych za wybitną jest uznawana, to i tak zbyt mała miara i krzywdząca do jej wielkości jest przykładana. Przed Waldemarem Okoniem, cierpliwym znawcą przeciekającego przez palce czasu, który mijanie oplata odciskami refleksji, obejmuje nieubłagane przemijające obserwacjami, żeby najmniej czasu upłynęło bez ludzkiego znamienia i jest w tym rozległy do granic widzenia, ten kronikarz historii lirycznej, zarazem prozaik i poeta – i to z każdej perspektywy. Przed Andrzejem Sajem, najmłodszym wśród starych poetów, orfejskiej tragedii pieśniarzem, który „karmi sarny pączkami róż i szeptem deklamuje Rilkego”, który osobiste ścieżki uczuć (młody poeta) zamienia w szerokie trakty formy (stary poeta). Przed Krzysztofem Rudowskim, który stoi ukryty wśród opowiadanych przez narratora wydarzeń i dyryguje wzrokiem; Januszem Jaroszewskim, reporterem codziennej apokalipsy; Stanisławem Karolewskim, twórcą znakomitej, coraz większej (w każdym sensie) prozy; Ewą Sonnenberg, Gabrielem Kamińskim, Tadeuszem Złotorzyckim i wieloma innymi wybitnymi pisarzami, których nazwiska będą wymieniać ich dzieła. Wrocław literacki jest ogromny.

Wrocław literacki jest ogromny. ■

REDAKTOR



Lapis philosophorum

Na skrzyżowaniu ścieżek w brwinowskim ogrodzie, na niewielkim cokole postawiłem kamień. Jeden z kilkuset, które jeszcze w latach 50. zwieziono tu jako odpady z Muzeum Ziemi. Inne sam przydźwigałem. Kamień wybrałem głównie z powodów estetycznych, ale może też głębszych. Całą tę skromną konstrukcję nazwałem pomnikiem Kamienia. Korci mnie, by dodać, że *filozoficznego*, ale czy to nie brzmi pretensjonalnie? Inna rzecz, że nie stałby się przez to samym Kamieniem Filozoficznym, tak jak pomnik Kanta nie jest samym Kantem. Skoro pomnik nie jest i być nie może tożsamy ze swoim przedmiotem, więc niechby i nawet Kamienia Filozoficznego. Lecz pewna jest jedynie jego przynależność do geologii. Niech zatem będzie znakiem czegoś, co istnieje gdzie indziej. Poza geologią i w ogóle. I niech tylko tyle będzie w tym filozofii.

Gdziekolwiek spojrzymy, jest tego wielka ilość. Duże, średnie i małe. Pod lupą nawet ziarno piasku może się wydać kamieniem, którym w istocie jest. W końcu cały glob (i nie tylko ten nasz) to jedna kamienna formacja, ciśnięta na wieki wieków. *Orbis orbiturans*. Krótka mówiąc, jest tych różnych kamieni cała kupa. Oto kamień węgielny, na którym będą opierać się inne. Węgiel kamienny – dlaczego nie? Kamienie szlachetne w wielości odmian i cen. Prostaki kamień przydrożny, któremu nadano kształt krzyża. Czy też w kształt koła zaklęty kamień młyński. Kamień na kamieniu. Niech pierwszy rzuci kamieniem. Kamiennie serce. Kamienny wzrok. Nierozważnie rzucone słowo, powracające kamieniem. Być może nerkowym lub żółciowym. Istny kamień obrazy obok kamienia milowego. I inne, do niczego niepodobne, układające się w stos, który niech każdy sobie sam dopowiada. Mając już jakieś wyobrażenie tego usypiska, widzę na jego szczycie (czy jednak widzę na pewno?) jeszcze jeden, który powinien tam być. Najważniejszy. Ale czy jest tam rzeczywiście?

Wymownie omijają ten temat piękne ryciny z traktatów, których obfitość zostawił po sobie wiek XVII. Syn sławnego Balthasara Klossowskiego de Rola, czyli Balthusa, nieco skandalizujący Stanislas, zwany Stash, sporządził ich wielką antologię – *The Golden Game*. Lecz wszystkie obrazki pochodzące stamtąd i skądinąd, jednomyślnie uchylają się przed unaocznieniem tego szczytowego kamienia, mimo

że bezustannie do niego nawiązują. Nie przedstawia go żaden obrazek. Pozostaje niewidoczny, jakby istniał poza wszelką materią i formą. Więc z tych obrazków, ale też towarzyszących im tekstów, niewiele się o nim dowiemy. Same barokowe, kręte metafory. Poza tym, że istnieje – niewiele więcej. Zatem to właśnie muszę wyznać – niewiele wiem. Prawie nic. A mówiąc dokładniej, w ogóle nic nie wiem i może wcale nie powinienem tego pisać. A przecież dopiero zaczynam. Sam nie wiem.

Pomiędzy wiekiem III i IV n.e. niejaki Zosimos z Panopolis dokonał wszelako opisu tego kamienia. Dodam tylko, że Panopolis to grecka nazwa egipskiego Chemmis, miasta gdzie czczono ityfalicznego bożka Min, przez Greków zwanego Panem, często kojarzonego z Priapem. Ten Pan/Priap, syn Hermesa i Afrodyty, od razu nasuwa motyw seksualny. Bardzo więc możliwe, że Chemmis było egipską wersją Koryntu, choć mogące to potwierdzać przekazy nie są zbyt szczegółowe. Prócz tego Chemmis było Mekką gnostyków. W oczach Nestoriusza – chyba heretyków, skoro rzucił klątwę na Panopolis. Tam właśnie mieszkający Zosimos ujął sprawę Kamienia następująco:

Ten kamień, który nie jest żadnym kamieniem; to bezcenna rzecz, która nie posiada wartości; to rzecz wszechkształtna, która nie ma kształtu; to nieznaną rzecz, którą zna każdy.

Oto wprowadzenie w sedno rzeczy.

Zosimos jest filozofem znanym, ale i zagadkowym. Gnostyk, oczywiście. A zatem – żaden innowator, bo gnostyk nie zdążył za modą czy nowinkami. Jako pisarz był nader płodny. Miał uczennicę Theosebię, którą bodaj Marciannus nazywa jego siostrą, czego nie bierzmy dosłownie. „Siostra” i „brat” w świecie gnostyków miała inne znaczenie i dlatego nie kazirodcze. Przeto autorzy mówią raczej o „siostrze duchowej”. Na rysunku w manuskrypcie arabskim są pokazani oboje. Ona nad głową ma księżyc, on – słońce, co wiele wyjaśnia. Owa siostra-kochanka musiała zdradzić swego mistrza z innym szarlatanem, skoro jakimś sposobem przeniknęła do dogmatyki chrześcijańskiej. Sam Zosimos zresztą też posługiwał się symbolami chrześcijaństwa, które jednak było mu obce. Według niego nauczanie Chrystusa liczyło się tylko jako gnoza, podczas gdy ewangeliczne odrzucał. Ale wtedy (i później także) dialektowi mistyków ten Galilejczyk był bardzo na rękę. Chrystus, przemienicznie nazywany Heliosem, Logosem, Hermesem, Nowym Apollinem lub Mitrą, szybko przeniknął do ich języka. Nic dziwnego, że teolodzy chrześcijańscy krzywo spoglądali na tę filozofię. Zosimos winił sekty chrześcijańskie za degradację tradycyjnych misterii. Uważa się, że należał do rzekomej gminy Poimander.

Ale w istocie nie chodziło mu o żadną religię poza tą, która była *in illo tempore*. Pradawną i odwieczną. Natomiast egzoteryczna religia chrystusowa zamykała dostęp do kosmicznego *principum*. Do Demiurga. Zaś powołaniem gnostyka jest przekroczyć to tragiczne gwiazdorstwo, uwieńczone śmiercią na krzyżu. Gnostyk powinien iść dalej. Celować na tę „nieznaną rzecz, którą zna każdy”. Kamień.

Nasuwa się tu pytanie – dlaczego temu ideałowi wszechrzeczy, koronującemu wszelką *gnosis*, przypisano postać kamienia? Do czego filozofom, tak subtelnym jak Zosimos, potrzebna była ta mineralna, zimna i twarda struktura, niskiej proveniencji, tak ordynarna? Kamień. Rzecz wydaje się oczywista o tyle, że obecność kamienia już w najdawniejszych obrzędach zapewnia mu status sakralny. A tym bardziej ów Kamień Finalny, koronujący piramidę wiedzy, symbolizujący wszechmoc. Ale to nie on – Zosimos – to wymyślił. On tylko powtarzał. W jego czasach wszelkie nowe wzory, systemy, wartości czy symbole były w złym guście. Gdy już zdarzyło się komuś wymyślić coś, o czym wcześniej nikt nie powiedział, przypisywał to zwykle Wielkim Poprzednikom, faktycznym lub mitycznym. Lub w ostateczności powoływał się na „odwieczną tradycję”. Zosimos więc tylko spisywał wszystko, co uznał za tego warte, bo pochodziło z szacownej przeszłości. Również i to, że na samym szczycie podłej materii, wypełniającej uniwersum, znajduje się niewiadomej wielkości rzecz, będąca według niego: *kamieniem, który wcale nie jest żadnym kamieniem*. Być może to „żadnym” należy tłumaczyć jako „zwykłym”? *Petrus simplex*. Tak zapisał to Salomon Trismosin w swym *Aureum Vellus*, zbiorze łacińskich sentencji. **Po grecku** - Απλή πέτρα. Znać to mogło, że owszem – kamień. Ale nie jakiś zwykły. Żaden pospolity odłamek skały, lecz Kamień nad Kamieniami. Można też mniemać, że w tamtych czasach, a tym bardziej wcześniejszych, poza tym, co znaczy i dzisiaj, „kamień” miał jakieś sens dodatkowy, dla nas już niedostępny.

Niemniej słowo „kamień” zestawione z „filozofią” wyraża jakąś sprzeczność i niepokojący kontrast, możliwe, że nie pozbawione głębszego znaczenia, podobnie jak kwadrat przystawiony do koła. Kwadratura koła (ale to już grubo później, w wieku XVII, również była tropem gnostyków, czego wyraz znajdziemy w przewlekłym poemacie Michaela Maiera *De circulo phisico quadrato hoc est auro eiusque medicinalis*, zadekowanym landgrafowi Hesji Maurycemu. Maier dostrzega ten związek. Kwadratowe koło jest postacią Kamienia Filozoficznego.

Kamień, który nie jest kamieniem. Natura tego paradoksu zakorzeniona jest w wiedzy archetypowej, skąd ją tak efektownie wydobył Carl Gustav Jung. Otoczył ją bogactwem cytatów i źródeł, wyborem obrazowych przedstawień, a przede wszystkim raportami ze snów swoich pacjentów, w których pojawia się kamień. Zasadniczo – *lapis philosophorum*, chociaż w indeksie *opus maior* C.G. Junga mamy litanie aż 36 jego synonimów. A Michel Butor doliczył się ich jakoby aż 400. Różnią się przymiotnikami, choć w istocie chodzi właśnie o ten jeden. Konkretny, choć przecież tak niekonkretny. Kamień. *Lapis*.

Nie dający się przedstawić ani opisać.

W epoce Zosimosa musiał już być symbolem bardzo starym. Być może najstarszym. *Nic nie wiemy o początkach mowy ludzkiej, ani kiedy i jak z okrzyków afektu, z naśladownictwa głosów, z sylab objaśniających części rzeczywistości, zaczął on w ustach czarowników, wróżów, wodzów plemiennych i mędrców przełamywać swą nieporadność...* takie rozważania snuje Jan Parandowski. A nieco wcześniej: *...badacze usiłują wydrzeć bodaj strzęp z tych tajemnic i oddają nam [...] parę sylab z epoki kamiennej. Należy do nich: ham albo kam, wyraz czy rdzeń wyrazu oznaczającego kamień. Jeśli tak jest, ów rdzeń jest najszlachetniejszym klejnotem naszej mowy...* powiada autor *Alchemii słowa*, choć nieco wcześniej czytaliśmy u niego: *Gardzę natomiast mętnikami, którzy podają całe wyrazy i zdania, powołując się na »tradycję ezoteryczną« – gardzę nimi, ponieważ swoim błazeństwem naruszają uroczystą ciszę nad kolebką słowa*. Tutaj mistrz Parandowski sam sobie podstawiał nogę. *Alchemia słowa*, tytuł jakże nobliwy, choć tylko powtórzony za Arturem Rimbaud, jest bardzo mylący. Żadnej tam alchemii i jej koronnego kamienia.

W tym miejscu sprawa otrzymuje wyrazistą ramę, bo właśnie padło to słowo, bez którego się tu nie obejdziemy – alchemia. Wolałbym żeby to była *alchimia*, jeśli nie *alchymia*. Tę ostatnią formę rozpowszechniał Andrzej Urbanowicz, również alchemik, pardon, *alchymista*. Tolerowałem to, a nawet sam używałem, bo miało wdzięk ekstrawagancji. Ale *alchemia* wydaje się tak popularna, że niech już zostanie. I mniejsza też, że ta dziedzina, niewątpliwie należąca do „tradycji ezoterycznej”, wiąże ją z „mętnikami i błaznami”, którymi Parandowski tak gardzi. W każdym razie niech właśnie to słowo – alchemia – przyjmie tu na siebie rolę gospodarza, a ja tylko będę spisywał, co się nawinie. Jeszcze tylko dla porządku muszę dodać, że przez jungowskie *opus maior* rozumiem jego niedościgłą *Psychologie und Alchemie...*, która wskazuje na obecność alchemicznych symboli w fundamencie psychiki. Narkotyzowaliśmy się tą książką na długo zanim ją – zresztą dość niedawno – przełożono na polski. Bo to poważne dzieło otwierało nam wstęp do sezamu indywiduacji. Przypominało o zasobach piwnic naszego umysłu.

W pierwszym odruchu chciałem tutaj kompana tych seansów, Andrzeja Urbanowicza, uczynić tym, który mnie wtajemniczał w tę całą kabałę. Było tak w samej rzeczy, choć z fenomenem alchemii miałem do czynienia już wcześniej. W roku 1955 albo 56 przeczytałem powieść dla młodzieży o zaczepnym tytule. A w niej smarkacze z podwarszawskiej Kobyłki zaczytują się w starej książce i pod jej wpływem zostają alchemikami. Właśnie kończyłem podstawówkę i przez tę powieść omal nie poszedłem do technikum chemicznego. Ale Kobyłka, choć była daleko, trwała w mojej pamięci aż do chwili, jakieś czterdzieści lat później, gdy autorem tej wydanej w 1955 roku powieści pod tytułem *Alchemicy*, okazał się znany mi

skądiną, lubiany i kochany przez wszystkich Lech Emfazy Stefański. Chodząca jasność i czystość. Nawiedzony i mądry. Lecz to autorstwo odkryłem dopiero po jego śmierci lub krótko przedtem. Nie zdążyłem mu wyznać, że on właśnie zainfekował mnie w młodości swoją powieścią i przeciągnął w kierunku alchemii.

Czy jestem alchemikiem, tego nie wiem, ale jeśli jestem nim chociaż trochę, to właśnie jest jego sprawka – Lecha Emfazego. Pojawiał się wielokrotnie w moim życiu. I znikał, by za jakiś czas znów się przypomnieć. W międzyczasie stał się pionierem psychotroniki, którą chyba sam wymyślił. Także autorem mistycyzującej powieści *Lewitujący z Oćmawy*. Również odkrywcą odgrzebanych z zapomnienia słowiańskich przedchrześcijańskich wierzeń i ceremonii. Oraz innych podobnych rewelacji. Opowiadał mi Jarosław Markiewicz, że podczas nocnej włóczęgi po mieście Lech Emfazy padł na kolana przed kioskiem Ruchu, uznając go za małą, uliczną świątynię, magicznie oświetloną wewnątrz. Uduchowiony Lech Emfazy dostrzegał rzeczy, na które inni są ślepi. Ale kto spojrzał w jego twarz, nie mógł przeoczyć szczególnej promienności, która z niej biła. Widziało się radiestezję, trochę powstrzymywaną i dyskretną, bo takiego był charakteru. Już tak bardzo miałem go za legendę, że trudno mi było uwierzyć, gdy na ulicy ścisnął mi rękę. Albo słyszałem jego głos w telefonie.

Ale całą tę legendę, która powinna zaczynać się od *Alchemików*, przysłała mi jego wspólnota z Mironem Białoszewskim oraz Teatrem na Tarczyńskiej, który miał siedzibę w mieszkaniu ciotki Lecha Emfazego, gdzie obrazy Jana Lebensteina stały na komodach i szafkach. Nie zawsze widoczne w panującym tam tłoku. A dlaczego nie Kobyłka, gdzie wcześniej zamieszkał Stanisław Swen Czachorowski z żoną i Mironem Białoszewskim? Chyba też z Bogusławem Choińskim, później tak nieodzownym na Tarczyńskiej. Pielgrzymowali do tej Kobyłki Artur Sandauer, Wanda Chotomska, Lech Emfazy Stefański i inne literackie przybłędy z Warszawy. Wśród nich – Jan Józef Lipski, Hilary Krzysztofiak, Jerzy Ficowski. Inni może powiedzieliby to samo, ale ten ostatni zapewniał, że w Kobyłce może dzieciaki bawiły się w alchemię, ale całkiem poważnie gadało się o tym u Swena. Chyba z inicjatywy Lecha Emfazego, bo kogo innego?

Więc to właśnie jego – Stefańskiego – stawiam przed Urbanowiczem, z którym poznałem się później, bo dopiero w latach sześćdziesiątych, jakkolwiek obaj zaszli mnie od tej samej strony. Obaj wyczulili mnie na tę alchemię, z której rozumiałem tyle co nic, a zrozumieć chciałem. Czy nazwałbym Stefańskiego alchemikiem? Wraz z tą debiutancką powieścią, która zdradza jego znajomość alchemii, oraz z jego słabością do tak zwanej wiedzy tajemnej, do magii i parapsychologii, są silne podstawy, by uznać, że gdzieś to w nim pokutowało. To od Kamienia Filozofów oraz Wielkiego Dzieła. Jadwiga Żylińska, mająca podobne słabości, darzyła Lecha

Emfazego oczywistą sympatią, uważając go za wtajemniczonego adepta. Nawet mi nie przyszło do głowy, że Żylińska może przesadzać. I przy tym pozostajmy.

W świecie tak wypełnionym nowoczesnością jak druga połowa XX wieku magnezyzm alchemii, na której ciążył racjonalistyczny zarzut szalbierstwa, miał w sobie urok sprzeciwu. Z magazynu archaizmów została wydobyta ta alchemia jako kulturowy underground przeciw dominacji scjentyzmu. Kulturowy – powtarzam – bo nic mi nie wiadomo o współczesnych laboratoriach, gdzie w retortach i alembikach poszukuje się Merkuriusza. Może tylko w pobliżu Genewy coś takiego w CERN mogą wyprawiać z hadronami. Powrót alchemii (bo przecież nie renesans) odbywał się na różnych piętrach kultury, od surrealistów aż po pop-art. Jej rehabilitację przyniósł symbolizm i już Apollinaire używał znaczeń o rodowodzie alchemicznym. Tym bardziej czynił to Antonin Artaud. Była alchemia również literacką obsesją, od Williama Butlera Yeatsa, przez Lawrence’a Durrella i Henry’ego Millera, aż po Malcolma Lowry’ego. W *Pod wulkanem* z grubsza poznajemy bibliotekę konsula, bogatą w literaturę alchemiczną. A sam Geoffrey Firmin jakoby zawiesił chwilowo pisanie książki o praskich alchemikach. W rękopisach, jakie zostały po Lowrym są liczne odniesienia do jego ezoterycznych skłonności, z którymi jednak się nie obnosił. Wciągnął go (i jego żonę Margarette) w te sprawy niezidentyfikowany Stan (Charles Stansfeld Jones?) w roku 1943. Dalsze tropy prowadzą przez utwory Lowry’ego: *Lunar Caustic*; *Dark as the Grave Wherein My Friend is Laid* aż do *The Voyage That Never Ends*. „Lunar caustic” to nic innego jak alchemiczny termin, dziś zastąpiony przez „azotan srebra”. W *Dark as the Grave...* oraz w *The Voyage...* są zakamuflowane aluzje do alchemii, kabały i magii, choć autor jest w tej materii powściągliwy. Jerzy Lisowski, który w posłowie do powieści *Pod wulkanem* przedstawił różne wytrychy do jej tajemnicy, wskazał na zawarte w niej kabalistyczne motywy. Uznał zapewne, że wzmianki o alchemii (jeśli je w ogóle dostrzegał) mają drugorzędne znaczenie. Inna rzecz, że sam Lowry we wstępach do wydań tej książki też zachowuje dyskrekcję. Jakby swą wiarę w Kamień Filozoficzny uznawał za rzecz bezwzględnie prywatną. Zastanawia również, co miał na myśli Sam Jordison, krytyk literacki z *The Guardian*, pisząc w roku 2013, że *Pod wulkanem* jest traktatem o alchemii alkoholu?

Szperając w podziemiach ludzkiego umysłu, Jung przypominał, że piwnice są daleko ważniejsze niż się to nam wydaje. W ciemnych załomach i podziemnych laboratoriach gromadzą się energie, które zazwyczaj zbywamy. Trzymamy je na odległość, jak jakieś słoiki z korniszonami, zeszłoroczne soki, zapomniany worek z kartoflami. Tymczasem tam, w piwnicach, gdzie królują pająki, myszy i czarne koty, czyli w kolektywnej nieświadomości, w najlepsze trwa także zakurzona alchemia i jej oniryczne powaby. Temat to nader malowniczy, jeśli zważyć na piękne, późnorenesansowe i barokowe malowidła Holendrów i Niemców. W każdej z tych

namalowanych alchemicznych rupieciarni chciałoby się zamieszkać od razu i na zawsze. Jeszcze bardziej pobudzające są te fantastyczne ryciny, ilustrowane traktaty lub księgi składające się wyłącznie z obrazowych alegorii, jak *Liber mutus*. Nawet jeśli występujących tam emblematów i symboli nie rozumie się ani w ząb, ucieleśniają jednak uroki marzeń i są uwodzicielskie jak sen.

Sama alchemia, czyli magia jej rekwizytów, nieczytelnych symboli i zagadkowych operacji, zawsze pociągała mnie, owszem, choć przede wszystkim ze względu na jej założycielski i filozoficzny Kamień, o którym gdzieś tam napisano – chyba u Sędziwoja – że właściwie jest proszkiem. Stąd już tylko krok, by uznać, że właściwie może też mieć konsystencję płynną, o czym będzie później. Albo gazową? Kamienny gaz – to by się nawet zgadzało z Zosimosem. Tej właśnie niesubstancjalnej substancji byłem najbardziej ciekawy. Co też takiego o tym napisał Thomas Stearns Elliot, Saint-John Perse czy Walter Benjamin? Nie mówię już o tej uroczej literaturze, która od starożytności wiodła swój żywot pomyślny, choć elitarny, dla profanów nieprzystępny. Ale już od wieku XV rzecz posunęła się tak daleko, że stała się ważną częścią społecznego krajobrazu, sposobu bycia i potocznego języka. Podjęto usiłowania – na ogół bezowocne – zdefiniowania Kamienia Filozoficznego jako kosmologicznego konkretnego. Tak między innymi czynił kanonik florenckiej katedry, Marsiglio Ficino, ten sam, który próbował wprowadzić Platona na katolickie ołtarze. W przypisywanym mu dziele *Liber de arte Chimica* już w rozdziale 5, traktującym o Kamieniu Filozoficznym i zawierającym rozważania pierwsze o jego pierwszej części, czytamy:

[...] ponieważ filozofowie tak niejasno wyłożyli tę naukę w dziwacznie zawitych słowach oraz ciemnych obrazach, wielu ludzi zwątpiło w kamień filozoficzny. Czym on jest i z czego uczyniony? By to starannie przemyśleć, podzielimy kamień na dwie części. Część pierwszą uznamy za ziemskie Słońce, w czym zarówno dawni filozofowie, jak i ci bardziej nowocześni w pełni zgodzą się ze mną [...] Przeto kamień filozofów zrodzony w fizycznej operacji uczyniony jest ze złota, syna – że tak powiem – słońca, rozproszonego w innych metalach, które zawsze przerasta pod względem właściwości, barwy i wagi.[...] zatem my stawiamy złoto ponad innymi [metalami]. Skoro chcemy uczynić złoto i srebro, musimy koniecznie postępować tak samo [...] Jednak filozofowie, prawdę mówiąc, nie robią złota ani srebra. Czyni to sama Natura oczyszczona przez zręczność operatora.

Słów więcej niż u Zosimosa, którego zdecydowanie przedkładałam. I mniej treści, która jakby się gdzieś zgubiła przez tych tysiąc lat z nawiązką. Możliwe, że Ficino (czy ktokolwiek to był) pisał, wiedząc wiele. Nie wiedział wszelako

jednego, mianowicie, że są rzeczy dla trywialnego języka nieprzystępne, mimo że solidne jak kamień. Drugą częścią Kamienia już się nie kłopotał. Jego przesłanie – przyznajmy – jest peszące jak na osławiony humanizm renesansu, ale zawarty w nim heliocentryzm – grubo przed Kopernikiem – aż rzuca się w oczy. Słońce (złoto!) zostaje postawione w samym centrum natury. A trzeba pamiętać, że nawet i później uporczywość w tej materii zaprowadziła Giordano Bruno na stos. Chrystus, skądinąd bóstwo solarne, miał sobą zasłonić odwieczne słońce gnostyków, centralne w ich własnej kosmologii. Alchemicznej i hermetycznej na tyle, że nie dało się jej złapać na gorącym uczynku herezji. Trwała bezpieczna w świecie zdominowanym przez kościół, ukryta za swoją niejasną symboliką i szyfrem wtajemniczonych. Helmut Kaffenberger (w *Orte des Lesens, Alchemie, Monade*) twierdzi, że już od starożytności alchemia była tajną religią. I są ku temu podstawy. Również C.G. Jung zgadza się z tym poglądem. W piwnicach, w podziemiach nieświadomości, alchemia jest u siebie, jako tajemna wiara, która na przednówku będzie jak znalazł. Jak ubiegłoroczne zapasy. Przedmiotem alchemii jest Bóg-Natura, to znaczy ukryta wszechmoc, która zapewnia – przez skomplikowaną sublimację – podniesienie niskiej materii do statusu złota. Ach, to złoto, odwieczna choroba ludzkości.

Oczywiście, domniemane złoto, którym alchemia tak kusi, a w które według jej obietnic można zamienić wszystko przy pomocy *lapis philosophorum*, z góry uznaję za rzecz nieważną. Złoto mnie nie pociąga. Co prawda, wielki mistrz „le roman nouveau”, wspomniany już tutaj Michel Butor, którego *L'alchimie et son langage* jest wyprawą w głąb języka alchemistów, uznał, że Kamień Filozoficzny rozumiano faktycznie jako agenta transmutacji oraz produkcji złota metalicznego. Przeto jego producentów traktowano tak samo jak fałszerzy monet. Wziąwszy pod uwagę, że bardzo nielicznym (jeśli w ogóle komuś) udało się taka przemiana, wypada uznać Kamień za barwne marzenie. Ale w potocznym języku „złoto” będąc nazwą metalu, ma też rozległy sens synonimiczny. Przemianę niskich jakości rozumie się nie tylko jako transmutację materii, lecz – i przede wszystkim – jako przemianę ducha. Czyli proces moralny, któremu tak wiele (i tak bezskutecznie) miejsca poświęcał Zosimos w listach do Theosebii, chyba mylnie przemianowaną na Eusebię. W języku mistycznie nastawionych pisarzy, od Jakoba Böhme i Johanna von Goethe aż do pisarzy współczesnych, złotem są nie tylko monety, pierścienie czy łańcuchy. Sens złota alchemicznego uściśla przymiotnik „filozoficzne”, wykluczający walutę wymienialną. Ale tak czy inaczej – warunkiem był Kamień. Agrippa von Nettesheim, który zresztą do alchemii odnosił się sceptycznie, pisze o *pachnącym słodko Kamieniu Filozoficznym*.

Ostateczny zbiór koncepcji Waltera Benjamina, odnoszących się do języka, literatury i życia, został opublikowany dopiero w roku 1968 wraz z efektownymi uwagami Hannah Arendt. We wstępie Arendt rozwija geniusz Benjamina na swój własny sposób, opisując go jako *alchemika uprawiającego ciemną sztukę transmutacji podłych elementów rzeczywistości w świetliste i trwałe złoto prawdy*. Oto kolejna postać kruszcu. Może nawet mniej pożądana i trudniejsza od tamtej. Prawda!

Jung nas uspokaja – wszystko jest tak samo prawdziwe, jeśli tylko otarło się o świadomość. Wszystko jest złudnym pozorem, przestrzegają jednak nauki buddyjskie. Jakkolwiek prawda jest wartością cenioną, na ogół zaspokaja nas jej połowa. Lub jeszcze mniej, jeśli w ogóle. Wydobyć jasność prawdy, jak złoto z pospolitego ołowiu, to wymaga zaiste udziału Kamienia Filozoficznego, który jeszcze nie wiem, czym jest, ale już wystawiam mu pomnik w brwinowskim ogrodzie. Widzialny, choć nikt go nie widzi – mógłby napisać Zosimos Tak mógłbym sam pomyśleć, gdy przez ogród przechodzi późnowrzesniowy wiatr, który też może być Kamieniem. Jak fala chłodnej energii, omen zapowiadający nadciągającą przemianę. Drzewa powoli są rozbierane, aby w nagości przyjąć na siebie tę transmutację klimatu, której szczyt przypadnie na dalsze miesiące. Kiedy powietrze i wszelka woda także nabiorą właściwości twardego kamienia.

Kamień góruje w tym fantastycznym chaosie, chcącym wydać z siebie ostateczny porządek – *summa bonum*. Przy wszystkich paradoksach, jakimi go Zosimos opisał, przynajmniej w pospolitym języku kamień oznacza solidność i mniejsza już o jego substancję. Jest obietnicą – obok złota, o które też mniejsza – bezbrzeżnej omnipotencji. Jak salomonowy klucz do wszystkiego. Jak bilet wstępu na galę żywego kosmosu, którego fundamentem jest nie *logos* a *lapis*. Można wręcz powiedzieć, że materialnym, gdyby nie te mądre słowa Zosimosa, który złotem nas raczej nie mam. *Lapis philosophorum* według niego to nic innego jak ezoteryczny ideał. Odwieczny i wiekuisty. Wszechmocny. Prawda czysta jak złoto.

Oprócz złototwórczej mocy Kamień potrafi czynić inne mirabilia. Między nimi zdrowie, dobrostan, a w porywach szczodrości nawet nieśmiertelność. Wydaje się, że ta jego cudowna właściwość jest późnym arabskim dodatkiem do alchemii, jako że alchemicy arabscy zaczytujący się w pismach Greków najczęściej byli również konowalami. W ten sposób Kamień Filozofów stał się osławionym eliksirem życia, przyjmując postać płynną. To nie jest zasadniczo sprzeczne z Zosimosem. *Aurum potabile* – przecież. Złoto pitne. Jest nagrodą za wiarę i determinację, jaką adept włożył w swoją operację. Oznacza Kamień, przy pomocy którego można uczynić wszystko. Już tam, gdzie akcentowana była transmutacja metali, narzucało się to pytanie, które wreszcie postawmy – a do czego u licha potrzebny może być Kamień, który wszystko wywróci na opak? Przy założeniu, że istniejący porządek

nie jest w istocie bałaganem, pytanie wydaje się źle postawione. Kwestionuje, że jest On tym panaceum, co z zakłóceń materii (także duchowej) wydobywa pierwotną równowagę, harmonię i zdrowie. Z takiego, jakim jest, świat zostaje postawiony na głowie. Alchemista staje się Stwórcą. Włącza się w procesy natury i usiłuje nimi kierować. Przeniknąwszy wszystkie tropy, symbole, znaki i nauki swej kryptologii, wkracza na drogę naprawy niedoskonałego świata. Ów kamień, którego posiadanie było jego marzeniem, został znaleziony przy drodze, podczas jego fantasmagorycznej wędrówki. Wierzył, że tak się stanie, jeśli pójdzie we właściwym kierunku – znajdzie na pewno. Ale który to jest – ten kierunek właściwy?

Odpowiedzi mogą być różne, ale wszystkie są naznaczone ambiwalencją. Sprzeczne wartości, sprzeczne ingrediencje, strony i poziomy wykluczają dukt logiczny i prosty. Podjęte już w średniowieczu próby usystematyzowania alchemicznego procesu (ich kulminacja przypadła na wiek XVIII, epokę rozumu!) na nic się nie zdały. Na drodze ku wielkiej przemianie jedyną rzeczą pewną (choć niekoniecznie prawdopodobną) pozostawała możliwość cudu. Tej możliwości nie sposób podważać, bo rzeczywistość jest pełna cudu. Ireneaus Philalethes powiada nawet, że ona sama jest cudem. Ale który kierunek ku niemu jest tym właściwym? Wszak alchemista jest gościem w borgesowskim ogrodzie o rozwidlających się ścieżkach, ryzykującym, że każdy wybór może być fałszywy.

Szukając odpowiedzi warto zatrzymać się przy Goethem, który w ideały alchemii oczywiście wierzył. Kłania się bowiem doktor Faust, tęskniący za wszechpotencją, a profesor Mefistofeles jest gotów mu służyć. Być nieskończeniem młodym, zdrowym i gwizdać na śmierć. Swoją drogą ciekawe, że Goethe pisał to równocześnie jako alchemista Faust i przebiegły Mefisto, dając pstrokatą *coincidentia oppositorum*, rodem z ludowych sag, które zawsze mają archetypowy fundament i na wszystko gotową odpowiedź. Ujawnia się tutaj tragiczny wymiar dzieła alchemicznego. Rozdarty między dwoma protagonistami autor ostatecznie wciela się w Małgorzatę, co trzeba uznać za sprytnie pomyślany finał procesu. Ale tragiczny wymiar drogi alchemika i wszelka psychologia nie mogą się mierzyć z czystą egzystencją, w *Fauście* ujętą według mądrości folkloru. Prostej jak kamień przydrożny. Ciężkiej, zimnej i nieuchronnej, jak kamień nagrobny. Bo ostatecznie sens bytu (albo jego bezsens) też jest kamieniem niezwykłym, choć tak bardzo zwyczajnym.

Zatem, wiara w cud. Nic jej nie stoi na przeszkodzie, rzecz jasna, bo każdemu, choć raz w życiu zdarza się coś, co trudno nazwać inaczej. Pomijając oczywiście cuda najczęstsze, czyli fałszywe. Musiał mieć tej wiary wystarczająco wiele Rudolf II (i nieco później Zygmunt III Waza, jak to przedstawił Jan Matejko), by zobaczyć złoto realne w tyglu mistrza Sędziwoja, *recte* Michaela Sendimira von Skorkau. Oto dokonała się cudowna przemiana niczego w coś zawierającego odpowiednią ilość

karatów. Ale dla cesarza czy króla złoto to nic nadzwyczajnego. Bardziej liczy się cud, nieprzeliczalny na monety. Oto jest coś ponad złoto. Faust powiedziałby – życie bez końca i zrobiłby to niejako w imieniu nas wszystkich. A przynajmniej, cudowna odporność na egzystencjalną mordęgę, w jaką każdy z nas, a alchemik szczególnie, został wrzucony. A jeśli to nazbyt wiele, to niechby tylko specyfik, który przywróci istnieniu zachwianą równowagę. Niegodziwość istnienia przemieni w złoto słońca.

Niech ponownie przemówi domniemany Ficino, który w rozdziale 18 wspomnianego traktatu obwieszcza, że *kamień może leczyć wszelkie choroby: skoro cała Natura jest w słońcu, a słońce w Naturze, a szczególnie w kamieniu*. Brzmi to tak:

Gdy Natura choruje, kamień leczy Naturę. Podobnie jak Słońce i Jowisz, natura udostępniając złoto doznaje wielkich boleści. Słońce wkłada weń wszystko co ma, swą ognistą właściwość i jasność. Ale Jowisz, który jest patronem lekarzy, przywraca Jej żywotność i równowagę elementów. Z tego daru powstaje złoto tak czyste, że żaden ogień nie zniszczy jego substancji i właściwości. Do tego dodajmy oczyszczenie złota przez jego roztwór i długie sycenie ogniem, które uzyskuje się dzięki cudownej i boskiej operacji. Gdy to zrobimy, należy dodać tego nie więcej niż ziarno gorczycy do codziennych pokarmów i napojów, a ono dzięki swej niebiańskiej żywotności przywróci równowagę oliwy i płomienia życia, będzie regulowało i zwiąże ze sobą wszystkie elementy twego ciała i pozostawi je w spokoju.

Coś podobnego i równie zawile obiecuje *Die Chymische Hochzeit Christiani Rosenkreutz*. W tym wypadku jednak chemiczne zaślubiny nie odbywają się w retorcie ani w aparaturze Natury, lecz w pałacu Króla i Królowej, gdzie inicjowani rycerze otrzymają Złoty Kamień (Guldin Stein). Na jednej jego stronie widnieje napis: *AR. NAT. MI.* [rozszyfrowane jako: *Ars / naturæ / ministra*]. Zaś na drugiej: *TEM. NA. F.* [*Temporis / natura / filia*].

Owo (al-)chemiczne wesele rozłożone na siedem dni i nocy jest wstępem do daru nieśmiertelności, w zamian za spełnienie siedmiu trudnych warunków. Aspirantowi zadania te zostają nałożone w trzecim dniu i musi się im poświęcać przez następne cztery. Nie tylko dni. Również noce i sny są szaradami, które musi rozwiązać. W wyniku pomyślnej przeprawy, Kamień o którym mowa, Christian Rosenkreutz otrzymuje w postaci Kamienia Złotego. Zapisane na nim dyrektywy są proste. *Sztuka służy naturze*. Na początku wieku XVII, gdy spisywał to Valentin Andreea, przez sztukę rozumiano coś zupełnie innego niż dzisiaj. Myślę, że także Natura była rozumiana swoiście. Nadto adept zostaje dodatkowo pouczony, że *Czas [jest] córką natury*. Jeśli tylko zdoła przeniknąć sens tych pouczeń, już posiadał (albo jest tego bliski) Kamień Filozofów. A dalej pozostaje tylko złoto i życie wiekuiste, a przynajmniej długie. Robert Fludd w swym wielkim traktacie z roku 1633 powiada; *prawy człowiek jest alchemistą, który znalazłszy Kamień Filozoficzny, przy jego pomocy czyni siebie nieśmiertelnym*.

Sen o wszechmocy rozlał się daleko poza alchemię. Lub raczej rozciągał ją na wszystko, co było próbą przekroczenia stosowanej *praxis*. Aż w końcu jedna z odnóg tego rozlewiska utraciła przedrostek *al* stając się pospolitą i legalną chemią. Jednak alchemii, którą poważnie zajmował się jeszcze Isaac Newton, nie należy postrzegać jako protonaukę. Spieranie się z tym błędem jest trudne, lecz sen o Kamieniu Filozofów i o złocie trwał dalej, jako podziemny strumień wiary i marzenia. Perspektywa opanowania możliwości ukrytych przed oczami profanów w piwnicach nieświadomości była (i chyba jest nadal) nader pociągająca. Czasami aż do obłądu. Złoto stawiało się ceną życia, które miało być długie. Bo w złocie zakłute są też moce zła. Historia zna przypadki, gdy za alchemiczny entuzjazm szło się na szafot. *Aurum potabile*, osławione złoto pijalne, zapewniające długowieczność, miało być nagrodą za pilne poszukiwanie Kamienia Filozofów, który jak Mefistofeles jest na służbie wszelkiej baśni. Umożliwia niezliczone operacje magiczne i ucieleśnienia najbardziej infantylne pragnienia. Ów Kamień nad kamienie zapewniać miał jakoby dostęp do materii cudownej i cudotwórczej. Nie tylko materii – to już pewne, choć się nie da wykluczyć, że nawet w pradawnych alchemicznych laboratoriach materia była równa energii. Ale w tej sprawie na Zosimosie nie można polegać. Dopiero po wiekach zajmą się tym dociekliwi wyznawcy tej Sztuki – Albertus Magnus, Roger Bacon czy Paracelsus. Wśród nich Arnoldus de Villanova, który wszak nie był kłamcą w złej wierze, zapewnia:

[...] tym sposobem uzyskasz bezcenny sekret [arcanum], który przerasta wszelkie skarby świata. Oddaj się całkowicie tym studiom, medytuj nad nimi dzień i noc, a przede wszystkim sprawdzaj prawdziwość swych przekonań przez ciągłe ich odnośzenie do praktyki. We wszystkich księgach Mędrców nie znajdziesz niczego równie jasnego i prostego jak to, co ci tu powiadam.

W miarę głowienia się nad Kamieniem przybywa pytań, na które odpowiedzi są nader zawodne. Nawet tak proste, jak – „po co właściwie komu ten Kamień?” przerasta możliwości przyzwoitego myślenia. Złoto, czyli zasobne konto w bezpiecznym banku, pominęliśmy, choć ma ono niezaprzeczalne zalety. Znacznie trudniej przychodzi nam uznać, że złoto może być tylko symbolem. To „tylko” nie oznacza bynajmniej lekceważenia mocy symbolu. Nie ma powodu, by wątpić w jego wielką siłę, fizyczną na równi z poza-fizyczną. Duchową – a jakże. Powinni to wiedzieć sprawcy wielkich katastrof, tak indywidualnych jak i zbiorowych, nierozważnie żonglujący symbolicznymi sensami i obrazami. Złoto i wszystkie jego cudotwórcze alotropy, a przede wszystkim ów zagadkowy Kamień, to zaledwie symbole tego, co jest czymś innym. Czymś daleko ważniejszym od blasku zewnętrznego bogactwa. Tym, co gdzieś w sobie dźwigamy. Wiemy, że ta drogocенność istnieje. Jesteśmy jej pewni, choć nie mamy do niej dostępu innego niż poprzez wiarę.

I dowodu innego niż marzenie. Ciężka, choć bez wagi; ukształtowana bezkształtnie; kamienna, choć nie kamień. Coś, czego nie ma, ale istnieje.

Czy już nie pora, by wreszcie *explicite* to powiedzieć. Że wszyscy – pominąwszy nieuchronne wyjątki – jesteśmy alchemikami, nawet o tym nie wiedząc. Podmiejskie dzieciaki z Kobyłki i miejscy dorośli. Nasi ekonomiczni eksperci, bracia dawnych alchemików, obiecujących tak wiele. Fantaści i racjoniści pospołu. Choćby tylko – jak to trafnie wykrył Carl Gustav Jung – w snach, w projekcjach spadających jak z nieba, w potocznym rojeniu. W *psyche*, gdy się wymyka terrorowi rozumu. Nawet wątpiąc w Jego istnienie, mimo wszystko szukamy tego Kamienia. Świadomie lub nie – to nie ma znaczenia. Szukamy i znajdujemy? Wątpię, choć nie chcę wykluczać. Bo to już kwestia *stricte* osobista. Najzupełniej intymna, jak prywatne szczęście lub pech.

Nie wiem, jak to było z Lechem Emfazym S., bo o Kamieniu Filozoficznym nigdy nie rozmawialiśmy. Natomiast inny niegdyś mój mentor, Andrzej U. na dwa lub trzy lata przed śmiercią wyłożył mi swe rozumienie tej sprawy. Uczynił to samorzutnie, bez moich nalegań. I był chyba jedyną osobą, która zwierzyła mi się z rozwikłania sekretu Kamienia. Sens tego był prosty, a jednak bulwersujący, choć już przecież dobrze znałem idee Andrzeja. Na przykład, ten sadomasochizm, który traktował serio, jako zwarty światopogląd. Zaraził się tym w Nowym Jorku. A może nie zaraził, tylko w nim się utwierdził? Wydawać się mogło, że z alchemią to nie może mieć związku. A jednak udany i mistrzowski seks był w jego przekonaniu owym Kamieniem i tajemnicą podziemnego umysłu. „Akt miłosny?” – dociekałem. „Nic podobnego. Żaden *miłosny*. Tylko seks, sam seks, czysty jak alchemiczne złoto.”

Na takie *dictum* coś pewnie pomyślałem, nie pamiętam co. Tematu wszelako nie podjąłem i może szkoda. Nasuwają się bowiem pytania, których mu już nie postawię. W naszych czasach, gdy dawne metaliczne i drogocenne złoto przybrało nieliczoną ilość odmian – wirtualną, umowną, zastępczą, retoryczną, plastikową, dlaczego by nie seksualną? Byłby to co prawda krok wsteczny, choć pojednawczy, od Junga z powrotem do Freuda i jego szczytowego libido. Może tego wymagały podziemia psychiczne mojego przyjaciela, z którym się nie zawsze zgadzałem. Co by pomyślał o tym Zosimos? Lub jego Theosebia? No tak, ...*nie jest żadnym kamieniem*. Gdyby mnie ktoś spytał, albo nawet bez pytania, nie znalazłbym odpowiedzi równie prostej i nie tak znów arbitralnej. Wystarczy przejrzeć te XVII-wieczne alchemiczne ryciny, gdzie *coniunctio*, czyli kopulacja Króla z Królową jest tak eksponowana, jak uderzający jest całkowity brak widoku wiadomego Kamienia.

Komu jest pisane na Niego trafić, Kamień zawsze będzie na miarę swego alchemisty. Dla jednych złoto. Dla innych długie i zdrowe życie, jeśli nie nieśmiertelność. Jeszcze innych zadowoli mistrzowski seks, choć może tylko figa z makiem.

Każdemu jest pisany jego własny Kamień i własna Filozofia – jeśli to słowo nie jest zbyt wielkie w kontekście kamienia. Najpewniejszym wydaje się, że należy Go szukać we własnej piwnicy, gdzie czuwa zdeponowany, borgesowski Alef.

Gdzieś w środku uniwersum, który może być wszędzie, a które może wcale nie jest tak wielkie jak myślimy, może nie większe niż podziemie w fundamencie naszego gmachu, nad wszystkim czuwa jakoby nadzwyczajny Kamień, o którym należy marzyć, wyobrażać sobie, a w miarę możliwości odnaleźć. W coraz to bliższej utopii, która będzie kresem wszystkiego doczesnego, praktycznego i ziemskiego, rysuje się obietnica Kamienia. A po jej spełnieniu wszystko staje się prawdziwe i możliwe. ■

HENRYK WANIEK



fragmenty niepublikowanej powieści pt.: Ciemność

Co kilka tygodni nasz dom nawiedzało kilku starszych panów. Wszyscy zajmowali się słowem – pisali lub przekładali, stąd spotkania zyskały nazwę Klubu *Logosa*. Dżentelmeni rozsiadali się w salonie, pili herbatę z konfiturą, a potem czytali jakiś tekst – obojętne, czy swój, czy cudzy, i próbowali przekonać innych, że napisał go sam Bóg, albo że zrobił to chociaż w pięciu procentach. Uważali bowiem, że dobry tekst jest jak gdyby przekładem z anielskiego na nasz, że istnieje boska biblioteka, którą pisarz, tworząc swoje dzieło, próbuje odczytać – jeżeli by mu się udało, napisałby książkę doskonałą, to nie warto byłoby czytać innych książek. Jednak tej sztuki nie dokonuje nikt, wyłącznie ci, których nazywamy geniuszami, zakradają się do boskich komnat i to, co uda się im zapamiętać, przepisują – resztę dodając od siebie.

Na spotkaniach Klubu *Logosa* badali więc teksty, próbując ustalić, które słowa w tekście pochodzą od Boga, a które wymyślił pisarz. Kto odtworzyłby taką bożą księgę, mógłby dzięki niej tak samo jak Bóg stwarzać świat. To w jej słowach kryje się cała otaczająca nas przestrzeń wraz z domami, przechodniami, historią, przestrzenią, kosmosem, kwiatami róż i, naturalnie, damskimi nogami.

Sprawdzali więc, czy właściwe słowo stoi na odpowiednim miejscu, a jeżeli stwierdzali, że nie – próbowali odnaleźć zamiennik. Czasem dochodzili do wspólnego wniosku, że całe zdania, a nawet szeregi stron, nie zawierają ani jednego słowa godnego uwagi i wykreślali je. To właśnie sprawiało, że wiele książek w naszym domu było wyjątkowych – składały się wyłącznie z pomazanych na czarno stron i pojedynczych słów, które ojciec uznał za natchnione, za przebijające się do nas z innego świata. Niekiedy dopisywał też zdanie lub całe akapity, a koledzy sprawdzali, jak blisko boskiego ideału się znajdują.

Jeden, jak czytał, to mlaskał, rozsmarowywał słowa na języku i twierdził, że czuje mrowienie, gdy trafia na to właściwe. Drugi siedział z wahadłem. Trzeci nic nigdy nie mówił, ale wciąż spoglądał za okno, bo kierował się żelazną logiką – boska księga była połączona z całym widzialnym światem, więc znaczenie słów śledził z ruchów ptaków, których za naszym oknem nie brakowało. Ojciec w poszukiwaniu świętych słów tylko je wypowiadał i wiedział, skreślał więc wszystkie niewłaściwe, jednak jak odnaleźć te, których zabrakło – nie wiedział. Nie pomagała koncentracja ani rozluźnienie. Należało wejść w stan pomiędzy jednym a drugim, zapatrzyć się na tamtą stronę i pozwolić prowadzić dłoń stalówce, a potem ze zdumieniem odczytywać fantastyczne sceny, które spod niej wyszły.

Gdy na studiach dowiedziałem się o sporze o ikonoklazm, zrozumiałem, że zwolennicy zakazu malowania obrazów w pewnym sensie mieli rację. W świetle tego, co robił mój ojciec i wszyscy pisarze świata, rację mieli ci, którzy twierdzili, że obraz nie jest tylko wizerunkiem Boga. On jest Bogiem. A jest nim przynajmniej w iluś tam procentach, co ustalali koledzy mojego ojca, w tym większym procencie, im bardziej malarz był natchniony i im bardziej mógł pozwolić pędzlowi na oddanie prawdziwych rysów twarzy Boga. W tym większym procencie, im wiśniówka była przedniejsza.

Architektura też była godna swej nazwy wyłącznie wtedy, gdy oddawała charakter budowli znajdujących się w niebiańskim mieście. Muzyką najbardziej wartą uwagi była ta, którą kompozytor usłyszał we śnie.

Więc gdy patrzyłem na sterty przedmiotów w domu ojca, na książki z powykreślانymi przez niego słowami, na powyszczerbiane naczynia i młynki na korbkę, rozumiałem, że choć każda z tych rzeczy była niedoskonała, to wszystkie razem miały już w sobie stronę lub choć pół strony szeptu wieczności. Nawet jedna książka w wielkiej księgarni, zawierająca jedno boskie słowo to już dużo, bo boskie słowo nie jest pustym dźwiękiem, zapisem bez znaczenia. Boskie słowo powołało do życia ten świat i nigdy nie przestało powoływać, podtrzymywać go przy trwaniu, kształtować go i zmieniać. Kreacja wciąż trwa.

Dawniej słowo oprawiano w drogocenne materiały, bo rozumiano, że to, co się za nim kryje, jego prawdziwa moc jest o wiele większa niż wszystko inne, zaś kopiści słów, przenoszący je z tamtego wymiaru do naszego – mnisi i filozofowie wsłuchujący się w świat po drugiej stronie zamkniętych oczu, słyszeli wtedy więcej niż dziś.

Więc cały ten księgozbiór, wszystkie te skorupy, w których ceramik uchwycił choć fragment boskiego ładu, połączone, zebrane obok siebie miały siłę rażenia równą stu tysiącom bomb atomowych. To dzięki nim nasza rodzina przetrwała te wszystkie lata, a ojciec, choć czasem ciężko chorował, zachował trzeźwość umysłu i ciała aż do dnia swojej śmierci, w której zawołał mnie i powiedział, że jest już zmęczony i tęskni za mamą. Powiedział, że słów odnalazł już dość. (...)

Na spotkania Klubu *Logosa* przychodził też Poeta Piotrowski. Ubrany był nieodmiennie w koszulę w kratkę i popielatą kamizelkę ze szkockiej wełny. Siwiznę zaczesywał na prawy boczek. Choć uczęszczał na spotkania, nigdy nie zajmował się zaczernianiem. Mówił, że to jak grzebanie w śmieciach lub palenie robactwa. Wyzywał członków Klubu od śmieciarzy i gównojadów.

– Mlaskając, rozsmarowując te wszystkie fałszywe słowa, żywiec się kupą. I jeśli nawet traficie czasem na strawny kawałek, na obtluczony ślad bożego gmaszyska, to i tak cali jesteście w ekskrementach. Niech każdy spożywa, co mu smakuje, ale ja dziękuję. – Tu poeta Piotrowski umilkł zażenowany własnym rymem i już pan Dawidek miał nabierać powietrza, by udzielić jakiejś sensownej reprimendy, już prawie otworzył usta pan Podsiadło, zaś pan Alojzy miał wyprostować plecy, bo zapadł był w nizinę poduch

i sprężyn pluszowego fotela – nie zdążyli jednak odeprzeć tych kalających ich pracę słów, bo poeta Piotrowski momentalnie otrząsnął się ze swego nieszczęsnego rymu i kontynuował natarcie: – Należy sięgać od razu i wyłącznie po rajski owoc. Nie szukać wśród słów przepisanych przez człowieka, ale sięgać do tych wypowiedzianych bezpośrednio przez Stwórcę.

I kontynuował: – Bóg pisze swym stworzeniem. Gdy wielbi kwiat jabłoni, boże słowo go stwarza – na ziemi zakwita jabłoń. A najdoskonalszym dziełem Pana, kwintesencją stworzenia jest to, co zostało stworzone na końcu, właściwie już po dziele stworzenia, gdy Bóg wypoczął po trudach twórczych. Księga Genesis jasno to formułuje. Przez sześć dni stwarzał świat i mężczyznę, a potem odpoczywał. Jednak gdy odpoczął, postanawia postawić kropkę nad „i”, wisienkę na torcie i wtedy powołuje do życia kobietę. I tworzy ją od głów do stóp. Dlatego najdoskonalszym dziełem, ostatnim stworzonym przez Boga bezpośrednio, jest kobieta, a konkretnie jej nogi, i one są na szczycie stworzenia. Dlatego wielbić ją, to oddawać cześć Bogu Najwyższemu, Bogu Stwórcy, *Logosowi* właśnie. Każdy pocałunek, każda pieszczota, każda myśl o paznokciu nawet, przybliża nas do doskonałości. Do prawdy. I czynimy to bez odrzucania plew, obcujemy z boskim słowem bezpośrednio.

W tamtych latach we Wrocławiu działał Teatr Laboratorium, po spektaklach dyskutowało się o Gurdżijewie i ćwiczeniach duchowych. Poeta, który nie pisał nic z braku talentu, weny czy nawet czasu, ale poeta, który nic nie napisał w ramach ćwiczenia się w nie-działaniu, tym samym przerywał automatyzm życia, karmę, oprogramowanie nakazujące wypełniać schematy ciągnące się w rodzinie od pokoleń. Czy jednak protopłasci Piotrowskiego byli z dziada pradziada genialnymi poetami, wypychającymi go w ten fach swą historią? Nie wiem, ale dzięki deklarowaniu się jako poeta niepiszący mógł być gwiazdą kawiarni – najczęściej Związków lub MPiK-u. Był traktowany przez bywalców jak geniusz pióra, swym milczeniem dowodzący owego geniuszu. Tylko ojciec – prawdziwy mistrz słowa i znawca duszy ludzkiej, kiedyś krótko to skomentował:

– Co od niego chcecie? Smorodinówkę nastawia rzeczywiście przednią.

Nigdy więc poeta Piotrowski nie pisał i nie zaczerniał. To chyba dzięki niemu, dzięki ziarnu, które wtedy we mnie zasiał, w wiele lat później zrozumiałem, że Bóg jest książką, ale nie tą, którą czytamy wszędzie wokół. Bóg jest książką, którą piszemy przez całe życie szukając Boga.

Pamiętam, jak ojciec zabrał mnie kiedyś na plenerowe spotkanie Klubu. Miejsce, w którym miało się odbyć, było dość banalne, a jednak osobliwe. Wyszliśmy na nadodrzańskie wały falujące trawami. Naszym oczom ukazał się pan Dawidek, a wraz z nim Podsiadło. Taszczyli fotele turystyczne. Nie zatrzymali się jednak – jak większość wrocławian – na łące porastającej wały. Szliśmy kilkadziesiąt kroków za nimi z wolna ich doganiając. Po wylewnych powitaniach, uściskach prawic i ustaleniu kwestii pogodowych przeszliśmy

jeszcze kawałek aż do jazu piętrzącego wody rzeki i wspieiliśmy się po drabinie technicznej. Naszym oczom ukazał się poeta Piotrowski, który czekał w umówionym miejscu w wewnętrznej części jazu, na murku bezpośrednio nad lustrem wody. Siedział rozpostarty na zwykłym salonowym fotelu.

– Widzę, że pan poeta będzie miał dziś najmięcej z nas wszystkich.

– Chętnie odstąpię swe miejsce tak szacownemu koledze – i tak dalej, znów jak przy poprzednim przywitaniu, poprzeczali się uprzejmościami.

W tym czasie pozostali wciągnęli na sznurze produkty przemysłu turystycznego. Zjawił się też pan Alojzy, który z trudem wdrapał się na tamę.

– Dla dobra sprawy, dla dobra sprawy naturalnie – wysapał poprawiając guziki kamizelki.

Dla mnie fotela zabrakło, ale przewidziano mi zestaw wędkarski – stołeczek i stolik turystyczny, na którym już Piotrowski, lub jakaś niewidzialna ręka, która wniosła mu tu ten fotel, nastawił samowar. Zgodnie z przydzieloną mi na ten dzień rolę, zająłem się parzeniem herbaty, wykładaniem na miseczki powideł i marmolady gruszkowo-brzoskwiniowej. Tymczasem towarzystwo rozłożyło foteliki po obu stronach tafli wody, a z toreb wyjęli Annę Kareninę, którą mieli się tego dnia posługiwać.

– Otóż – pan Alojzy poprawił muchę – uważam, że powinniśmy jak najspieszniej rozpocząć nie tyle nasze zebranie, bo tuszę, że to można uznać za otwarte, ale jego *spirit*, jego ducha – część najważniejszą, albowiem nie ma nic nad misję, którą nam przyszło pełnić. Jednakowoż nie sposób czytać tych wspaniałych, świetlistych słów, które pozostały z tej oto książki po dokonaniu niezbędnych zaczernień, nie sposób oczyszczać tymi boskimi słowami tej wody i tego miasta nie skosztownawszy wcześniej specjalów, które na tę okazję przygotowaliśmy. Nie przepłukawszy gardeł z kurzu przydrożnego. Pozwólcie więc panowie, że pierwszy napełnię moją szklanicę i podam w krąg ten szlachetny trunek, bowiem coś mi się widzi, że nim woda w tym samowarze zawrze, a ten dzielny młody człowiek się nią właściwie posłuży, minie parę dobrych chwil.

– Jak zwykle kosztuję z prawdziwą rewerencją. Alojzy twoja wiśniówka nie ma sobie równych.

– Nie ma równych – przytaknęła cała piątka. Jednak po chwili namysłu, popartego spojrzeniami w przestrzeń nieba i cmoknięciami wyrażającymi najwyższe uznanie, odezwał się pan Podsiadło, mój przyszyły teść:

– Powtarzam, najwyższe moje uznanie budzi kunszt destylatora i gorzelnika naszego, kochanego pana Alojzego Strąbczyńskiego. Nie możemy jednak zapominać, że wśród nas zasiada również *doktorus magicus*, spadkobierca tradycji Pomorza i specyfiki kuchni gdańskiej, wyrosłej z połączenia wiedzy lokalnej i kulinariów całego nowego świata od Labradoru po Gujanę, a także przez małżeństwo wzbogacony o tajniki lwowskich alchemików, znających sekrety dawnego wschodu Rzeczypospolitej, a przy tym znakomity uczony – tu ku mojemu zdziwieniu wskazał na ojca i kontynuował: –który, jak

mi wyznał w drodze na to szlachetne zgromadzenie, ukrywa w tej oto gustownej acz skromnej torbie, równie wspaniały, powtarzam równie wspaniały, co twój, Alojzy, trunek, powstały nie przez destylację, a przez macerację derenia – koralu Podhala.

Drugą kolejkę rozpoczął więc ojciec. Puścił butlę w krąg, a gdy doń wróciła, wypełnił swój kryształowy kielich. Jednak okazało się, że Pan Podsiadło zdążył już wypić nie zaczekawszy na resztę, trzeba było, by butla zatoczyła jeszcze jedno koło. A gdy panowie po spełnieniu stosownego toastu, tym razem już bez przeszkód, zaczęli rozprawiać o propagandzie rządowej, której brud tylko słowa Anny Kareniny mogły zmasać, podałem herbatę i biszkopty.

– Czymże jednak byłaby herbata bez odrobiny lata? – ożywił się wyciszony dotąd poeta Piotrowski. – Słońce pieści ziemię przez całą wiosnę, a latem narodzone z tej pieszczoty dzieci lata – brzoskwinie wygrzewały się miesiącami w ciepłych promieniach zeszłorocznego słońca i dziś, pozwólcie dostojni panowie, koledzy, że poczęstuje was tą esencją słonecznych dni i ostatniej jesieni, gdy nasza przyjaźń już kwitła, niech wieczną będzie.

– Niech wieczną będzie – zawołali chórem zgromadzeni. Nawet ja przyłączyłem się do tego spontanicznego wybuchu radości, choć ojciec surowo zabronił mi brzoskwiniówki poety Piotrowskiego.

A potem wyciągnęli książki. Zaczytane do cna i prawie nowe PIW-owskie wydania Anny Kareniny. A gdy wybuchła nieodczowna dyskusja na temat przekładu, ojciec wyciągnął z kapelusza – czyli płóciennej torby w paski wersję oryginalną. Dereniówka znów zatoczyła krąg. W niedalekim kościele rozzdzwoniły się wieże – znak od Boga aprobeującego najwyraźniej odczytywane frazy. Pod nogami szumiała nam rzeka a wiosenny, ciepły dzień zaczął chylić się ku swemu kresowi. Chyba jednak zakazy ojca nie były dość stanowcze, bo zupełnie nie pamiętam ani drogi powrotnej, ani co stało się z salonowym fotelem poety Piotrowskiego. Za to do dziś wspominam smak wiśni, derenia i brzoskwiń, a także sploty słów rzucane w nurt. Utkwiły mi też w głowie słowa trzech z nich:

– Jestem taki wrażliwy, a taki głupi – Podsiadło załamał ręce. – Wyczuwam tchnienie otchłani, zakreślam tysiące słów pozostawiając tylko te z mocą, ale potem się kończę. Nie potrafię ich zrozumieć, ani nadać im prawdziwego znaczenia. Nie potrafię ich nawet użyć, wciąż mieszkamy z trójką dzieci na tym samym poddaszu na Kleczkowie, a z dachu leje się woda, już misek brakuje.

– Mogę ci jakąś pożyczyć – odpowiedział Piotrowski, który chyba niezbyt uważnie słuchał.

– Ty to samo, żyjesz w nędzy. Świętym też nie zostałeś. Tylko popijamy herbatę i opalamy się w słońcu, a zimą w świetle lamp.

– W rzeczy samej – wtrącił się Alojzy – w rzeczy samej, ale w gruncie rzeczy przecież o to właśnie chodzi.

Innym znów razem, także tamtej wiosny, gdy Klub *Logosa* wziął się za poprawianie *Moby Dicka*, ojciec znów poprosił mnie o pomoc – miałem zanieść mu potrzebne

materiały, a matka niepokoiła się, czy będzie miał dość sił na taką drogę, więc wymogła na ojcu tę moją pomoc. Zimą przeszedł zapalenie płuc i nie mógł dojść do pełni sił. W rekonwalescencji nie pomagało mu, że nie chciał zmniejszyć czasu i ilości pracy – przeciwnie, pilnując terminów utraconych przez tygodnie spędzone w gorączce, zabierał pracę nawet do łóżka – gdy zasypiałem, ojciec jeszcze tłumaczył, gdy wstawałem, już to robił. Nie leczyły go też z pewnością spotkania u *Logosa*, z których jednak mimo nawału pracy nie chciał zrezygnować. Pan Dawidek, który już przed wojną był zawodowym medykiem, rozgrzeszał go jednak z tej słabości:

– Gdy poczujesz kołysanie w głowie zwolnij tempo, pamiętaj, że musisz się oszczędzać. Zimą czterdziestego czwartego ludzie padali od zapalenia płuc jak muchy, a część, która wydawałoby się wyszła już z choroby, nie wytrzymywała na przednówku i wyleczeni już, zdawałoby się, pacjenci w kilka dni tracili wszystkie kolory z twarzy i szli do ziemi. Ale dość tych ponurych wizji, bo widzę, że poeta Piotrowski, u którego dziś gościmy, przygotował piękną przepalankę.

Piotrowski mieszkał na granicy Nadodrza i Ołbina. W samotnej kamienicy cudem ocalałej przed katuszami i władzą ludową, która postanowiła jednak oddzielić dom od reszty świata Górką Słowiańską – kopcem wzniesionym z prochów miasta. Z drugiej zaś strony odcięcia od świata byliśmy nasypem kolejowym, który właściwie zamykał Nadodrze od drugiej strony. Była więc to ziemia niczyja, skryta przed wzrokiem ciekawskich. Zapomniana przez Najwyższego i Ludowych Komisarzy. Z ulicy Stalina, późniejszej Jedności Narodowej, dochodziło się do kamienicy uliczką wysadzaną kocimi łbami. Po bokach mając nieużytki, które można było uznać za zieleń miejską, skwer – na kopcu i boisko do gały u jego podnóża przeciętego właśnie przez tę ledwie ulicę – Namysłowską. I to właśnie sprawiało, że poeta czuł się tam doskonale pomimo tego, że sama kamienica w niczym nie przypominała bogatych i zdobionych stiukami domów, w jakich mieszkali pozostali członkowie Klubu. Nie przeszkadzały mu ani skrzypiące schody pokryte linoleum ani ciasnota wąskich korytarzy. Miał coś, co wraz z upływem lat w pozostałych częściach miasta stawało się towarem coraz bardziej deficytowym. Cięższym do zdobycia niż mięso czy cukier w najgorszym „kartkowym” okresie, w późniejszych latach już całkiem fantasmagorycznym – spokój. Do Piotrowskiego szło się kilkaset metrów od przystanku, ale to była wyprawa jak na bezludną wyspę. Członkowie Klubu, kierowani jakimiś atawizmami, taszczyli tam zawsze ze sobą – prócz zwyczajowej wałówki czy notatek i przyrządów kreślarsko-czytelniczych, które zabierali i na inne spotkania Klubu – koce, termosy, własne naczynia, a nawet węgiel, bo bywało, że Piotrowski nie tylko nie napalił przed przyjściem kolegów, ale i nie kupił wystarczająco dużo węgla na zimę. Mówiło się o nim, że to nie sprawa skąpstwa lub zwyczajnej biedy, ale że „nie ma do tego głowy”. Zaprzętały go bowiem obowiązki starokawalerskie. Jak było – nie wiem. Nigdy nie słyszałem, żeby mówiło się wtedy, że gdzieś pracował. Wierszy też nie pisał,

a w mieszkaniu widać było biedę, ale może rzeczywiście nie dbał o to wszystko, po czym rozpoznaje się dom zamieszkały przez kobietę. Podobno tygodniami żywił się tylko kartoflami ze smalcem i czarną kawą, a tą miewał doskonałą, bo miał jakąś znajomą celniczkę. Może sam rozsiewał na swój temat te dziwne plotki dla podtrzymania zainteresowania jego osobą albo dla zgoła innych celów. Już po śmierci ojca dotarła do mnie jeszcze jedna plotka, że Piotrowski znikł, bo przez wszystkie te lata był amerykańskim szpiegiem. Plotka jednak nie precyzowała, czy wyjechał do Ameryki, czy też władza ludowa dorwała szpiega w swych ostatnich podrygach. Jednak członkowie Klubu *Logosa* z rozsmakowaniem powtarzali tę wieść wobec rzeczywistego zniknięcia Piotrowskiego: prezydent Kennedy zainteresował się działalnością Klubu i przysłał tu swojego szpiega, by śledził jego poczynania, a może i je sabotował. Pamiętacie te jego nalewki? Kto wie, dokąd byśmy zaszli, gdyby nie one. Kto wie?

– To i raport o mojej wiśnióweczce – rozmarzył się Alojzy – wylądował na biurku w Białym Domu.

Jednak tamtego dnia, gdy nimb poety Piotrowskiego jeszcze się tak nie rozdał, usadzano mnie w jego nyży przylegającej do saloniku, w którym odbywało się zebranie Klubu. Była najciekawszym miejscem w tym mieszkaniu. Pełniła funkcję biblioteki i czułem się w niej trochę jak w rodzinnym domu, ale wybór dzieł zajmujących półki był zgoła inny. Szybko przeleciałem wzrokiem przez znaną mi klasykę i chłam, który nie wiedzieć jak wciska się do każdej biblioteki. Palcem przesunąłem, palcem prześlizgnąłem się po grzbietach współczesnej poezji. I zatrzymałem się przy olbrzymim, zajmującym prawie cały regał sekretarzyka stojącego na końcu pomieszczenia, wyborze albumów fotograficznych. Zdziwił mnie ten ogrom. Jak dużą trzeba by mieć rodzinę lub jak próżną żonę, by zgromadzić dziesiątki tysięcy zdjęć, które musiały kryć te albumy? Na środkowych półkach stały duże albumy w pięknych ręcznie robionych oprawach, dużo niemieckich, ale były i polskie z Galicji, Warszawy i zapamiętałem też jeden z Gdyni – paski jaśniejszej skóry ukazywały plażę i grzbiety fal. Niżej stały głównie współczesne wyroby w tworzywie ze spółdzielni niewidomych lub w sklepcie z Cepelii. Górę regału i blat wypełniały ułożone w sterty teczki i luźne papiery, zdjęcia przygotowywane do wklejenia, fragmenty kartonów, ścinki, kilka par nożyczek i nożyków, słoik z brązowym klejem i zatopiony w nim pędzel, poskładane szmatki, kilka szkieł powiększających. Na środku blatu leżała kupka zdjęć – jak gdyby gospodarz przeglądał je tuż przed naszym przyjściem i zdążył tylko obrócić je do dołu. Zerknąłem w stronę pokoju – przez wysunięty regał przy wejściu do nyży, stąd gdzie stałem – tuż przy sekretarzyku, widać było tylko kawałek ściany w saloniku. Wszystko jednakowoż słyszałem – zebranie rozkręcało się ze swą zwykłą dynamiką. Polewał, zdaje się, pan Alojzy, a *Moby Dicka* na głos czytał Podsiadło. Któryś – nie mogłem rozpoznać, czy gospodarz, czy Dawidek, częstowali ojca francuskimi paluszkami z kminkiem, które mi też wydzielili przed biblioteczną zsyłką.(...)

Zajrzałem pod odwrócone zdjęcie. Czarno-biała fotografia w rozmiarze dużego zeszytu przedstawiała coś, czego początkowo nie umiałem zidentyfikować, a jednak budziło to we mnie przyjemne napięcie. Na kolejnej, ukrytej pod spodem, już w formacie pocztówkowym, było to samo, a jednak inne, otoczone małymi włoskami. Obejrzałem się, by jeszcze raz przekonać się, że dorośli są zajęci swoimi sprawami. A potem wypłynąłem w rejs. Dziś mam już swoje lata, od kilkudziesięciu lat handluję antykami i fotografią, ale nigdy później nie widziałem takiej kolekcji starej pornografii. Wyciągałem na chybił trafił kolejne albumy i karta po karcie płynąłem przez wspaniałości, które do tej pory znałem wyłącznie z ponemieckiego wydania *Gebilde der Lust*, które odnalazłem w drugim rzędzie naszej biblioteki obok oryginalnych grafik *Xięgi Bałwochwalczej*, które mam i cenię do dziś. Prócz potężnej kolekcji detalu, żeglowałem również przez całopostaciowe akty i to, co dziś może najwyżej uchodzić za erotykę, ale gdy powstawało, było uznawane również za pornografię: fotografie kobiet w bieliźnie, w łóżku – przykrytych do pasa, zakładających pończochy, uchylających rąbki gorsetu. Kobiety różnych ras. W różnych pozach. Same i z mężczyznami. Klasyczne i żywcem wyjęte z książek markiza de Sade. Młodziki nimfetki i stare matrony pokryte zwałami tłuszczu i zmarszczek. Zabawne pocztówki, których sedno skrywało się pod otwieraną częścią – ruchomymi drzwiczkami lub przesuwaną kotarą. Były zdjęcia trójwymiarowe – zdublowane przez zielono-czerwone linie, na które należało patrzeć przez specjalne okulary. Był nawet mały klaser z fotografiami drewnianych fallusów, chyba przeważnie XIX wiecznych – ten jednak momentalnie odrzuciłem, zatracając się w bardziej kuszące rewiry. Podziwiałem kunszt starych fryzjerów i bogactwo przyrodzonych kształtów. Przerzucałem strony, zbliżałem twarz do kart, by niczego nie uronić, a potem gorączkowo przerzucałem kilka stron. Było mi gorąco, po kilku klaserach dostałem dreszczy. Na pytanie ojca, czy nie chcę herbaty, odpowiedziałem, że nie, że czytam. (...)

Potem przez wiele tygodni nie mogłem zasnąć, a na spotkania Klubu odbywające się u poety zawsze chętnie wracałem. Zajmowałem miejsce w nyży i jak Piotrowski zajmowałem się najwyższą formą poezji. Do dziś serce zaczyna mi mocniej bić, gdy widzę, że ktoś przynosi do antykwariatu stare albumy. Zawsze mam nadzieję, że może wśród nich będzie choć jeden z tamtej kolekcji, a ja przez moment poczuję w sobie tamten dreszcz rozkoszy. Jednak gdyby tak się stało, dałbym za niego każde pieniądze, ale nie otworzyłbym go, bo po otwarciu straciłby cały swój dreszczonośny potencjał. Doktor Opania, gdy opowiedziałem mu i tę historię, powiedział mi:

– Ach, to po to naprawdę zostałeś antykwariuszem? Chcesz odnaleźć swój album.

Być może miał rację. ■

STANISŁAW KAROLEWSKI



„Dniownik”, czyli kronika niezapowiadanych śmierci – część II (fragmenty)

Warstwy. Pierwsze słowo nowej części „Dniownika”. Nawarstwianie, jak podczas powstawania Ziemi, kolejne, możliwe do odsłonięcia po latach, nieznanie wcześniej, niemal geologiczne struktury. Po pobycie w Rzymie postanowiłem być archaiczny, bliski starożytności i dinozaurów. O Rzymie będę opowiadał stopniowo, żeby nie zanudzić siebie i innych. Warstwy narastają, powtarzają się, chociaż nigdy nie są takie same. Ci sami bohaterowie, ten sam narrator, to samo miejsce i w niewielkim stopniu modyfikowany czas równoległy do naszego życia. Mówisz mi, że powinienem zmienić radykalnie formułę i przestać epatować fragmentarycznością zapisu. Nikogo nie epatuję. Jestem fragmentaryczny. Składałem się z narosłych fałdów skóry i mięsa, potu i łez, radości i coraz częstszych stanów depresji, składałem się... Jestem zabawką, modelem do samodzielnego składania. W dzieciństwie nigdy nie udawało mi się niczego złożyć z gotowych, kupowanych w Składnicy Harcerskiej, elementów. Zawsze kółka samolotu nie pasowały do reszty korpusu, a papierowe skrzydła spadały przy pierwszej próbie lotu. Otrzymywałem ocenę niedostateczną z prac ręcznych oraz wpis do dzienniczka ucznia, który matka musiała podpisać. „Dniownika” nie ma mi już kto podpisać, osiągnąłem w nim dojrzałą samodzielność i stan doskonałej samotności. Wydarzenia wiodą mnie w nim na manowce, a wizerunki przywoływanych postaci są niepewne i niewyraźne. Tylko ty jesteś pewna i istniejesz naprawdę. Reszta jest milczeniem.

Obudziłem się dzisiaj o 6:16. Pamiętam tysiące pracowników fabryk w PRL-u, którzy o szóstej rozpoczynali pracę. Zmęczony, szary tłum zmierzający w otchłań socjalistycznego Lewiatana. Jest zupełnie ciemno. Wschód słońca, którego przeważnie nie widać, o 6.56. Niedługo powrócimy do czasu zimowego i będzie przez to zima, której nienawidzę. Coraz więcej sfer nienawiści, staram się przed tym uciec, ale nie jest to do końca możliwe. Uparcie wracam do słów, one są moim wybawieniem i pociechą. Jestem człowiekiem Słowa, nie Obrazu i mam przez to kłopoty w świecie rozpanoszonych

i natrętnych, zewnętrznych obrazów. Moje obrazy są wewnątrz mnie i nie zawsze mogę lub potrafię je ujawnić. Są piękne, dynamiczne, kolorowe. Poruszają się wokół swoich własnych osi, lśnią i mienią we własnym, wewnętrznym świetle. Ukazują sytuacje, postaci, momenty, które inaczej uleciałyby w Kosmos, czyli w niebyt. Sztuka pamięci pomnożona o nieustanne powroty i niekiedy o niemożność zapomnienia tego, co wraca natrętnie i uparcie, jak motyw głupiej piosenki, albo grzech z dawnych lat popełniony celowo i z premedytacją. Jestem grzeszny i tego nie żałuję, nie postanawiam się też poprawić. 6:17, na dworze nadal jest ciemno. Czekam na wschód słońca, myślę o grzesznych duszach, o zapomnianych przez historię ludziach uwikłanych w niechcianą przez nich Historię. Strumień świadomości płynie swobodnie w stronę uchylonego okna. Na szczęście jest w miarę ciepło, w miarę.

Sen o Warszawie. Jak w starej piosence. Skrzyżowanie Alei Jerozolimskich i Marszałkowskiej. Przeście podziemne, dawniej ze sklepikami i wszelkim ludzkim chłamek. Nie mogę zejść, ktoś wymienił schody i pierwsze stopnie przypominają granitową zjeżdżalnię. Dopiero dalej jest w miarę normalnie i można wolno schodzić do sali wykutej w skale, połyskującej świeżością i szarym odcieniem sklepienia. Przechodzimy obok. Sala to Świątynia Narodu, w której nieustannie odbywają się modły i gorliwe dziękczynienia. Na szczęście jest wąska dróżka pod jedną ze ścian, która pozwala dojść do wyjścia z tego podziemia, wprost na światło ulicy. Idziemy nie patrząc na bok. Lepiej nie patrzeć uważnie, bo strażnicy świątyni wyglądają na ludzi, z którymi raczej nie ma żartów. Przy wyjściu okazuje się znowu, że schody wykonano ze śliskiego granitu, po którym osuwamy się z powrotem na posadzkę sali. Na szczęście ktoś wybawił nas z tej opresji i włączył ukryty elewator, dzięki któremu wydostajemy się na zewnątrz. Uczucie ulgi i jednocześnie pamięć podziemnej sali wypełnionej zapachem więdnących kwiatów i dymem kadzideł. Jestem w państwie PiS, myślę, w państwie PiS.

Zabriske point Antonioniego. Straszna super-Ameryka. Dialogi o nasionach, które moglibyśmy zasiać sobie w głowie. Jedne wzrastałyby w sposób uporządkowany i poprawny, inne chaotycznie. Bohater filmu mówi, że ma w głowie dżunglę. Patrzę uważnie, Antonioni pod koniec lat sześćdziesiątych XX wieku zobaczył w Ameryce to, czego nie było jeszcze wtedy w takim stopniu w Europie. Szaleństwo konsumpcjonizmu przy jednoczesnej małości i nikczemności charakteru przeciętnego Amerykanina, ogłupiającego reklamami i chęcią zysku za wszelką cenę. Piękna ostatnia scena trwającego wiele minut rozpadu tego świata. Rozpada się wszystko, łącznie z książkami, gazetami, profuzją taniego jedzenia. Filmy z dawnych lat prorocze i mądre. Pamiętam, że w kinie

Zabriskie point wydawało się czymś zbyt długim i manierycznym. Pustynia jest mi teraz bardzo bliska. Jestem w niej i trwam w jej głębi oczekując na kolejne słowa. Mam niecałe dwadzieścia lat, długie włosy i niewiele więcej do ofiarowania. Czekam na ciebie stojąc na jej piaszczystych diunach. W głębi mojego oczekiwania wyschnięte rzeki i jeziora, które były tu przed wiekami, a teraz przypominają martwą skórę przedpotopowego gada. Ślizgamy się po niej. Jest ciepła, pokryta warstwą kurzu, który utrwala nasze ślady. Punkt, z którego widać więcej. Echo przeszłości zamienione w naszą dorosłą przyszłość.

PRL wraca nieustannie. Sny, które dzieją się w zatłoczonych autobusach, ulice szare i brudne. Gubię walizkę, a właściwie nie mogę jej wnieść do autobusu. Zostaje na ulicy i widzę, jak ktoś ją zabiera i szybko niknie w mroku. Już chyba nigdy się tego nie pozbędę, tak jak całe moje pokolenie. Pamiętam też piękne dni imprez i lata nad Bałtykiem, smak kremów sułtańskich i ciepło twoich rozkwitających piersi. To pamiętam na jawie, w snach wszystko zamienia się w traumatyczny obraz zmęczonego świata, od którego nie potrafię się wyzwolić. A powinno być odwrotnie. Sny piękne, a pamięć jawy ponura i smutna. Być może jeszcze nie śnimy, mówisz, nawet to nam się do końca nie udaje. Dzisiaj nie zaśniemy. Będziemy wspominać i opowiadać bez końca. Na tym polega wielka literatura. Na opowieściach bez końca. Mamy schowane w piwnicy muszelki i garstkę nadmorskiego piasku. Będziemy ją przesypywać pomiędzy naszymi dłońmi, aż zamieni się w prawdziwy brzeg morza i w poszum fal na dzikiej plaży tuż pod zielonym, omszałym klifem albo obok łodzi rybackich pachnących żywicą i złowionymi rybami. Szary autobus odjedzie bez nas, bagaże nie będą nam już potrzebne. Adam i Ewa nie mieli żadnych bagaży. Byli tylko ze sobą i dla siebie. Za to zostali ukarani przez zazdroszczącego im, samotnego Boga i równie zazdrosnego Szatana.

Patrick Süskind w *O miłości i śmierci* zastanawia się nad aseksualnością Jezusa. Wiedział o niej Diabeł i dlatego zaproponował mu władzę nad wszystkimi królestwami świata, a nie ładne dziewczęta i lubieżnych chłopców. Jak wiemy, propozycja została odrzucona, ponieważ Jezus wprawdzie nie zamierzał zrezygnować z władzy, *lecz w celu jej uzyskania postawił na inną, silniejszą partię*. I dalej: *Ten element kalkulacji, to (niemal) ciągle opanowanie, fakt, że nigdy nie wstrząsnęło nim odurzenie zesłane przez Erosa, otacza Jezusa z Nazaretu wielkim chłodem, nadaje mu swoisty dystans i nieludzki wymiar. Ale może żądamy od niego zbyt wiele. Może rzeczywiście był tylko bogiem*. Słowo „bóg” pisane małą literą, mała herezja na użytek eseju poświęconego w dużej mierze Orfeuszowi, który według autora *Pachnidła* jest nam bliższy *mimo swej egzaltacji i późniejszych dziwactw, z racji swej niefanatycznej odwagi, swych dobrych manier, swego absolutnie nieapodyktycznego dowcipu i mądrości – i pomimo oraz z racji niepowodzenia jego misji. Nie ulega wątpliwości, że Orfeusz był kompletnym człowiekiem*. Zastanawia określenie,

że Jezus był „tylko bogiem” i postawienie przez niego na inną, silniejszą partię. Niestety, nie dowiadujemy się, jaka mogłaby to być partia i czy obecny Kościół wypełnia stawiane przez Jezusa, jako przywódcy partii, wymogi. Nazarejczyk jawi się tu jako fanatyczny kaznodzieja, który wymaga bezwarunkowego posłuszeństwa i nigdy się nie myli (poza pomyłką z wyborem Judasza) i deklarując miłość do całej ludzkości, tak naprawdę nie kocha nikogo. Orfeusz kochając jedną kobietę, kocha całą uosobioną w niej ludzkość. Chętnie posłuchałbym naszych księży, co o tym sądzą i czy piekło Süskinda nie minie. Wiem, że nie takich wysyłali na stos i jak się wydaje, te stosy nadal w nich delikatnie, ale silnie płoną.

Dzisiaj Merkury przechodzi przez tarczę Słońca. Mało kto o tym pamięta. Następne przejście za trzynaście lat. Patrzę w promienną tarczę. Widzę trzy gwiazdy i złote powidoki na końcówkach rżęs. Niebo jest potrójne. W telewizji Obchody. To wszystko staje się wręcz nie do zniesienia. Menażeria, na którą muszę patrzeć już od czterech lat. Oczy zachodzą mi łzami. Merkury stopił się w ogniu i już prawie go nie widać. Ostatnio chodzimy na koncerty do Synagogi pod Białym Bocianem. Vadim Brodski i Jozsef Lendvay. Skrzypek wybitny i skrzypek genialny. Sztuka uszlachetnia, nawet w rocznicę Nocy Kryształowej. Nie umiem pisać o muzyce, jestem wobec niej całkowicie bezradny, tym bardziej że koncerty niosą ze sobą wprost do mojej jaźni płynne powietrze i miękkość aksamitu połączone z dźwiękiem tłuczonego szkła. Wszystkie dźwięki zabieram do domu, zawijam w chusteczkę, słucham ponownie modląc się do Boga Abrahama i Izaaka o kolejny dzień spokojnego słońca. Nowi faszyci rozwijają flagi europejskie, aby je później spalić. Wysyłam ich na Merkurego. Tam jest sporo ognia i na pewno nie ma Europy. Będą szczęśliwi, a my będziemy ich obserwować przez ogromne lunety. Noc kryształowa była w tym roku wyjątkowo ciepła. Piszę o tym, ponieważ być może za trzynaście lat nikt o tym nie będzie już pamiętał.

Człowiek podpisujący się w internecie jako „Żywy Płomień” na przystanku tramwajowym przy placu Jana Pawła II rozdaje ulotki, w których wyjawia, że obecny papież Franciszek jest masonem, promuje homoseksualizm i wielbi szatana. Żywy Płomień wieści nadejście Chrystusa, który objawił mu się 29.01.2019 roku, grożąc nam wszystkim, że niedługo Ręka Bożej Sprawiedliwości uderzy z pełną mocą na całą grzeszną ludzkość. Prorok jest niewysokim, chudym mężczyzną z czarną brodą i ogniem jedynej prawdy w oczach. Przechodnie biorą od niego ulotki, niektórzy wrzucają je od razu do śmietnika. Apokalipsa nie czuje się zbyt dobrze w śmietnikach świata. Być może ci, którzy wyrzucają przepowiednię, są ludźmi sprawiedliwymi i pobożnymi, i w związku z tym nie mają się czego obawiać. Ja nie jestem, dlatego zachowałem błękitną kartkę i trzymam ją w pokoju na honorowym miejscu. Widzę, jak niekiedy w nocy świeci

niewidzialnym światłem, udowadniając moc zawartą w słowach Żywego Płomienia. Gromadzę też według jego zaleceń więcej wody i żywności. Będę je miał w Czasie Próby. Weronika od dawna namawia mnie na jedzenie wegetariańskie, ono dłużej przetrwa. Może suszi? Japończycy mają swoje demony i nie są im potrzebne te znad Morza Śródziemnego. Japońska Mona Liza ma skośne oczy i rodzi wielu synów. Przyjeżdża tramwaj numer dwadzieścia trzy, wsiadam do niego razem z Prorokiem. Nie kasujemy biletów, rozglądamy się uważnie, czy w środku nie ma kontrolerów. Jest tylko Chrystus, ale on nas na pewno nie będzie nas kontrolował.

Światło pomiędzy. *Amazing grace*. Słucham uważnie, ale nie muzyka jest tutaj najważniejsza. Wydawało mi się, że wchodzę pomiędzy światło i jakąś nieznaną materię rozświetlającą ostatnie liście na drzewach. Czekam aż opadną. Mylą mi się litery, przedstawiam i na nowo próbuję je uporządkować. Dialog ze światłem nie bardzo się udaje. Ono znika i pozostają z pustymi dłońmi i pustką w oczach. Poezja, myślę, poezja, strumień piękności płynący niezauważalnie w naszym ogrodzie. Kołyszymy się na wietrze, czekamy na pierwszy śnieg. W Rosji podobno odnotowano minus pięćdziesiąt stopni, w Polsce nie jest aż tak źle i to wszystko dzięki Dobrej Władzy, która dba o to, aby żadna chmura nie zagościła, jak w dzieciennym wierszyku, na naszym bezchmurnym niebie. Mówisz, nie pisz o nich, pisz o świetle, o drzewach, o zwierzętach, pisz o nas. Jesteśmy coraz bliżej światła, ogarniającej nas najwyższej łaski. Zgarniamy liście na wielkie kopce, smażymy konfitury, jemu praliny nadziewane słodką masą. Blask bije z naszych twarzy i oświetla cały dom, aż po dym na kominie. Bawimy się analogiami, przesypujemy w rękach metafory. Jesteśmy ostatnimi ludźmi na tej planecie, których imiona zapisał ktoś na piasku w trudnym do odczytania alfabecie. Jesteśmy ze sobą i w sobie, przenikamy na białych płótnach utkanych z astralnego pyłu. Światło znika, ponieważ zaczął się kolejny dzień i nie jest już nam potrzebne. Może kiedyś powróci i wejdziemy w nie ponownie, jak dzisiejszego pochmurnego poranka.

Często pomiędzy Kuźniczą i Szewską spotykam mężczyznę objuczonego tobołami, który odbywa swoją tajemniczą podróż idąc nie wiadomo skąd i w sobie tylko znanym kierunku. Ma rozwichrzone włosy i lekki obłęd w oczach, czasami zaczepia ludzi prosząc o jakieś wsparcie, ale nie jest nachalny, odchodzi zaraz, przyzwyczajony do powszechnej ludzkiej odmowy. Kiedyś zaczepiał i mnie, ale najwidoczniej doszedł do wniosku, że to nie ma sensu, ponieważ spotykamy się prawie codziennie i nie mogę bez przerwy mu pomagać. Wiem jednak, że mnie rozpoznaje i stara się wtedy jakby przeproszać wzrokiem za swe żebracze zachowanie. Mijamy się szybko, zdarzało się nawet, że widząc go z daleka przechodziłem na drugą stronę ulicy, czego serdecznie żałuję i postanawiam się poprawić, a ciebie ojciec duchowny proszę o pokutę i rozgrzeszenie.

Idą święta, a on zawsze w tym samym rozpiętym płaszczu, z warstwami swetrów i wydeptanymi butami. Przeszedł już chyba pół świata i została mu druga połowa, którą być może przejdzie przed śmiercią omijając go najwyraźniej, tak jak ludzie, z daleka. Lubimy się nawet i patrzymy na siebie ze zrozumieniem. Ja staram się zrozumieć jego podróż, on moje uparte trwanie w tym samym miejscu od kilkudziesięciu już lat. Być może kiedyś się spotkamy w punkcie zero, na krańcach horyzontu. On wtedy się zatrzyma i będzie patrzył uważnie jak wyruszam na najdłuższą wędrówkę, dźwigając kilka tobołów, z szaleństwem w pociemniałych oczach.

Śmierć Marie Friedriksson i wręczanie Nobla Oldze Tokarczuk, wiadomości w jednym dniu od rana. Pamiętam pierwsze piosenki zespołu Roxette i Natalię, która koniecznie chciała jechać na ich koncert do Berlina. Który to mógł być rok? Jakaś końcówka lat osiemdziesiątych? Muszę sprawdzić. Nie pozwoliliśmy Natalii wtedy pojechać i ma o to do nas żal do dzisiaj. Dawne fascynacje, śmierć dzisiejsza. Drugie wydarzenie podniosłe i jak zawsze przepiękne. Tak mówisz, podniosłe i przepiękne. Król i królowa, dużo o Polsce, podniosłe i przepiękne. Mówisz: lepiej się nie odzywaj, hejterów jest wystarczająco dużo. Nie jestem hejterem, jestem wykwinnym znawcą literatury i takie wytlumaczenie powinno na razie ci wystarczyć. Może powiem coś później, a na razie myślę o kolejach ludzkiego losu i drogach do ludzkiej sławy. Powinienem być kobietą, dawno tak sądziłem. Kobiety są teraz w awangardzie. Muszę wydobyć z siebie na powierzchnię tę małą dziewczynkę, o której już pisałem i która ukrywa się we mnie od wielu lat. Małym dziewczynom nic nie dają, mówisz, najwyżej je molestują, zresztą po co mi druga kobieta w domu. I tak tu jestem, mówię i nic na to nie poradzimy. Molestowania się nie boję, myślę nawet o nim z pewną nadzieją i spodziewaną satysfakcją. Literat porządnie zmolestowany na pewno coś urodzi i będzie wtedy podniosłe i przepiękne. Daj już spokój, mówisz, pomódlmy się lepiej za duszę Marie Friedriksson.

Dostałem od Weroniki odznakę Pastafarianizmu. Muszę przyczepić ją do marynarki i nosić pełen dumy i chwały. Latający Potwór Spagetti jak żywy. Odznakę wyprodukowano w Chinach. Mam już koszulkę i firmowy durszlak. Muszę poważnie zająć się szerzeniem tego kultu na ulicy Lidzbarskiej i w jej okolicach. Ludzie wierzą w tak dziwne rzeczy, że jedna więcej, jedna mniej nie powinna ich dziwić. To samo przez to samo. Wolność, równość, braterstwo. Moja wiara jest swobodna i nie wymaga żadnych ofiar, jest łagodna i czuła, nie ma nadmiernie rozbudowanych rytuałów i kar za grzechy. Lubi muzykę Johna Denvera, który zginął młodo i śpiewał o tym, że czasami jest dobrze, a czasami jest źle i że musimy się z tym pogodzić. Groteska i absurd pozwalają nam przetrwać i szczęśliwie niszczyć nadmierną powagę i nadęcie tak zwanej rzeczywistości. Latający Potwór ma dwoje oczu na szpuliach i patrzy na mnie uważnie. Pochodzi

z odległych galaktyk, lubi makaron al dente i pizzę margeritę. Wszyscy tam jedzą ją od rana i popijają winem utoczonym z serca supernowej. Siedzimy za białym stołem, patrzymy leniwie, jak przestrzeń wypełnia się subtelnym seksem. Jest coraz większa/ coraz większy i też chce coś zjeść z naszego talerza. Ma okrągłą główkę i jedno wilgotne oko lub małe zachłanne usta. Potwór przygląda mu się uważnie, pragnie włączyć go do kolejnych obrzędów w głębi jaskini wypełniającej dzisiejszej nocy wnętrze mojego misteryjnego domu.

We „Wrocławskiej Gazecie Orszakowej” znajduję reklamę wypożyczalni „Kostium” z ulicy Wittiga. Można tam wypożyczyć skrzydła anielskie, tunikę rycerza rzymskiego albo kubraczek dla pastuszka. Nie wspominają o złocie, kadzidle i mirrze, nie mają też zapewne osiołka i wołu, ani żadnej rzeczy, która jego jest. Myślę o kubraczku pastuszka. Na pewno wyglądałbym w nim bardzo dobrze. Plebejskie pochodzenie, dziadek Okoń Franciszek, chłop z chłopą, krew z krwi. Sporo o wychowaniu dzieci i młodzieży w szkołach niekoedukacyjnych, za to sprzyjających każdej z płci osobno. Czytam uważnie o stowarzyszeniu „Mężczyźni św. Józefa” i o tym, że Mężczyzna św. Józefa stale pracuje nad sobą i swoimi relacjami z żoną i dziećmi w obecności Chrystusa i melduje się w jednym szeregu z innymi, gdy jego wartości są w niebezpieczeństwie. Nie napisano, co robi dalej w tym szeregu i czy jest uzbrojony. Trochę mnie to niepokoi, podobnie jak założenie stałej obecności Chrystusa w mojej kuchni i sypialni. Wątpliwości narastają. Być może przez to po raz pierwszy w życiu nie wpuszczono mnie do kościoła. Stojący przed zamkniętymi drzwiami świątyni mężczyzna odmówił mi wstępu twierdząc, że takie jest polecenie księdza proboszcza. Powinienem przyjść na początku albo po skończeniu mszy, a nie w jej trakcie. Idea kościoła zamkniętego dla potencjalnych wiernych nawet mi się podoba. Tylko dla wtajemniczonych, wejście w określonych godzinach, najlepiej z legitymacją członka bractwa Mężczyzn św. Józefa, lub ze skrzydłami anielskimi, albo w kubraczku pastuszka. Muszę sobie na drugi raz taki wypożyczyć i mieć w kieszeni trochę złota. To zawsze się przyda. O złocie pozostawionym w Betlejem jakoś nic nie słyhać. Musiało zagać i pozostał dla nas tylko rozwiewany przez zimowy wiatr zapach kadzidla.

Od pewnego czasu wzmacniamy żaluzje, kupujemy nowe zasłony, myślimy o podwójnych drzwiach do piwnicy, o szafie zamykanej na kilka zamków. Wiemy, że niedługo przyjdą do nas barbarzyńcy. Nie czekamy na nich, ale wiemy, że oni przyjdą. Są coraz bliżej i być może już stoją za naszymi drzwiami, ale na razie wysłali niewidzialne forpocztę wywołane z odmetów chaosu przez ich głównego Szamana. Jak w filmach o końcu świata, który szczęśliwie w wersjach rodem z Hollywood zostaje odsunięty dzięki dzielnym bohaterom i niespodziewanym zwrotom akcji. Nasz film kręcony jest w innym

tempie i być może niekiedy zacina się na źle połączonych sklejkach i przez to, że taśma ma już swoje lata. Jest tego parę rolek, ale nie aż tak wiele, żeby nie można było ich zniszczyć jedną zapałką albo uderzeniem pałką wykonanym przez funkcjonariusza straży przedniej. Podobno niektórzy barbarzyńcy mają ludzkie oblicze i dopiero jak się im uważnie przyjrzeć, to pod spodem widać prymitywne i chamskie maski. Nie mamy gwarancji, że będziemy mieli czas na przyglądanie się ich twarzom. Błazen ma zawsze kilka twarzy, podobnie jak kat lub zaprzędany barbarzyńcom kapłan. Musimy kupić trochę żywności i ukryć ją w schowku pomiędzy książkami. Tam na pewno nie zajrzą, mądrość barbarzyńców oparta jest na sile, a nie na słabości zawartej w zadrukowanym papierze. Okiennice już są zabite gwoździami. Mamy zapas świec i wodę święconą, którą barbarzyńcy podobno piją prosto z wiadra. Na pewno nas nie ochroni, ale pozwoli nam godnie odejść, kiedy puszcza ostatnie gwoździe i ostatnie wiadro będzie już puste.

We śnie przedziwne sceny dziejące się w trakcie kolejnej podróży. Oglądam zabytki, to znaczy powinienem je oglądać, ale trafiaam do jakiejś podejrzaney dzielnicy, w której tanie knajpy i liczne lokale z gołymi panienkami. Na łóżkach w małych pokojach leżą księża i proszą, żeby ich nie filmować. Na ścianach ktoś wyświetla kolejne odcinki serialu, którego tytułu nie pamiętam. Atmosfera z *Psa Andaluzyjskiego* i rozkosznych browarii surrealistów. Coś się z tym wszystkim stało, jesteśmy nadmiernie poważni, nadmierna powaga zabija każdą sztukę. Ściany niespodziewanie zaczynają się poruszać. Musiałem gdzieś to już widzieć. Widziałem już prawie wszystko, gadające głowy, mury, które runęły, katedry zamieniane w gęsty las, Matkę Boską karcącą Dzieciątka Jezus. Poszukuję nowych wrażeń, nawet za cenę herezji lub wędrówek po zakazanych dzielnicach. Księża przyglądają mi się uważnie, mają moc odpuszczania grzechów. Szkoda, że nie są prawdziwi, to i grzechy pewnie nie są prawdziwe. Dzięki temu nie pójdziemy do piekła i ominie nas Sąd Ostateczny. Sen wszystko wyrówna i wszystkich zbawi. Nie wolno się tylko zbyt wcześnie obudzić.

Czytam opis londyńskiej zarazy z roku 1667 Daniela Defoe. Książka napisana przez pobożnego buchaltera. Podręcznik dla opisujących wszystkie tego typu dopusty Boże. Tysiące śmierci opisywanych monotennie i od pewnego momentu beznamiętnie. Opatrzność w tle i totalny brak sprzeciwu wobec Jej wyroków. Poza tym wszystkie plagi i nieszczęścia, jakie może wywołać nagle rozwijająca się i prowadząca do niechybnej śmierci choroba. Nie był naocznym świadkiem, miał wtedy pięć lat i swoją opowieść napisał na podstawie zachowanych dokumentów gromadzonych systematycznie w czasie zarazy przez władze Londynu. Podziwiam skrupulatność spisów kolejnych zgonów w poszczególnych parafiach. Dla kogo oni to robili? Dla Pana Boga? Dla Króla? Dla Potomności? Bez nazwisk, proste zestawienia robione w starannie wykreślanych

tabelach. Po lewej zgony inne, po prawej – spowodowane zarazą. Pod spodem podsumowanie danych i zestawienia z poprzednimi dniami. Defoe jako narrator przechadzający się po ulicach wymarłego Londynu, reportaż, który nie jest reportażem, ale sprawia wrażenie relacji uczestnika tragicznych wydarzeń. Fikcja, która chce być prawdą i w jakimś sensie się nią staje. Przestajemy ją zauważać, ulegamy sugestii bezpośredniości zapisu, nie widzimy już literackich czy wręcz powieściowych zabiegów autora. Chłodne oko sprzed wieków, wtopienie w realia znane z drugiej ręki. Robinson, którego głos słyszymy po raz kolejny i jego tajemnicze i budzące grozę przypadki w sytuacji ekstremalnej. Dwukrotnie przeżył i zwyciężył ciężące nad nim Fatum. Dwie nieskończoności zamienione w światło nie tyle Rozumu, co Nadziei.

Pascal: *Gdyby wszyscy żydzi uwierzyli w Chrystusa, mielibyśmy jeno świadków podejranych; a gdyby ich wytępiono, nie mielibyśmy wcale świadków* i dalej: *Żydzi zabijając Go, aby Go nie przyjął za Mesjasza, dali mu ostatnie znamię Mesjasza. Upierając się nadal nie uznać Go, stali się nieposzlakowanymi świadkami; zabijając Go zaś i przecząc Mu nadal, spełnili prorocstwo*. Ciekawa logika, prawda poprzez zaprzeczenie, zgoda na coś lub na kogoś jako nieprawda. Nieposzlakowany świadek to ten, który wypełnia prorocstwo o odrzuceniu. Żydzi jako konieczne i nie do końca podlegające wytłumaczeniu wypełnienie woli Bożej, element układanki, bez której Chrystus nie byłby Chrystusem, a tylko jednym z nich, wędrownym kaznodzieją, o którym pamięć zaginęłaby, tak jak o tylu innych fałszywych prorokach. Dla Pascala nie istnieją w tej kwestii niuanse. *Albo Żydzi albo chrześcijanie muszą być źli*, a jedni i drudzy mają swoje problemy, ponieważ *nie ma Odkupiciela dla Żydów, spodziewają się go na próżno* i jest za to *Odkupienie jedynie dla chrześcijan*. Najlepiej, oczywiście według mnie, nie według Pascala, mają poganie, ponieważ *Odkupiciela nawet się nie spodziewają*. Nie jestem człowiekiem Dawnej Księgi, nie śledzę tajemnych splotów kolejnych znaków i przepowiedni nieznanego autorstwa. Jako poganin odczytuję znaczenie świata z kropli spadającego deszczu, z poszumy wiatru, ze smaku ziemi. Niczego i nikogo nie odrzucam, nie potrzebuję niczyjej zgody ani potwierdzenia. Zaprzeczam co najwyżej sam sobie. I to musi mi wystarczyć. Wiem, że i tak jestem przez to podejrzany i dlatego proszę o łagodny wymiar kary, na tyle na ile jest to oczywiście obecnie możliwe.

Pozwólmy sobie dzisiaj na poezję. Może i ona na coś sobie pozwoli. Coraz częściej widzę ją jako starą damę z widocznymi jeszcze na twarzy śladami niegdysiejszej urody. Mówisz: ach gdzie są niegdysiejsze śniegi i ona staje się na nowo, rozkwita na naszych oczach niepomna swojego wieku i trudów, jakie musiała znosić przez tysiące lat. Podziwiana i tępiona, wiodąca lud na barykady i pogardzana przez ten lud w sposób krańcowy i absolutny. Komputer przy słowie „lud” podpowiada mi „ludożercy”. Nareszcie się

obudził i towarzyszy nam dzisiaj od rana. Jest piękny dzień i ludożercy nie zdążyli nas jeszcze pożyć. Pościmy na maśle, dokonujemy świętych ablucji. Poezja przygląda się nam nieufnie. Nie żeby nie lubiła czystości, ale dziewica to ona na pewno już nie jest. Gwałcono ją wielokrotnie tylko po to, aby później ułożyć na dywanie z polnych kwiatów i piór rajskich ptaków. Mówisz: musisz się przed nią bronić. Przychodzi zbyt łatwo i masz przez to kłopoty w życiu i poza życiem. Trwa to już tyle lat i nie chce się zmienić. Inni potrafią ją sprzedać jak na targu niewolnic lub przynajmniej kupczyć jej ciałem pośród obojętnego tłumu. Za bardzo ją szanujesz i nie potrafisz wykorzystać we właściwym momencie. Właściwy moment poezji. Poezja nie ma właściwych momentów i nie bywa, raczej jest i przypomina chłodny strumień, który płynie nieustannie przez krainę ludożerców. Niektórzy się w nim topią, inni próbują przepłynąć na drugi brzeg. Styks łączy się z nią w cieniu odległej delty, gdzie najbardziej znużone rzeki i chłodne strumienie wpadają w końcu do morza.

Śniła mi się rewolucja. Barykady pod Uniwersytetem i na Rynku obok Ratusza. Stosy płonących starych mebli. Policyjne suki polewające ogień strumieniami wody. Pod kościołem uniwersyteckim gromadka zakonnic w białych nakryciach głowy z palcami uniesionymi w geście wiktorii. Tłumy młodych ludzi protestujących przeciwko obecnej władzy. Takie sceny widziałem kilka razy w życiu. Ludzie byli kiedyś bardziej ludźmi, a nie zastraszoną i przekupioną za trzydzieści srebrników gromadą, młodzieżą młodziem, a nie korporacyjnym stadem wpatrzonym bezmyślnie w smartfony. Ogień ugaszono, barykady zniknęły. Pamiętam, że ktoś jechał ze mną w samochodzie i uciekaliśmy w stronę Odry przez bramę w wysokim murze. Kim był ten człowiek, nie wiem, ale razem patrzyliśmy, jak wszystko zamiera i niknie. Moje sny są coraz bardziej realne i prozaiczne. Są bardziej realne od tego, co mnie otacza. Żyję w świecie fikcji narastającej z dnia na dzień. Muszę się przed nią bronić, wracać do przedmiotów, osób, słów naprawdę wypowiedzianych. Wracać do tego pokoju, do tego pochmurnego poranka, do tej muzyki. Muszę zaczerpnąć jeszcze jeden oddech i jeszcze jeden i jeszcze... One przestają się łączyć, odczuwam to coraz bardziej boleśnie. Na barykadzie zostały stara kanapa i biała zakonnica w czepcu w kształcie gołębic. Kiedy odwróciłem się, aby po raz ostatni zobaczyć ten widok, ktoś chciał zamienić mnie w słup soli. Na szczęście zdołałem się obudzić i mój oddech powrócił do porannej normy. Na szczęście...

Według Friedricha Schillera *Sekta staje się religią, gdy przechodzi od zabijania swych wiernych do zabijania niewiernych*. Ciekawe, kiedy obecna, posiadająca władzę polityczna sekta zacznie nas zabijać. Na razie szczęśliwie nie radzą sobie do końca ze swoimi, ale to tylko kwestia czasu i pieniędzy. Chciałem uciec od tego, okazuje się niestety, że jest to niemożliwe. Wczoraj cały dzień układałem tekst o wrażliwości, o jej

potrzebie, o kruchych istnieniach narażonych na zagładę w świecie ostrych przedmiotów. Był prawie gotowy, lecz nadział się jednak na zewnętrzne ostrza, załamał, przestał odpowiadać na moje pytania. Zbieram go dzisiaj ostrożnie, składam z setek fragmentów, okruców, nie jestem pewien, czy uda mi się to zrobić. Nie da się skleić potłuczonego lustra, kruche istoty tak szybko są zabijane, niszczone i wyrzucane na śmietnik. O wielu z nich nie zdążymy się nawet dowiedzieć, przemijają błyskawicznie tracąc swój kształt i formę, zbyt słabe, aby zatrzymać chociaż przez chwilę na sobie nasz wzrok. Powinniśmy o nich myśleć nieustannie, dedykować poematy, opisywać w prasie codziennej. Może wtedy czas religii się nie wypełni i staniemy się wolni wolnością bogów i ludzi obdarzonych kruchą wyobraźnią.

Sen pisarza Andrzeja W. opowiedziany mi przez telefon. Stoimy obaj przy trumnie zmarłej wiele lat temu matki Andrzeja, która nagle zaczyna się poruszać i z nim rozmawiać. Ja tego nie widzę i nie słyszę, jestem niemym świadkiem czyjegoś dobrego zmartwychwstania. Nie wiem w związku z tym, jaka jest do końca moja rola w tym śnie. Może tylko przechodziłem nieopodal lub potrzebny był ktoś, kto mógłby zaświadczyć o całej sytuacji. Nie znamy praw rządzących światem umarłych, którzy pojawiają się i znikają niezapowiedziani. Nie można ich wywołać ani zmusić do niczego. Są nieprzewidywalni, dopuszczani do nas poprzez krainę naszych fantasmagorii i snów śnionych nad ranem, kiedy sami nie jesteśmy pewni tego, czy jeszcze istniejemy, czy raczej przechodzimy na drugą stronę tęczy, tak ostatnio postępowanej i opluwanej przez rodzimych chamów i matolów. Znak przymierza, który stał się znakiem odrazy i wyzwisk, jedna z najbardziej zdumiewających przemian znaczeń symbolu w ostatnich latach, do której przyczynił się polski Kościół i obecny paranoiczny rząd. Rozmawiamy z Andrzejem o naszych planach literackich, równie fantasmagorycznych i niespodziewanych jak łuk tęczy. Przyświeca nam blask komety i pewność, że umarli nie wstają z grobów. Literatura rodzi się sama i sama też umiera.

Czasami modlę się do Boga. Wiem, że on również wtedy modli się do mnie. Lubi moje małe herezje, być może dlatego, że to On sam je wymyśla, a później przygląda się im z zadowoleniem, ponieważ wie, że stanowią Jego istotę i bez nich nie mógłby istnieć w całej pełni. Tak porozumiewamy się na odległość, która nie jest odległością w sensie przestrzennym, raczej formą momentalnego przenikania. Chcąc jeszcze zmniejszyć ten dystans, powinno się czytać dobrą poezję, gdyż w niej zawarta jest chwila błysku, uderzenie boskiego sposobu myślenia dane nam za pośrednictwem poetów. Zdanie Rilkego: *Pozbawieni instynktu migrujących ptaków, nie jesteśmy pełni. Pozbawieni piór i opieszali, zniewalając wiatry, połyskujemy w lagunach nieproszeni* jest tożsame z boskim językiem i Jego najbardziej żarliwą modlitwą. Jest w nim wiele znaków i pouczeń, jak w Kazaniu na Górze. Niekiedy próbuję Mu w ten sam sposób odpowiedzieć, ale nie jest to łatwe i moje próby często załamują się na krawędziach słowa. Składam z nich

jakąś całość, walczę o prawo do kolejnego fragmentu, do mojego głosu o coraz bardziej siwiejących włosach. Siwiejący na skroniach głos, niezbyt zręczna personifikacja, mówisz, niezbyt zręczna. Lepiej powiedz coś o ptakach połyskujących w lagunach i zniewalających nas wiatrach. O naszych instynktach tak czułych i niepełnych przed odlotem.

Przepłynął nade mną święty żółw. Nie wiem, dlaczego tak pomyślałem. Skąd świętość, bo żółw był jak najbardziej realny i płynął w błękitnym, wodnym tunelu we wrocławskim Afrykarium. Kiedyś ten budynek bardzo mnie drażnił. Zaburzał swym ogromem perspektywę ogrodu zoologicznego, wydawał mi się obcym, brutalnym wtrętem w subtelną siatkę dróg i drózek zaplanowaną przed wojną. Uwielbiałem oglądać lwa Astora i kalekę czarną panterę poruszającą się w ciasnej klatce na trzech łapach. Pamiętam album autorstwa Jana Żabińskiego i z fotografiami Jana Styczyńskiego *Zwierzęta bliskie i dalekie*, w którym było sporo zdjęć z Wrocławia. Oglądałem go nieustannie, zachwycony lemurami potto i koroną żurawia koronowego. Być może mój święty żółw już wtedy był na świecie. Żółwie żyją długo i mają pamięć obejmującą miliony lat. Na dworze tłumy Polaków i Polek w maseczkach i bez. Jestem coraz bardziej zmęczony ich widokiem. Powinienem być teraz na błękitnej lagunie albo płynąć z ciepłymi wodami Golfstromu. Zjeść zupę z gniazd jaskółczych i zapalić kubańskie cygaro. Na Galapagos jest piękna pogoda. Lew Astor już nie żyje, nie żyje też czarna kaleka pantera. Odnotowuję to w „Dniwniku”, aby zaprowadzić pewien porządek w sprawach życia i śmierci. Ich świętość po latach uwięzienia jest niezaprzeczalna.

W *Lochach Watykanu* André Gide'a wspaniały opis walki jednego z bohaterów z hotelowymi pluskwami, pchłami i moskitami. Książka obrazoburcza, opublikowana w roku 1914, pełna uroczych bon motów i sensacyjnych zwrotów akcji rodem z kiepskiej powieści kryminalnej. Teatr marionetek poruszanych przez zręcznego kuglarza, którego bawią opisywane sytuacje i mocno papierowe postaci, łącznie ze słynnym Lafcadiem Wluiki. Pluskwę, pchłę i moskity są realne i najwyraźniej wpływają z osobistego doświadczenia autora, reszta nierealna, a jej immoralizm natychmiast tłumaczony pokrętnymi losami głównego immoralisty, bastarda i Rumuna na dodatek. Nasz immoralizm jest zupełnie inny i przybiera ostatnio wymiary politycznej apokalipsy. Władza, która popiera grzech i zło, czyniąc z nich podstawy opresyjnego systemu i mając jednocześnie w głębi pełno pseudoreligijnych frazesów staje się coraz groźniejsza. Nie umiem/nie umiemy tego powstrzymać. Niedługo może dojść do rozlewu krwi i nie będzie to symboliczny mord w stylu Lafcadi, ale prymitywny cios zadany Innemu przez poszczutego przez rządzących chamo-Polaka. Nasz teatr marionetek przybiera coraz bardziej realną postać i nie ma kto opuścić nad nim kurtyny, zrzucić ze sceny nędznych figurek, pozostawić je na żer pluskw, pcheł i moskitów, ostatecznie zgasić światło.

Mecze bez widowni. Podkładany sztucznie krzyk stadionu i atrapy widzów. Na szczęście piłkarze jeszcze są prawdziwi, ale niedługo będą grać jedynie ich fantomy i piłka zamieni się w grę rozgrywaną pomiędzy bardziej lub mniej zdolnymi programistami. Wszystko na pół gwizdka, na trzy czwarte, spektakle kinowe, przedstawienia teatralne, wykłady mówione do ściany. Stajemy się niepotrzebni, niszczeni przez strzępki wirusa i czynione na chybił trafił zarządzenia Władzy, która dzięki temu zyskuje nad nami coraz większą dominację. Siedzę w białej otulinie, czytam fragmenty „Dniewnika”, wołam o słońce nad światem, jestem od zawsze swoją widownią, piszę sobie a Muzom. Niektóre z nich nie są tym tekstem zainteresowane. Wolą puszczać się z Apollem i upijać do nieprzytomności. Staram się je zrozumieć. Sztuka bywa nudna i nieprzewidywalna. Seks jest ciekawy i przewidywalny. Przynajmniej wiadomo jak zawsze się kończy. Wyłączam telewizor w połowie meczu. Nie da się tego oglądać. Wszyscy udają zaangażowanie, ale całość przypomina trening na bocznym boisku. Pijemy z moją Muzą miętę i rumianek, boskie napoje z Herbatolu. Przydałoby się trochę seksu, ale w ogrodzie zagnieżdżyło się stado lisów, które uważnie się nam przygląda i nie pozwala na zbyt śmiałą akcję. Pusta przestrzeń wypełniona tylko wirusem zaczyna obejmować peryferyjne ulice naszego miasta. Apollo pozuje do kolejnych posągów. Jego jądra nowi artyści utracają zapobiegliwie, jeszcze przed ich ostatecznym wyrzeźbieniem.

Błąkam się, zabłąkanie, błędzący, wszystko blisko siebie. Zabłąkany pies na ulicy Fromborskiej, smutek w psich oczach. Myślę, że trudno jest nam sobie wyobrazić takie zagubienie, ponieważ to jest tak, jakbyśmy byli bezdomni na obcej planecie nie mogąc się z nikim porozumieć, w odmiennej postaci niż wszyscy, którzy nas otaczają. Odczuwam fizycznie jego przerażenie, ono przenosi się na mnie, dotyka od wewnątrz. W telewizji opowiadają o tym, jak dobrze jest psom na łańcuchu i jak spokojne są noriki w chwili zabijania. Rządzą nami obecnie psychopaci i sadyści, chamstwo zyskało nadrzędną, polityczną sankcję. Błądę pomiędzy nimi, staram się ukryć, porastam psią sierścią. W nocy spotkanie z ojcem, który chce, abym mu pomógł narąbać drewno na opał. Nasi zmarli mają coraz dziwniejsze żądania. Mówię mu, że nigdy tego nie robiłem. Nie lubię prac fizycznych, nie uprawiam roli, nie jestem górnikiem ani górale. Coraz mniej nadaję się do życia wśród naszego ludu, a może po prostu nigdy się do tego nie nadawałem. Jestem dla nich doskonale bezużyteczny. Błąkam się pomiędzy słowami, układam z nich moje modlitwy, głaszczę opuszczonego przez wszystkich psa. Tak będzie już do końca. Nasi zmarli wiedzą o tym najlepiej. Są w nas przez jakiś czas, a później znowu stają się bezdomni jak zagubione psy.

Uczę się samotności. Nie jest to łatwe. Jestem dopiero w pierwszej klasie, no, może drugiej. Nauczyciele nie zawsze przychodzą i muszę się jej uczyć sam. Nikt nie może

mi w tym tak naprawdę pomóc. Czasami tylko rozbrzmiewa dzwonek na przerwę, którą wykorzystuję skwapliwie, aby pobyć z kimś albo kogoś zobaczyć. Później wracam do mojej pustej klasy z wiszącą na ścianie tablicą zapisaną w nieznanym mi języku. Nie znam bowiem języka samotności. Jest bardzo trudny i wymaga wielu lat, aby go opanować. Podobno jak się już go nauczy, jest łatwiej, ale na razie opanowałem dopiero parę pierwszych zdań, które wymawiam z trudem i najprawdopodobniej z licznymi błędami. Są też ćwiczenia praktyczne z gotowania, prasowania, sprzątania, porannego wstawania z pustego łóżka, picia kawy z ostatniego kubka, rozmów z lustrem albo z telewizorem, zamykania drzwi domu, gaszenia światła, pamiętania o wszystkim, co jest potrzebne i co potrzebne nie jest. Czasami powinienem się też ogolić, nie możesz się tak zapuszczać, a i paznokcie i włosy wymagają obcięć, idziesz przecież między ludzi i jak cię widzą tak cię piszą. Lekcja trwa już parę lat. Nie jestem pojętnym uczniem. Bronię się przed przejściem do następnej klasy, czepiam kurczowo ławek, piję z papierowego kubka ciekawą herbatę kredą zabielaną.

Napis na tablicy przed kościołem: „Dobry Bóg uspokaja wszystko. Wejść na rekolację”. Brzmi groźnie i niezbyt zachęcająco. Raczej nie skorzystam. Ktoś założył, że jesteśmy niespokojni i potrzebna nam jest duża doza konsolacji. Ulica, którą idę, jest zupełnie pusta, na placu przed kościołem barokowa figura Jana Nepomucena, patrona tajemnicy spowiedzi. Patrzymy na siebie, moja spowiedź powszechna trwa nieustannie od kilkadziesiąt lat. „Dniewnik” ją zintensyfikował. Pamiętam, jak przeliczałem pełen obaw grzechy, dzieląc je na lekkie i ciężkie. Tych ciężkich raczej nie ujawniałem, o lekkich mówiłem spokojnie i bez obawy, że nie dostanę rozgrzeszenia. Znudzony moją spowiedzią ksiądz przeważnie dawał mi za pokutę odmówienie dziesięciu zdrowasiek i jednego ojciec nasz. Odmawiałem je od razu, aby móc znowu grzeszyć i mieć spokój na co najmniej tydzień, do następnej spowiedzi. Dobry Bóg uspokajał mnie, że to nic takiego, wisząc spokojnie na krzyżu i patrząc na mnie z wysoka. Wiedziałem/wiedzieliśmy, że cała ta historia na pewno dobrze się skończy. Zdrowaśki mają taką ożywczą i oczyszczającą moc. W kościele był mrok, w moim kościele zawsze było mroczno i zimno. Proboszcz nie miał na ogrzewanie i musieliśmy się ciepło ubierać, aby nie zmarznąć w czasie mszy. To wszystko przez komunę, mówiła matka, nie pozwalają nam na nic. Później założono ogrzewanie, ale ja przestałem tam chodzić. Spokojność, po którą wstępuje się do piekieł. Piękna fraza. Wiersz nosi tytuł *Niepewność* i jest wyznaniem niepewnej siebie miłości.

Rozjazd przy ulicy Łokietka. Widzę poniemiecką kamienicę, której tam nigdy nie było. Musi zniknąć i już nigdy się nie pojawiać. Tramwaj jest wypełniony przypadkowymi pasażerami. Znam te okolice z innych snów i wiem, że jest tam dużo ciemnych

zaułków i niespodziewanych, krętych przejść. Musimy wysiąść, aby móc powrócić na plac Kościuszki, ponieważ gramy dzisiaj mecz z sąsiednim podwórkiem i beze mnie się on nie odbędzie. Tylko ja mam skórzaną prawdziwą piłkę bez szwów, którą dostałem od ojca na urodziny. Uroki PRL-u, poobijane kolana, całe dni spędzane na dworze bez jakiegokolwiek opieki dorosłych. Musieliśmy sobie radzić sami, samodzielnie ustalać zasady i hierarchie, które później ktoś niepostrzeżenie zniszczył i połamał albo może raczej usunął sprzed naszych oczu. Budzimy się i zasypiamy ponownie w nowym wspaniałym świecie. Koszmar obecnej władzy trwa nadal, katotaliban w pełnym uderzeniu, poronione faszystowskie upiory wypełzają na światło dzienne ze wszystkich śmietników historii. Pytasz mnie, kiedy to się skończy, kiedy znikną z naszego życia te prymitywne karykatury mappetów. Chcę zasnąć, uciekam na jasne podwórka wypełnione słońcem i porośnięte zieloną trawą, która wkrótce zniknie pod betonowym pancernem. Ci z sąsiedniego podwórka nie przyszli. Najwidoczniej przestraszyli się naszego ataku i mojej gry na skrzydle. Dzięki temu kolana wydobreją i nie będę musiał ukrywać kolejnych ran przed matką. Tramwaje jeżdżą na wpół puste. Pandemia. Ludzie omijają się z daleka. Piłki dawno nie ma i nigdy nie było już równie pięknej.

Kościół przypominający ogromny amfiteatr wypełniony tłumem wiernych. Część z tych ludzi wydaje mi się znajoma. Przychodzę tu z grupą przyjaciół, jak zawsze specjalnie spóźniony, żeby nie słuchać mszalnych kazań. Siadamy z boku, w rękach mamy pęki suchych kwiatów, które nagle rozkwitają. Wołamy szczęśliwi i wolni: „to już jest koniec, nie ma już nic”, słowa refrenu z piosenki sprzed lat wypełniają świątynię aż po sklepienia i dalej. Nareszcie niczego nie musimy robić, w niczym uczestniczyć, nikogo słuchać, nikogo wychwalać na wysokościach. Poczucie absolutnego szczęścia i wyzwolenia z wszystkich religii świata. Amfiteatr pustoszeje, pozostajemy w nim sami. Przypomina ten, który widziałem w greckiej Macedonii niedaleko Kawali. Też był pusty pustką sceny, z której zeszli już po wieczornym przedstawieniu aktorzy. Podobno wystawiano na nim współczesne sztuki w antycznym otoczeniu, pod ciemnobłękitnym niebem i słońcem zachodzącym w oddali. Na proscenium stał jeszcze biały żagiel rozpięty na drewnianym maszcie. Wiatr poruszał płótnem, które chciało ulecieć nad pobliskie morze i do dalekiej Itaki. Jaszczurki biegały po gorących od upału kamieniach i girlandy purpurowych kwiatów oplatały pozostawiony tu nieostrożnie przez dawnych budowniczych fragment muru. Kolejne wibracje powietrza spływały na nas z wysokości. Muzyka sfer, powiedziałaś, tu ją najłatwiej jest usłyszeć i zapamiętać.

Opukuję wszystkie ściany srebrnym młoteczką. Słucham, przykładając ucho do podłogi. Mam też stetoskop i gumowe rękawice. Nasłuchuję życia. Czy jeszcze jest tutaj, a może jest w tym miejscu? Nie wiadomo. Niekiedy odpowiada, ale częściej jego głos

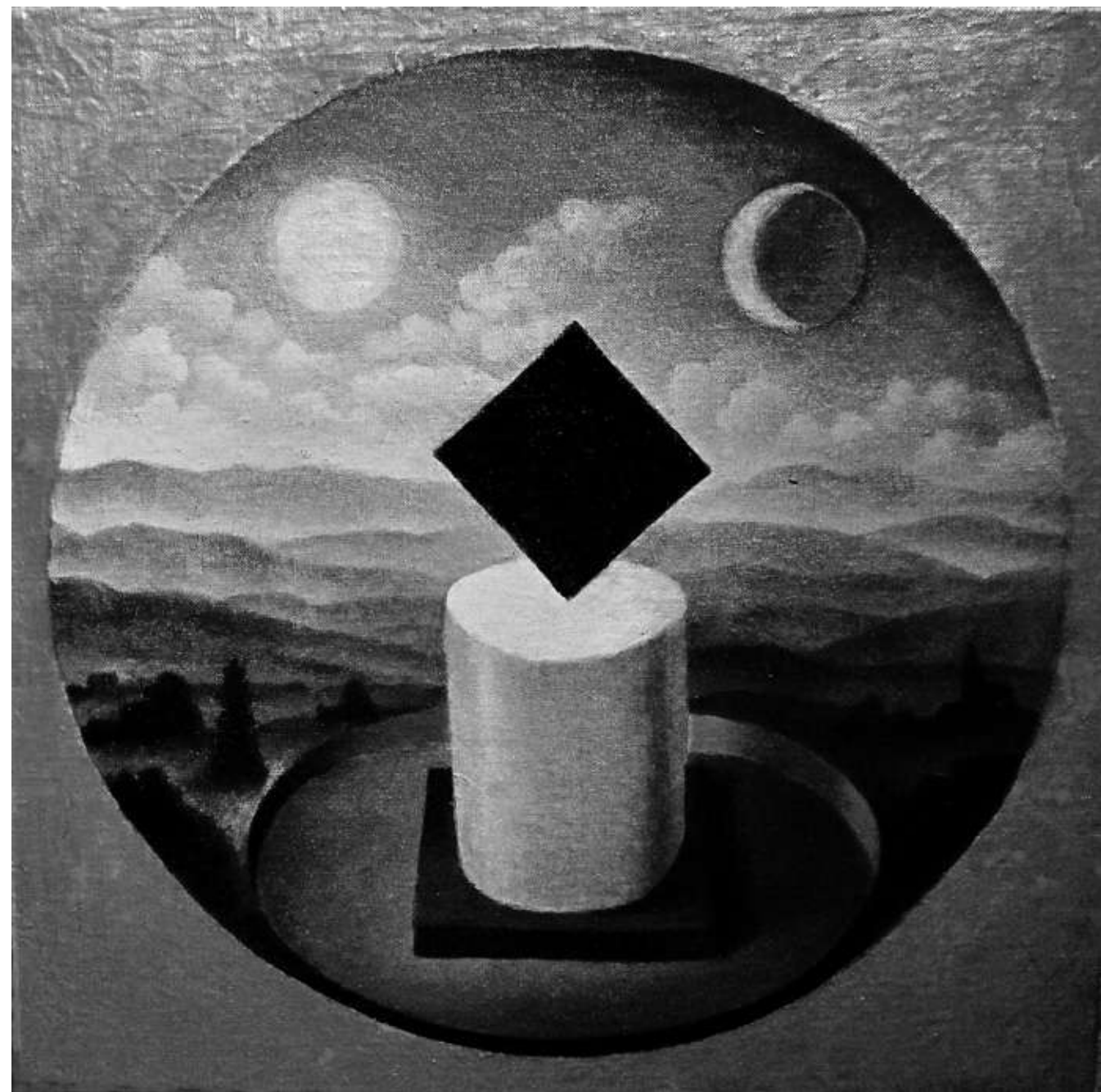
zamiera i obawiam się, że już do nas nigdy nie powróci. Być może odchodzi na palcach w nieznanym kierunku, aby nasycić sobą innych. Stetoskop przypomina różdżkę, jaką niektórzy potrafią odkryć podziemne ciekły wodne. Porusza się rytmicznie, góra, dół, góra, dół. Coś tam pod nami jeszcze płynie, ale nie wiem, jak silny jest prąd i czy warto w tym miejscu drążyć studnię. Są też ciemne miejsca i nikt i nic się w nich nie odzywa. Te zakreślamy czarnym krzyżem, jak to w czasie zarazy, modlimy się przez chwilę bez słów i staramy odejść od nich jak najszybciej. Praca jak praca, ani lepsza ani gorsza. Najgorsze jest jednak to, że nie potrafimy się od niej uwolnić. Pracujemy tak dzień i noc bez wytchnienia i możliwości odpoczynku. Rękawice już właściwie się starły, srebro oblaźło z młoteczka, o stetoskopie lepiej nie mówić. Nie mamy możliwości wymiany narzędzi. Musimy zadowolić się tym, co jest. Opukuję twoją pierś, później moją. Dotykam delikatnie ramion i podbrzusza. Wiem, że niedługo zaśniesz, sen bywa zbawienny. Pozostaje pytanie o czas snu, a właściwie o czas snienia. O wędrówkę po krainie, w której już nic nie boli i nie trzeba się usilnie starać, aby przeżyć kolejny dzień. Pozostaje pytanie.

Chcę dostać się na boisko, na którym niedługo będzie rozgrywany ważny mecz. Kiedyś na nie chodziłem, od wielu już lat jednak nie chodzę, zrażony chamstwem widzów i słabą grą naszej drużyny. Boisko jest jeszcze zamknięte i nie pamiętam, jak mogę się na nie dostać. Pytam okolicznych mieszkańców, ale oni albo nie odpowiadają, albo też ich odpowiedzi są mylące i niezbyt przychylne. Sytuacja wydaje się coraz bardziej paranoiczna. Projektantom stadionu powinno przecież zależeć na dogodnym dojściu i przemieszczaniu się tysięcy ludzi, a nie na utrudnianiu wejścia. Przeciskam się pomiędzy prętami stalowego ogrodzenia, słyszę coraz wyraźniej gwar widzów. Stadion oddala się ode mnie i wychodzę na wielki plac wypełniony ludźmi, których otacza kordon policji. Jakaś manifestacja, myślę, od pewnego czasu żyjemy w krainie manifestacji. Chcę się przyłączyć. Dwóch młodych policjantów nie pozwala mi przejść. Mówią coś o ciekawym meczu, który niedługo się zacznie i po co panu problemy, lepiej zająć się sportem. Nie potrafię wywikłać się z tej sytuacji, tym bardziej, że jestem w mieście, które często nawiedza mnie we snach i w którym zawsze się gubię. Policjanci dobrotliwie uderzają o tarcze pałkami. Wiem, że mecz i tak się już zaczął i nie ma sensu go oglądać. Ulice miasta zwężają się coraz bardziej, zamieniają w mur, w czerwoną cegłę przypominającą tę na słynnym obrazie sprzed lat. Pętla czasu zaciska mi się coraz silniej na gardle.

Wydobywam się z grząskiego gruntu. Jak na rysunku Rolanda Topora. Jestem zanurzony do kolan, albo jeszcze wyżej. Wydobywam lub zapadam. Kierunek ruchu nie jest jeszcze do końca ustalony. To „Dniownik” mnie pochłania, lub pozwala wydobyć na powierzchnię. Muszę obserwować bieg wypadków. Przeistaczam się w tekst, który nie powinien być przez to martwy, a przecież martwieje nieustannie. Potrzebny jest ktoś,

kto go wskrzesi, albo przynajmniej uleczy. Poda ożywczą kroplówkę, potrzyma za rękę. Jak u chorego, chorych należy nawiedzać, nawet wtedy, kiedy nie można już im pomóc. Gdzieś musi być otwór, przez który przepływa moje ciało i zamienia się w nim w rząd liter zapisanych w nieznanym powszechnie języku. Przeciskamy się przezeń wspólnie, razem z wyobraźnią i snami, realiami i nierealnością. Nie jest to łatwe, ale kto powiedział, że sztuka ma być łatwa. Pamiętam, jak w dzieciństwie matka kazała mi mieć mięso w żeliwnej maszynce i później czyścić maszynkę przy pomocy suchego chleba. Trzeba było uważać na palce żeby się nie wkręciły i ostrożnie wrzucać kolejne kawałki mięsa. Nawet lubiłem to robić. Było w tym coś niesłychanie sensualnego, jak seks albo dobra poezja. Grząski grunt ostatnio wysycha i niedługo wszędzie będą pustynie. Ich mieszkańcy przyjdą piechotą lub przypłyną do nas na wielkich łodziach. Odczytają nasze ślady na piasku i później zasypią je starannie, aby móc zacząć wszystko od nowa. ■

WALDEMAR OKOŃ



Brama do pustki

W świecie starych mitów, jak czytelnik pewnie spostrzegł, wrogość rosla, gdy wykluczano z góry wszelki spór. Wrogość cichła, gdy cały panteon z Nią, wrogością włącznie, honorowano. Wtedy Eris obdarzała nas erystyką i rozkoszą inspirowania się odmiennymi punktami widzenia. Ale też właśnie chrześcijaństwo w dziejach Europy najbardziej bezradni, gdy przychodzi im zmierzyć się z wrogością.

Generują konflikty, zarazem są związani normą *miłowania nieprzyjaciół*. Aby dać upust wrogości, szukają wyjścia w przededefiniowaniu i nieprzyjaciela, i miłowania. Zapytując, dlaczego żywią wrogość do kultury, która wydała Biblię, w najnowszych konkluzjach watykańskich znajdziemy odpowiedź, że – wrogość ta nie ma żadnych podstaw na gruncie teologii. To prawda. Na gruncie teologii czyli racjonalistycznym nie sposób wytłumaczyć Zagłady w jej lodowatym kształcie faktycznym. Zagładę **uzasadniano** wnioskami powziętymi pod wpływem obrzydzenia do wyznania Żydów. Wstręt do ich duszy przelał się na wstręt do psychiki, a następnie ciała, już bez względu na to, w co Żyd wierzył. Mógł być zakonnikiem, karmelitą bosym, egzystencjalistą, a nawet tylko gojem mężem Żydówki. W przedrozbiorowej Rzeczypospolitej za przejście na judaizm skądinąd groziła kara śmierci.

Przed naszą erą ani Persja, ani Rzym, ani tym bardziej Grecja, nie toczyły wojen z judaizmem¹. Na pytanie, czy jego spokojna koegzystencja z hellenizmem w ciągu ostatnich trzech wieków Starej Ery była pochodną judzkiej duchowości, czy też jeno ustępstwem wynikłym ze słabości politycznej, odpowiedzi udziela ograniczenie paroksyzmów przemocy do ziemi Kanaan. Księga Wyjścia mówi, że na tamtejszych autochtonach dokonano pierwowzoru Holocaustu; powiada o tym w słowach pełnych pychy, uważając popełnione ludobójstwo za oczywiste wypełnienie woli Boga, co oznaczało podniesienie wydarzeń realnej historii do rangi przykazania. Tym niemniej granica Kanaanu ostatecznie ustanowiła granicę wrogości wobec innowiercy i zarazem człowieka obcej krwi. Granicę mitu. Powstał paradoks: mord i wrogość są powinnością tylko na ziemi sacrum – ziemi pokoju.

¹ Palestyna została rzymską prowincją po pokonaniu Persów (Partów) w r. 63 p.n.e. Natomiast powstanie żydowskie stłumiono jako akt polityczny. Uciekinierzy z Jerozolimy swobodnie osiedlali się właśnie w Rzymie i innych miastach italskich oraz całego Imperium, pozostając przy swoich wierzeniach i obyczajach.

Aby móc je wynieść poza tę geograficzną linię, linię mitu i filozofii dialogu, trzeba tedy jak apostoł Paweł, przededefiniować świętość ziemi i pokoju, a następnie ciała. Dla purystycznych Żydów wiara tkwiła w biochemii naszych ciał. Czy poza rodem Abrahama jest przeto możliwa prawowierność? Poza ciałem? Paweł zmagają się z problemem prawowierności jako stanu ciała. Delikatnej w dotyku jak ciało dziecka, powiedziała Diogenes, filozof-niewolnik. Zdaniem świadków Jehowy, przywołujących swój puryzm translatorski, Biblia powiada, że *nasz praojciec Adam nie miał duszy. On był duszą. W zachwycającym akcie stwórczym z podstawowych pierwiastków ziemi Jehowa ukształtował człowieka – duszę – a następnie tchnął w niego „dech życia”*; stąd Świadkowie „logicznym” uznali wzywanie duchów umarłych przez czarownicę z Endor (1 Sm 26, 1-25). Znajdujemy tu pogląd bliski słowom, że ciało jest sposobem, w jaki dusza postrzega samą siebie.

Dzieje katolicyzmu są natomiast jakąś niemożnością dokonania wyboru pomiędzy taką właśnie perspektywą a poczuciem, że „ciało” to zaledwie jedna z wielu form istnienia, jeden z wielu aspektów bytu. Wierzą katolicy, że jednym z takich aspektów jest i śmierć, byleby nie kojarzyć z nią nicości. Ich wyobrażenia niebios, czyśćca i piekła uzmysławiają przede wszystkim jedno: że umarli – gdziekolwiek są – czują. Do żywych należy przeto troska o los i samopoczucie zmarłych; żywi mogą im pomóc przez modlitwę. Umarli ich z kolei wspomagają. Orędują u Boga, są krynicami łask. Przywracają na przykład płodność, opiekują się górnikami, pomagają odszukać zguby albo strzegą od pożaru. Strzegą całych ziem i wrogom gotują horror. Pod warunkiem jedynie, że jako ciała dziewicze nigdy nie doznali ekstazy, *la petite mort*, lub zostali umęczeni. Kult świętych i ludowa demonologia w zasadniczy sposób różnią się od judaistycznej duszy „żelaznych głów”: **nic już nie czującej albo niekomunikatywnej z chwilą śmierci**.

Ta intuicja hebrajska, przeciw chasydzka, nie ma odpowiedników. Grek wierzył w wędrówkę dusz, w istnienie Hadesu, w Wyspy Szczęśliwe i wniebowzięcia. Hebrajskie wyobrażenie Niebios będących samym tylko Bogiem, jakkolwiek wspaniałe, sprawia trudność szczególnie może człowiekowi nie radzącemu sobie z samotnością. Katolickie Niebiosy są już pełne zbawionych dusz. Zbawionych zanim jeszcze zapadł Sąd Ostateczny, szybką ścieżką *santo subito* zbawianych ziemskimi dekretami, proceduralnie. Są **czujące**, podobnie jak Piekło. Katolicy pogodzili te sprzeczności w ten sposób, że w istocie nauczyli się je ignorować. Dobierając wygodne wersety pozwolili milczeć pozostałym. Gdyby Biblię przyrównać do skarbcza, o sporach na jej temat można rzec, że dyskutują ze sobą różne garści, każda pełna prawdziwych klejnotów. Czy rozstrzyga więc rubin, czy raczej ambra albo diament? Przy czym wsady biblijne wbijali chrześcijaństwo poganom w żywe jeszcze lub martwiejące mięso głębokich pamięci cielesnych.

Sakralna wrażliwość Europy sprzed chrztu upewniała, że jednak wszystko w takim skarbcu przedstawia zarówno ekstazę jak rozpacz, panteon i pandemonium. Stopem przeciwieństw był sam Bóg: był jednocześnie Erynią, Apollinem i Orestesem, Medą,

Pigmalionem, Laodamią zakochaną w umarłym Protesilaosie. Ten ważny a mniej znany mit omówił Tadeusz Zieliński w świetnym szkicu *Antyczna Lenora*. Oto świeżo ożeniony Protesilaos jako pierwszy zginął pod Troją, ledwie tylko wybiegł z okrętu. Był tak piękny, że Persefona ubłagała Hadesa, by Protesilaos jako duch nawiedzał młodą wdowę.

Chodzi o to, że Grek starożytny nie wyobrażał sobie pełni sacrum bez Hadesa, bez Persefony, bez ich królestwa. Rodzaj światła snujący się w Erebie, bezgłośnie fale zmywające pustą plażę zaświatów, głos psa dochodzący poprzez mgły, duch mężczyzny wciąż jeszcze targany pożądaniem, to wszystko było językiem, w jakim mówiło się o Bogu. Chrześcijanin tymczasem bezpowrotnie opuścił już świat judejskości. Wszedł w inny porządek, a psychozoficzne perły judaizmu, nanizane dotąd na sznur idei Narodu, sznur świętej *bioalchemii*, rozsypały mu się – gdyby trzymać się takiej metafory, można by powiedzieć, że pierwsi chrześcijanie, by je zebrać, posłużyli się zupełnie innym już sznurem: chrztu i doktrynalnego posłuszeństwa². Sznur w postaci idei Bycia, czyniącej świętym to, co *jest*³, stał się po prostu nieprzydatny. Perła pogan jakże mogła teraz sąsiadować ze swą siostrą skąpaną w krwi Odkupienia, a rzecz nienazwana Słowem stawać się Ciałem? Stawała się ciałem poczętym w grzechu pierwotnym – w śmierci. Powiedziałam wyżej: śmierć jest Bramą. W świecie chrześcijan brama ta, choć prowadzi do samych Niebios, lecz za cenę śmierci, jest ohydna. Wyjątkiem od tej reguły jest *Ianua Caeli*, Matka Boska.

Wręczony przez Kościół, nowy już, sznur Posłuszeństwa zdumiewająco łatwo pęka tryskając klejnotami wiary, ale bez ich związku między sobą. Przysięgamy przy chrzcielnicy i ołtarzu – gdy Ewangelia zakazuje przysięg jakichkolwiek. Idee zdają się wzajemnie odrzucać i rugować tak, jakby każda z osobna, szczycąc się dodatnim biegunem, przyciągała już tylko ujemne ładunki w postaci niechęci. Jeśli więc współczesne Niemcy troszczą się o ubogich, o starców, chorych, bezrobotnych, nałogowców i upośledzonych, próbują zadośćuczynić ofiarom hitleryzmu, ale chcą kontrolować prokreację, by uniknąć niechcianego rodzicielstwa, biskup to wspierający otrzymuje pogrózkę ekskomuniki. Nie był upominany za milczenie, kiedy jego wierni zamiast ton leków i żywności posyłali bomby, ponieważ popierał konkordat. A oto próbka anomii polskiej katolickiej w warunkach pokoju: Polakom za pracę niewolniczą w III Rzeszy odszkodowania się należą – tu panuje zgoda narodowa, lecz w roku 2014 oburzenie wywołał ogłoszony w „Dużym Formacie” i w „Krytyce Politycznej” postulat wypłaty

² Kwestię ascezy seksualnej pomijam, jako coraz mniej poruszaną w teologii. Historycznie, była jednak główną może przyczyną dziecięcej traumy populacji chrześcijan. Wystarczy sobie wyobrazić, że matka pozwalała kilkuletniemu chłopcu wstydlawie nie podnosić na siebie wzroku, utrzymując go tym w przeświadczeniu, że sam widok kobiety może skalać go. Taki chłopiec rósł bez doświadczenia serdeczności. Kojarzył z dotykiem i pieśczętą wyłącznie seks. Jako *myzogin* nie uświadamiał sobie w ogóle cierpień zadawanych otoczeniu.

³ *Jam jest, Którym jest* to właściwie jedyna autodefinicja Boga w Biblii. Nadaje szczególną rangę *byciu*. Wspomniany niżej cadyk Menachem z Kocka podkreślał, że Bóg jest wszędzie, we wszystkim, „wystarczy Go tam dopuścić”.

odszkodowań za pańszczyznę. Autorzy tych postulatów sugerowali, aby – ze względu na niewyrównany rachunek krzywd, niedoinwestowanie polskiej wsi oraz pośrednie czerpanie zysków z pańszczyzny, Kościół katolicki oraz rodziny szlacheckie ubiegające się w postępowaniach repriwatywacyjnych o zwrot majątku były zobowiązane stworzyć fundusz służący wyrównywaniu szans edukacyjnych dzieci urodzonych na wsi. Chcieli też – w 150 rocznicę wyzwolenia chłopów – symbolicznej ekspiacji „elit”. Znaczek pocztowy? Msze dziękczynne? Święto narodowe w takim dniu? Na przykład nowe jakieś Saturnalia z odwróceniem ról społecznych, karnawału, gdy magnata zaprzęga się do sochy a z chłopów panisko, wersja Sądu Ostatecznego na portalu paryskiej katedry, gdzie potępionych tu i tam stroją infuły i diademy?

Tak więc istotna jest tutaj anomia: rozstąpienie się deklarowanych norm i realnych zachowań. Ostatnie dekady były unikalnym w dziejach Zachodu okresem wdrożenia szeregu nauk Ewangelii⁴ tyle, że, jak akcentował Antoni Pospieszalski w „Kulturze”, **wbrew** wielu tradycjom katolickim i **obok** zwyczajnego, także polsko-papieskiego, nauczania, że na zewnątrz kościoła roztacza się cywilizacja śmierci. Jeśli jednak trudno włączyć do cywilizacji życia brudy takie jak równość przed sądami, a tam dostęp do apelacji, czyli branie pod uwagę ewentualnej wadliwości orzeczeń, na domiar zakaz tortur nawet psychicznych lub swobodę informacji, to będziemy zdumieni, że w świecie Biblii ludobójca uczestniczył w *Sanctum*, a śmierć przenikała się z życiem. Właśnie obojętność praktyczna na oficjalne normy, niedoświadczenie i stąd brak głębszej pamięci cielesnej tego, jak się je wypełnia, powoduje odruch repulsji mitu powiadamiającego, że przykładowy Jozue duszą i ciałem wypływa z nasieniowodów Abrahama i zabija zgodnie z wolą Jahwe, otrzymał bowiem **prawo** do mordów. Gdy król Saul przed czymś takim się zawahał, został za karę z synami swoimi zgładzony.

Tutaj chcę rozważyć te paradoksy w świetle faktu, że kultura poprzez mity uświadamia sobie własne inklinacje, a czyni tak, ponieważ odnosi normę do reszty swoich potrzeb, socjalność do psychobiologii, a przede wszystkim usiłuje odkryć harmonię

⁴ Zwłaszcza takich jak uczynki miłosierdzia wobec ubogich, chorych, starych, załamanych, prześladowanych, a nawet przestępców i wrogów na wojnie. Obrońcy praw człowieka i działacze akcji charytatywnych z narażeniem życia próbują interweniować w Chinach, Czeczenii, Afryce etc., współpracując ze wszystkimi wyznaniem, „bez granic”, jak nazwała się organizacja pomocy medycznej, uhonorowana pokojową Nagrodą Nobla. Powszechne oburzenie opinii publicznej w Europie po sugestii, iż na jej terenie CIA potajemnie przesłuchiwało jeńców, oraz po ujawnieniu stosowania tortur wobec jeńców w irackim więzieniu Abu Ghraib, uświadamia przy tym, iż powstał kodeks etyczny zakazujący dręczenia „nawet” terrorystów i karania śmiercią „nawet” morderców. Obejmuje on zresztą także i zwierzęta, uzmysławiając, jak hodowlane fermy niewiele różnią się od Auschwitz, włącznie z takimi makabrycznymi szczegółami jak karmienie trawożernych preparatami z mączki kostnej. Działacze Greenpeace walczą o naturalne prawa dzikich zwierząt, także na oceanach. Z tego punktu widzenia masowość schronisk dla zwierząt niechcianych okazuje się powtórzeniem inicjatywy chrześcijańskich szpitalników, aczkolwiek pierwszy szpital chrześcijanie założyli dopiero w III wieku w Jerozolimie, dla mnichów chorych psychicznie, być może po to, aby nie wkroczyli tu lekarze pogańscy, zresztą zniszczono wkrótce potem sławną lecznicę w epidauryjskim sanktuarium Asklepiosa.

między sprzecznymi impulsami a w istocie wartościami. Skoro jednak standardowa definicja powiada: „wartość przedstawia coś, za co gotowiśmy płacić” – wartości to wyrwy z pierwotnej masy stanu posiadania. Pulsujące. Jak zdmuchnięcie świec przy szabatowej wieczerzy przez cadyka Menachema Mendla Morgensterna w Kocku, który poczuł pierwotne Światło, sprzed „rzeczywistości”. Harmonia tedy oznacza niejednolitą, zawsze zaburzoną zgodę na ból wyrywania wyrw, coś znacznie ważniejszego niż algorytmy estetyczne wycelowane na „radość zmysłów i ducha”, dające się opanować jako umiejętność lub perswadować.

Harmonia pozwala wnikać w rzeczywistą trwogę. Przypomnijmy sobie z *Narkotyków* pierwsze bodaj samorozpoznanie Witkacego, ponieważ dotknął sedna: świadomość doprowadzona do jakiegoś stopnia wyostrzenia nie mogła wprost znieść samej siebie wśród *metafizycznej potworności istnienia i czymś musiała łagodzić swą własną perspektywę* [wgląd – UMB] (...) *Religia i sztuka też były przecież kiedyś zasłonami dla zbyt okropnie jaskrawo świecącej z czarnej otchłani Bytu – Wiecznej Tajemnicy. Dopiero począwszy od Grecji, rozpoczyna się pojęciowa walka z tajemnicą tą — walka, która musi skończyć się oczywiście porażką. (...) Podobnie działają: religia, sztuka, filozofia, które początkowo wyrażają na różne sposoby metafizyczny niepokój, łagodząc zasłonami konstrukcji i uporządkowania uczuć metafizycznych w kultach, konstrukcji form artystycznych w sztuce i systemów pojęciowych w filozofii – okropność samotności indywiduum w bezsensownym Bycie, następnie, w związku z uspokojeniem społecznym, degenerują się i zanikają w miarę zanikania samego niepokoju, do czego same się przyczyniły.*

Tak więc harmonia polega na rzucaniu mostów nad „szparami istnienia”, na dopuszczaniu obcowania z niedostępnymi aspektami **istnienia**: tym, co obezwładnia, co przeżera; czemu dotąd zawzięcie przeczyliśmy. Polega ona na daniu szansy odkrycia jakichś struktur subtelnych, siateczek pajęczych, po jakich zdobywamy się na odwagę sunąć, chociaż pulsują i są jednorazowe – ostrożnie sunąć, i właśnie to jest w harmonii radosne, chociaż po zakończonej eskapadzie nigdy nie wrócimy w to samo miejsce, ba, nawet na pozycje wcześniej upatrzone.

Bogowie byliby, w tym Eris, zasadniczo, samym zwycięsko-radosnym wrażeniem, migawkami olśnień, deszczykiem i wiatrem – a że są to olśnienia **rozmaite**, to i każde z bóstw jest notacją zupełnie osobnego sposobu przebywania drogi, osobnego uchylenia zasłony; tu przecież chodzi o *bramę*. Bóstwa były bramami, bramy były bóstwami. Najświętsze bramy, jerozolimskie albo eleuzyjskie, to tylko płachta wiotkiej materii, podobna do czarczału lub bandaży. Przeciwnieństwo masywnej płyty. Aktem sakralnym jest bowiem odkrywanie dziur, wsączenie się w pokłady nieuczęszczanych, nieznanych, obcych materii mózgu i następnie wypryskiwanie z nich gorącą kroplą.

Ale wróć do bramy w jej aspekcie niezgody i antagonizmu. W Grecji poczynania Aresa, Achillesa, Ajaksa, Agamemnona, Odyseusza, Protesilaosa, Priama, Parysa, Hektora,

Ateny, Artemidy, Apollona, Skamandra, Hefajstosa, Medei, Tytanów, Orestesa, Tyfona, Eris, Klitajmestry, Afrodyty-Mężobójczyni w tym świetle tworzą tęczę poszczególnych odmian agresji. Mit okazuje się zapisem, dzień po dniu, historii dusz uwikłanych, a zarazem dostarcza perspektywy, z jakiej doskonale widać, że wojna stanowiąca sumę *stanu zbrodni*, wypycha z ludzkiej duszy jakąś jej część, kładąc jej „podróżować”⁵ po to, aby stracić skarby, które w *stanie zbrodni* się zdobyło – ot, jedna z wyrw, jedna z dziur-opłat za wiktory i za klęski. Istnieje stan psychiczny, w jakim cnoty nabierają złowrogich znamion i przyspieszają klęskę. To właśnie opowiadamy swoją mistyką i muzyką. Bo morderstwo jest zawsze czynem symbolicznym. I zawsze ta opowieść jest autobiografią, w każdym momencie życia jednak nieco inna – kompletne inna. Stąd wielobóstwo. Dla każdego odcienia zgrozy inny kosmos.

W mitach Hellady (i baśniach) zbrodnia nie jest przedstawiana jako cnota nawet, jeśli stanowi tzw. czyn założycielski chwalebny, jak założenie miasta. Nawet, kiedy jest pomyłką lub deską ratunku, greccy bogowie nie nakazują ludziom zabójstw. Ta zasada dotyczy nawet bestii. Bogowie pomagali je pokonać, jak w przypadku Chimery, Meduzy, Hydry, lecz nie żądali tego wprost. Żądali pożyteczni idioci. W wypadku prac Heraklesa były to dufne i ekstrawaganckie zachcianki króla. Jeśli coś Im zagraża, walczą sami. Nie angażują ludzi w swoje walki. Bogowie wprawdzie uczestniczą w ludzkiej wojnie, człowiek jednak ma czcić ich wszystkich, nawet tych, co sekundują wrogowi: wróg był nienawidzony tylko do granicy sacrum. Jeśli więc Atena wzięła finalnie stronę Greków, to lepiej powiedzieć, że właściwość oddana jej imieniem opiekuje się miastem, dopóki ono ceni ją – tę właściwość. Troja padła dokładnie w chwili, kiedy utraciła palladion, wizerunek-miejsce Ateny, i zastąpiła koniem trojańskim. Tym samym Atena-właściwość obnażyła swoją nieobliczalną postać Kobyły i... przeraźliwe żrebięta w swoim brzuchu, zawiązki autoagresji.

Ów jednoznaczny stosunek do zbrodni oraz podłości sprawia, że głos adwokatów brzmi czysto, a jacyś bogowie zawsze byli przyjaciółmi winowajcy, tymczasem w Biblii Niebo jak długie i szerokie, surowością zmieszane z ziemią odwraca się od krnąbrnych i ustanawia zbrodnię *boską* oraz w *imień bożych* z ręki człowieka. Boga zajmuje tylko człowiek. Ustanawia tylko jedną **prawdziwą winę**, mianowicie nieposłuch Bogu, *sacrum*. Draństwa powszednie to odrośla od jej pnia. Zetniście pień, odpadną razem z pnem. Jest to wstrząsająca wolność człowieka, wyniesienie go z pułapki socjalności, z pułapki kultury, jaka w każdej swojej fazie rozwoju narzuca obiegowe dekalogi, moralne sztampy – po czym je odrzuca ze wstrętem, jak przykładowe gwałcenie przez zwycięzców kobiet wroga, kiedyś tytuł do chwały, i zabijanie ciężarnych niezamężnych córek,

⁵ Odyseusz dociera aż do *piekieł*. Po drodze konfrontował się z „chaosem kierunków”, „ześwinieniem” i żarłocznością *sacrum* (cyklopa), błogim marazmem, absurdalną biegunowością itd. Równolegle, jego psyche jest w tym czasie obiektem pokus, które zagrażają Telemachowi, jej symbolicznemu dziecku.

kiedyś ocalenie honoru, albo u Rzymian prawo by związać nogi żonie zmarłej w poro-dzie, aby feralny noworodek się udusił – akt sprawiedliwości. To uwolnienie nastąpiło z chwilą wyrwania judaizmu ze struktury państwa; ludzie, będąc już poddanymi innych, obcych państw, doświadczały nieoczywistości wszelkich narracji budujących etatystycz-ność; chasydzi nadreńscy na przełomie XII i XIII w. stworzyli doktrynę naznaczoną panteizmem, gdyż postrzegali Boga w każdym przejawie życia. Praktykowali skupienie, ćwiczenia mistyczne, ubóstwo i skrajny altruizm. Pobożny powinien trzymać się prawa niebios – *din szamajim* – przekraczającego prawo Tory w wydaniu halachicznym. Oraz bawić się bez hamulców, by czcić Boga w przekonaniu, że im więcej się radujemy, tym jesteśmy bliżej Boga, a zbawienie ominie tych, co nie poznają własnych błędów. Ich następcy *Nie szczędzą sobie alkoholu, fajek i fikołków przez biesiadny stół* – pisali Piotr Burakowski i Maciej Stanik.

Problem więc w tym, co się ma na myśli mówiąc: Bóg. Twory państwowe zawsze przesłaniają, dławia pragnienie sakralne. Czynią zeń symfonię odtwarzaną z kiepskiej płyty na kiepskim odbiorniku. Sakralną dzikość bardzo szybko ujęli Izraelici w jarzmo teokratycznej socjalności, gdzie oskarżani są bez obrońcy. Nie mieli go też przed są-dem sowieckim, gdzie zamiast kierować się kodeksem, wypatrywano „dobra państwa”. Formułowanego możliwie ezoterycznie, tak, że obywatel mało rozumiał. U chrześci-jan równie zakryta dla niepowołanych bywała kategoria „woli Boskiej”. Stanowił o niej kler. Określenie „przypadkowe społeczeństwo” w polskim sejmie padło właśnie w po-czuciu, że pozostawianie spraw sumienia sumieniu obywateli, choćby przez referen-da, zagraża chrześcijańskim wartościom. Tu i tu **człowiek pozainstytucjonalny** był pionkiem, plewą na klepisku. Na względy, aczkolwiek zazwyczaj dopiero pośmiertne, liczyć mogli wyłącznie tacy, którzy wzmacniali Instytucję skrajnym samozaparciem albo ekonomiczną, militarną lub intelektualną nadzwyczajną skutecznością. O Toma-szu z Akwinu – po uwadze advocatusa diaboli, że w kanonizacyjnym dossier brakuje cudów – papież Jan XXII miał ofuknąć stół trybunalski: *Więcej dał on światła Kościołowi niż wszyscy inni doktorzy i więcej człowiek wyniesie korzyści z jego dzieł w ciągu roku niż z nauk innych uczonych przez całe życie*.

Ważne jest jeszcze i to, co już sygnalizowałam: u zarania chrześcijaństwo było kształ-towane przez związek judaistycznej zasady „nie czyn bliźniemu tego, co tobie niemiłe”, za dni Jezusa głoszonej też przez najszacowniejszych rabbich, z egejską ogromnie in-tymną swobodą wobec *sacrum*. Lecz chrześcijańskie pojmowanie intymności, obciąż-żone seksualnym „posiadaniem”, i swobody obciążonej bezkarnością „rodzica-pana”, powoduje, że przykazanie miłości brzmi: „nie czyn niczego, co niemiłe Instytucji”. Miłość sprowadzono do procedur. Podobnie mądrość, prawdomówność, wiedza, odwaga, wier-ność, łagodność bez akceptacji Instytucji, poza jej procedurami były obrzydlistwem

pod karą śmierci. Zostały scedowane na Instytucję: jedynie ona miała dawać sygnał dla gniewu, dla przyznawania klauzuli sumienia, dla *przebaczamy i prosimy o przebaczenie*.

Okolo 49 roku n.e. na pierwszym soborze w Jerozolimie apostoł Piotr zawarł kom-promis z Pawłem i dopuścił, aby nieżydowscy chrześcijanie pozostali nieobrzezani. Było to niemałą wygodą dla głosicieli Ewangelii. Paweł pospieszenie wypracował uzasadnie-nie teologiczne: że hebrajskie ryty ciała straciły sens w odniesieniu do wyznawców przybyłych z „obcego źródła”, spoza *genesis*, aczkolwiek byli oni wykluczeni w Onym Czasie, czasie odłączenia się krwi Abrahama. Nie mogło jednak chrześcijaństwo odwró-cić mitycznych rozporządzeń. Powiadało więc o odkupieniu jednostek przyjmujących chrzest – ale nie ich macierzystego środowiska. Jednostka przyjmowała chrzest **razem z dyktatem mentalnym** kontrolującym informację oraz metodologię dociekań – macie-rzysta kultura, poza niektórymi zdobyczami w zakresie organizacji i techniki wojennej, pozostawała **tym bardziej** profanatorska. Świętowanie przykładowych Metagejtni ku czci Apollina, który pomaga w utrzymaniu dobrych stosunków z sąsiadami, musiało odtąd gorszyć, ubliżać Pokojowi Bożemu. Odrzucane kultury dawały się *odkupić* dopie-ro, kiedy negowały swoją tożsamość sakralną, kiedy składały swój dorobek i sakralną dzikość, w tym wykwitłą z niej wiedzę o świecie oraz o nabywaniu samowiedzy na ręce monopolistycznej Instytucji, z czynną i bierną agresją traktując swoje święte miejsca, macice zachowań oraz swiatio-poglądu.

Lub kiedy je „oczyszczają” wnoszeniem relikwii.

Fragmenty trupów, o czym napomknęłam już na wstępie, nadają nowe posmaki, po-głosy i woń sferze sakralnej, zarazem szczerze ją odgradzają od przeszłości i rozpoznań. W naszej sklepionej Bramie o barwie długo niegrzebanych zwłok – spiżowej – czujemy się wzywani, a jednocześnie wodzeni na pokuszenie, wysłuchiwanie i podsłuchiwanie, wi-dziani i podglądani, co idzie w parze z poczuciem, że zmysły nas mamia. Nie wolno chrześcijanom tęsknić do pogaństwa, mogą tam sięgać wyłącznie w sposób racionali-styczny, sformatowany instytucjonalnie – nauka wszak pod pieczę kościelną stała się przede wszystkim instytucją powołaną do obsługi sztucznej (nowej – jeśli ktoś woli) scenerii mentalnej.

W tym miejscu skupmy się na sytuacji uchrześcijanianych. Na scenerii mental-nej w makrostrukturze, gdzie potrzeba poznawcza dostosowana zostaje do regulami-nu przykościelnej szkoły w globalnej wiosce. Z perspektywy historii biblijnej minęły zatem tysiąclecia trwania w *profanum*, zanim Nortumbria czy Galicja, Prusy czy Góry Kocie otrzymały transfuzję krwi misjonarza, względnie ascety, a choćby jego szczątki, aby taki wsad świętości przeistoczył ich ziemię. Poprzestanę na jednym przykładzie: św. Jakub to jeden z najbliższych towarzyszy Jezusa, świadek wskrzeszenia córki Jaira i Przemienienia na górze Tabor; jego misją było nawracanie Celtów zamieszkujących tereny dzisiejszej hiszpańskiej Galicji. Poniósł śmierć przez ścięcie z rozkazu Heroda

Agrypy, a ponieważ był pierwszym spośród Dwunastu męczenników, jego ciało złożono na łódź, a tę z kolei puszczono w morze. I wtedy zastępy aniołów powiodły łódź z powrotem, Gibraltarem na Okeanos, kazały jej pookręzać Wyspy Bogów, a wreszcie wpłynąć w koryto Ulli, gdzie mnóstwo skalnych przedpotopowych rzeźb, i osiąść koło portu Iria Flavia. Tutaj ciało tubylcy pochowali. Grób z czasem został zapomniany i dopiero w roku 813 spadający deszcz gwiezdny i boska światłość wskazały miejsce nazwane od razu Campus Stellae, Pole Gwiazd: modlił się tam pustelnik Pelagiusz i niezwłocznie powiadomił biskupa. A zarazem *compostela*: pisemne poświadczenie odbycia pielgrzymki dla *kokijarda*.

Jak rzekł Paul Valéry – „grunt jest jednym z zasadniczych czynników widzenia rzeczy”.

Wobec takiego *gruntu* cisną się pytania. Czy Pole Gwiazd było już święte „samo w sobie” tak jak pruski gaj Wojciecha, czy też Jakub podjął odyseiczną podróż hen, w sakralną dziurę, w wiry fałszywych świętości, jakie oblewały zewsząd Ziemię Świętą? Tubylec zatem przyjęciem relikwii potwierdzał swoje macierzyste intuicje, czy też je deptał? Mit biblijny oznajmiał jedynie przewiny Izraela, ale milczał o winach reszty ludów – dlaczego ich całe wykluczone z Opatrzności generacje skazano na śmierć wieczną? Żyły poza grzechem, jaki można by rozpisać na łańcuch mitycznych uczynków. Czy Ewangelia coś rozjaśnia? Jezus rzekł: *Przybyłem do chorych* (Mat 9, 12-13) – zatem nie poganie byli „chorzy”. Co więcej: *Każdy, kto się gniewa na swego brata, podlega sądowi. (...) A kto by mu rzekł: Bezbożniku, podlega karze piekła ognistego* (Mat 5, 23).

Cóż, wszelki ugór nietknięty moczona w chrzcielnicy kosą Kościoła i niewłączony do technologii detoksu w postaci cywilizacji Zachodu, skazano, włącznie i na czele z judaizmem. Tak to widział św. Augustyn okiem rzymskim już, zestrojonym z ideą hebrajskiego etnocentryzmu, lecz Galilea za dni Jezusa, jak każda dojrziała kultura, jest polifoniczna. Sama nazwa *Galilea* znaczy „okrąg”, chodzi więc o figurę mandaliczną. Podobnie nazwa *Geneza* – konotuje elipsę, jajo, okrąg; to geometria w rozumieniu co najmniej pitagorejskim, zestrojenie onomastyki z symboliką właściwości gramatycznych, które je odróżniają od nazw pospolitych, jednocześnie wydobywające z niepamięci związki z apelatywami jako doświadczeniem progowym. Tabor, uważana błędnie za wulkan, ponieważ na południowo-wschodnich zboczach widać bazalty, znaczy „wysoka góra”, „wyspa”. Była ona, podobnie jak odległa od niej o 4 km Micpa („góra świadectwa” lub „strażnica”) od praczaśów, na tysiące lat przed Abrahamem, miejscem kultu. Takie miejsca były istotami, przedśionkami i bramami. Co zresztą narastało za dni Jezusa i eksplodowało w dekadę po nim.

Tutaj anomia wyraża się przywołaniem „ziemi świętej” niemal jak istoty, jak dziewicy zagrożonej przez smoka, po to, aby unicestwić istniejące sanktuaria. Gdyby odwrócić nasz podstawowy pewnik, to ciąg zdarzeń w Biblii ułoży się w dzieje waśni z Bogiem. Padły zresztą słowa: *A tak wystawicie sobie świadectwo, że jesteście synami tych, którzy mordowali...* Proroków – ewangelista Mateusz dopowiada.

Przyznam, że mam wątpliwości, czy adorując duchową rangę zabitych, a nie ból, udało nam się odtworzyć pogląd Jezusa na krzywdzenie. Urwałam cytat, gdy odnosił się po prostu do zabójstwa. Tak jak w greckim micie o Dedalu, gdzie nie potrzeba wnikać, czy zamordowany przezeń Telos był człowiekiem sprawiedliwym, czy też nie. Otóż nie był, a przeciwnie, był grzesznikiem, kazirodcą.

Dlaczego kosa matki-Kościół wywijająca nad Żydami i każdym innym ludem? Czy różniła ją coś od samic zwierzęcych, zazdrosnych o swój miot, a czasem w paroksyzmach gorączki zagryzających to, co niewydarzone? Istotnie, pogańska idea świata jako Łona powróciła jako łono *Ecclesii*⁶. Mamy w nim odzyskać dziecięcość, stan **przed sformatowania w *Homo socius***. Problem w tym, że nie wolno nam już opuścić go, aby stać się dorosłym poza sformatowaniem przez równoległe nadaną państwowość Bożą. Przybliżmy teraz obiektyw. Chrześcijanin szukający matki w duchowieństwie napotyka wyłącznie ciała mężczyzn. Napotyka logos. Jak wiemy, opozycję Logos-Eros psycholog egzystencji Rollo May uznał za klucz do tego, jak kochamy – a kształt cywilizacji za rezultat tego, jak kochamy. Naszym wzorcem – *Nuptias consensus facit, non concubitus* – była *umowa*, a nie *pożycie*, przy czym sama cywilna umowa małżeńska nazywana jest w Kościele lekceważąco „kontraktem” bynajmniej niewiążącym, poprzestawanie na niej ekskomunikuje jako grzech śmiertelny.

Jednopłciowy, męski *posmak* kleru i jego „perspektywa” ... Dla człowieka kiedyś w dzieciństwie skulonego w strachu przed ojcem oznacza to atrofię męskiego ciepła, co oznacza zapanowanie psychiki ludzi, którzy odwiekli Odysę od kołyski Telemacha, a własne dzieci składali w ofierze. Tę kwestię pokazał trójstronnie znakomity spektakl Krzysztofa Warlikowskiego „(A)polonia”: że mianowicie wobec takich dylematów każde wyjście jest nikczemne, czego świadomość najstarannie tłumimy. Ojcostwo okazuje się w konsekwencji jakimś supłem niedopowiedzeń, stłumień, barier, bagatelizowania, blagierstwa i zamordyzmu. Zarazem, *macierzyńskość* duchowieństwa, upominająca i karząca, przeszkadza poczuć się bezpiecznie przy matce. Otóż *Ecclesia mater* straszy Bogiem *ojcem* nie umiejąc ani przed nim obronić, ani trwale wpoić nam postaw, względne norm mniej konfliktowych wobec Boga.

Brak ciepła, tak w wydaniu kobiecym, jak męskim, przykryła idealizacja kobiecości, burząca całą sferę erotyki. Eros scala, a więc przywraca Chaos i tym samym jest Początkiem. A jeśli było na początku Słowo, to Słowo było Chaosem i stało się Ciałem, ciałem ho ho, nie na niby... Brak Erosa oznacza brak Słowa i ewangelia św. Jana powiadałaby o deficycie, jaki taimy w sobie. Im usilniej pożądaliliśmy bezcielesnego Logosu, tym

⁶ Pod grecką nazwą Kościół objawia się w aspekcie żeńskim, jako Matka wiernych, Oblubienica Chrystusa; teologowie utrzymywali, iż „Pieśń nad Pieśniami” odnosi się do zaślubin Ecclesii z Chrystusem, a nie pary ludzi.

zwinniej nam się wymykał. Wyidealizowanie polega na kontroli. Kobiecością ma władać męski imperatyw *noli me tangere*, szanujący tylko niedotykalne, nieskalane nawet w stanie snu⁷: ta kobieta-ikona nigdy nie dyszy słodką babią tęsknotą do kochania, a chociaż najdalsza od samowoli, to przecież okaże hegemonię, przydepcze stopką pod maską królowej nieba. Właśnie na tym polu dokonały się kiedyś urazy psychiczne, jakie wyznaczyły restrykcyjne i fobiczne kody skojarzeniowe, wskutek których lęk przed erotyką, ewentualnie zamieniony w seksoholizm, rodzi także lęk przed intymną przyjaźnią i miłością wobec jakiegokolwiek osoby realnej, o ile nie potrafimy skorelować jej z ideą. Dla seksuologa i psychiatry podświadome uznanie miłości (tego wszystkiego, co w jej strukturze nie poddaje się szczegółowym rozporządzeniom Instytucji) za źródło kar i poniżenia (po polsku poczuć się dotkniętym to synonim „poczuć przykrość”, „poczuć się obrażanym”), odróżnia chrześcijaństwo od pozostałych monoteistycznych religii. Ponieważ jednak cywilizacja w obecnym kształcie jest tworem psychiki chrześcijan, ponieważ jest uwartościowana z ich punktu widzenia, łatwiej zrozumieć, że właśnie oni, okaleczeni ludzie, stają się też zależni od fizycznych i psychicznych nałogów. Tworzą normy łamliwe, kruche, sypkie, kaleczące. Powodują miażdżycę myśli. Egzekwują ją. Daleko nie szukając, skoro już napomknęłam o pańszczyźnie uznanej dzisiaj za niewolnictwo, uwłaszczenie objęło 80% populacji polskiej – 80% tedy tkwiło w religii odgradzającej ich od norm ewangelicznych. Przypisany do ziemi nie mógł bynajmniej pielgrzymować do Santiago de Compostela dla wyjednania sobie łask. Nie wiedział zresztą o tym miejscu, o większości sanktuariów; o Częstochowie, Ostrej Bramie tylko słyszał. Bez ustawy sejmowej, zatem podstawy prawnej, przez sześć dni w tygodniu harował na pańskim. Jedynym miejscem, gdzie doznawać mógł *tremendum*, było jakieś pobliskie trzęsawisko, było rozpalone lipcowe pole, gdzie kręciło się w głowie od udaru; w kościele parafialnym nie siadywał na wysłanej ławce dziedziców, a pozłacanych ozdób w otwartym tabernakulum nie widział, klęczał bowiem schyliwszy łeb. Gdyby podszedł i szepcząc *Boże mój* dotknął cyborium, a choćby bielizny kielichowej, choćby w białych rękawiczkach

⁷ Tym samym sen erotyczny, zwłaszcza męczyzny, jest „polucją”, wskutek czego trudniej znacznie rozpoznać w nim sygnał naturalnej potrzeby. Ciało w stanie snu wymykające się kontroli, jest odtąd wrogiem duszy. Praktyki ascetyczne – w przeciwieństwie do jogi i tantr – odłączone są od samoobserwacji psycho i fizjologicznej. Asceta w rezultacie coraz mniej rozumie i coraz surowiej karze swoje ciało. Chcę zwrócić uwagę na fakt, iż asceta w tej sytuacji poddaje się doświadczeniu *narcystycznemu*, wedle definicji Lowena; że przekształca je w trwałą postawę, a na domiar – wzorzec dla innych. Jako przywódca duchowy tranponuje też konsekwencje *narcyzmu* na sferę wierzeń, praktyk i powszedniej etyki. Już w najwcześniejszych kościołach chrześcijańskich surowo egzekwowano posłuszeństwo skrajnie ascetycznym „świętym ojcom”. O rzeczywistych związkach uczuciowych budowanych w tym klimacie świadczy wyznanie św. Angeli z Foligno, Mistrzyni Teologów: *W owym czasie zmarła z boskiego wyroku moja matka, która była mi wielką przeszkodą [! – KH.D.] na drodze do Boga. Podobnie zmarł mój mąż i w krótkim czasie zmarły także wszystkie moje dzieci. A ponieważ zaczęłam wtedy iść wspomnianą drogą i prosiłam Boga, by mnie od nich uwolnił, ich śmierć była mi wielką pociechą, choć ich opłakiwałam*. Por. Karheinz Deschner, „Krzyż Pański z Kościołem. Seksualizm w historii chrześcijaństwa”. Przeł. M. Zeller, Gdynia 1994, s. 130.

jak zakrystian, obmywszy przed tym palce, znalazłby się w stanie oskarżenia o świętokradztwo i czarostwo. Nie był „powoływany” do świętości.

Jako systemową przyczynę fenomenu wyzysku Peter Brown w *Narodzinach zachodniego chrześcijaństwa. Korzeniach Europy* podał materialne zainteresowanie gmin chrześcijańskich w tym, aby nie ustawał strumień jałmużny pokutnej; zadośćuczynienia konkretnym pokrzywdzonym ludziom kierowano wzniosłe ku Bogu, czyli na ręce prezbitera i jego diakonów, rychło czyniąc z krzywd problem tylko zajętego wyłącznie własną duszą winowajcy oraz kwestora – w starożytnym Rzymie, w początkach republiki, był to urzędnik sprawujący funkcję sędziego śledczego oraz oskarżyciela publicznego w sprawach karnych; później powierzono kwestorowi administrację skarbem publicznym. Grzesznikom – zacytuję św. Augustyna – *nie zaszkodzi ich niegodziwość, jeśli tylko poprawią się i nawrócą do Boga*. Zapiski natomiast milczą o dalszym losie skrzywdzonych, w tym w wypadkach przy pracy i wskutek chorób zawodowych, oraz o tym, że utrata bliskich z cudzej winy jest psychicznie ciężkostrawna. Liczyło się rozgrzeszenie pieczętowane ową jałmużną.

Zróbmy kolejne zbliżenie obiektywu i pozostajmy przy udokumentowanej regule, iż krzywdy rekompensowano właściwie tylko na terenach jeszcze misyjnych, a na już uchrześcijanionych już raczej tylko najmożliwszym osobom lub (w wypadku kobiety poszkodowanej) rodom, gdyż mogły się mścić; sądownictwo chrześcijan od samego zarania konstruowano tak, aby, dając wprawdzie słabym jakiś rodzaj satysfakcji moralnej, jednocześnie pozbawiać ich moralnego prawa do równego możnym dochodzenia krzywd, nawet do samoobrony. Mieli się zadowolić „częstką na swoją miarę”. Jednak w miarę czasu datki pokutne szły nie tyle na ręce duchowieństwa, do podziału na potrzeby wspólnoty, co do rąk duchowieństwa. I rosły pod niebiosami. Odstępowano biskupom i zakonowi całe ludne wsie zobowiązane do pańszczyzny, jaka na Orawie i Spiszu w dobrach kościelnych przetrwała do roku 1931 pod nazwą żelarki⁸ – wtedy wynosiła tam przeciętnie 22 dni rocznie z morga, pod groźbą zajęcia zwierząt i narzędzi gospodarskich. Odstępowano zresztą i miasta jak Kolonia czy Metz, tytułem beneficjów i dzierżaw nadawano całe regiony, jak za namową św. Jadwigi Śląskiej krzyżakom ziemie Chełmińską i Michałowską; było za co przepraszać. Konrad Mazowiecki słynął z okrucieństwa i zawiści, własnego zasłużonego wojewodę kazał bezprawnie oślepić, po czym zabić. W 1239 pomówił płockiego kanonika o wrogie knowania i natychmiast bez

⁸ Chłop żelorz musiał mieć zgodę na zawarcie małżeństwa a członkowie jego rodziny na pracę poza dobrami. Za każdą dniówkę od świtu do zmroku otrzymywał kartkę; jeśli wypracował ponad normę, mógł tę kartkę wymienić w karczmie na określone produkty, podaje Michał Zoń, historyk prawa i parlamentaryzmu polskiego. Karczmy puszczone w dzierżawę Żydom były własnością miejscowych potentatów. Umowy między chłopami a plebanem były ustne.

sądu i pisanego wyroku skazał na tortury na tzw. koniu⁹, po czym powiesił. Gdy kilku dominikanów zdjęło ciało ze stryczka, chcąc je pogrzebać, księżna Agafia, żona Konrada, odbiła je i kazała wieść przez miasto wózkiem zaprzęgniętym w woły, by powtórnie powiesić na szubienicy, umyślnie wystawionej przy kościele św. Benedykta naprzeciw katedry. Za ten uczynek arcybiskup gnieźnieński Pełka wyklął Konrada i obłożył diecezję płocką interdyktem. Zdjęcie kary oznaczało kolejne przywileje dla duchownych.

Pokutnik pośledniejszy fundował klasztor, obraz w kaplicy, kalwarię, płytę w ścianie, kosztowne naczynia liturgiczne, księgozbiory. Osobno jednak stawiano też własnoręcznie ponoć przez mordercę wykuwane w kamieniu krzyże pokutne – w XIII i XIV wieku były one proste, w następnych stuleciach zdobione już rytami narzędzi zbrodni takimi jak kusze, miecze, sztylety, widły, topory, włócznie. Jeden z ocalałych dokumentów umowy pojednawczej zawiera zobowiązanie, że rodzina zamordowanego nie będzie szukać zemsty, natomiast morderca wypłaci tej rodzinie pieniądze, złoży ofiarę na kościół oraz odbędzie pielgrzymkę do Rzymu – gdzie też należała się ofiara sowita.

Te monumentalne gesty są jakimś dyskretnym odsuwaniem na dalszy plan naprawiania popełnionego zła bezpośrednio wobec pogrążonych w bólu, datek dla wdów czy sierot pozostawał ledwie ułamkiem wydanej kwoty. W strukturze tych moralnych mikroelementów, składających się na „znak” systemowej demoralizacji, gdzie na zbrodni zarobią, pomijając duchownych, prawnicy, oberżysci szlaku pielgrzymkowego, hospicja przydrożne, strażę, administratorzy, płatnerze, kowale, szkoleniowcy chętnych do udziału w krucjatach (około 1160 roku założono rycerski zakon o nazwie Santiago de Compostela, którego zadaniem był obrona i opieka nad pielgrzymami idącymi do grobu św. Jakuba), jednym słowem najrozmaitsi rzemieślnicy i armia gryziopiórków, okazuje się, że jedyną *ofiara cierpiącą*, to jest wymagającą *mea culpa*, był Chrystus. Dla niniejszych rozważań istotną jest uczynienie z krzywdy ko-produktu, jej wymiennosc na „coś uchwytniejszego”, „zrozumialszego” niż rana psychiczna. Ta bowiem w toku *przemian* zaczyna się wydawać insynuacją, ubraniem sobie, zapiekłością.

Przez całe trwanie Kościoła pasywność wobec notorycznego poniżania jednych przez drugich idzie w parze z aktywnością mającą przywrócić utracony mityczny „stan chwały”, podobny w rzeczy samej do dzieciństwa widzianego przez mgłę wspomnień. Czy duchowny bezwiednie je odtwarza? Czy dlatego tak nadużywa słowa *dzieci*? Zresztą, czy jego stosunek do kobiety nie wygląda na bezwiedny lęk przed matczynym

⁹ Konstrukcja była wykonana z drewna i kształtem przypominała osła lub konia (ale też niekiedy piramidy), na którego grzbiecie okrakiem sadzano skazańca. Ów wąziutki kłoc często był nabity kolcami raniącymi podudzie ofiary. Szczególnie wyrafinowane modele na grzbiecie miały ząbkowaną deskę, dotkliwie raniącą przyrodoznawstwo. Dodatkowo zwiększano nacisk ciała na deskę przez obciążenie nóg. Karze towarzyszyło wystawienie na widok publiczny wraz z informacją o popełnionym przestępstwie. W tym wypadku była nim pomoc synowi księcia w poślubieniu ukochanej z wrogości rod.

odtrąceniem¹⁰, którego pamięć ciągle trwa i zatruwa mu naturalną radość życia? Należy zdać sobie sprawę z psychicznych skutków przyjmowania w szeregi *wybranego narodu* prokreacyjnej nadwyżki feudałów i patrycjatów, dzieci zbędnych, dla których wydzielanie spadku niesłoby zubożenie, którym nie sposób było znaleźć małżonków „na poziomie”. Kler stał się zsympem ludzi zarówno niepotrzebnych w „prawdziwym życiu”, jak i utalentowanych, i dlatego właśnie obarczanych misją wywindowania rodzin, a wtedy tym bardziej afirmował reguły cywilizacyjnej dżungli.

Jeśli chrześcijaństwo nie odcięło swojej pępownicy, jeśli wlece wciąż za sobą mojeszowe łożysko z kłującymi się w nim terminami powstałymi w umysłach Hellady i Orientu, to religijnie nie dojrzało i znajduje się w swoistym *przedprożu*. Z tego punktu widzenia nie jest ono religią, gdyż dzikość sakralną zapożyczyło, ulokowało w przeszłości, co zamienia sferę sakralnych doznań z łak i puszczy w ogrodnicze szklarnie zarządzane przez dyletanta. Pojawienie się charyzmatyków, ekstatyków witaly ze skrępowaniem tak kler, jak „światły laik”. I, co istotne, byli oni utrzymywani w fazie doświadczenia mistycznego bolesnej, krzyczącej.

Alice Miller i Karen Horney badały, każda z osobna, to, czego dotknął Witkacy: *katharsis* najpierw przeraża i wywołuje ostry sprzeciw. Na pewnym etapie leczenia i chory, i leczący, odczuwają wzajemną wrogość, próbują się wzajemnie zdominować, podsuwać sobie przeróżne mylne tropy, byle tylko odwrócić uwagę od najbardziej skrytych problemów – których wstydzą się. Terapeuta-freudysta podejmuje wyimaginowane zgoła zagadnienia, jak choćby pożądanie seksualne u dwulatka. Pojawiają się wymyślne gry wzajemne mające na celu przejęcie dominacji nad „partnerem”, co wstrząsająco pokazały powieść i film „Lot nad kukułczym gniazdem”. Jedną z głównych manipulacji jest wtedy przypisywanie drugiej stronie własnych uwikłań.

Nie inaczej w ogólniejszej już sytuacji przeświadczenia, iż chrześcijaństwo *leczyło* judaizm z choroby faryzeizmu. Źródłem insynuowanych temu akurat odłamowi judaizmu obłądy i zawiści religijnej pozostaje psychika tych, co trwali w takich właśnie stanach, i w ich efekcie zablokowali się, zaskorupili, nie umiając odnieść do siebie słów *Mnieście uczynili*. To w ich doświadczeniu bowiem pojawiło się odłączenie duszy od Boga – lecz utożsamiane z grzechem. Tu się zatrzymajmy. Otóż Jezus doznał *odłączenia*, kiedy czuł się przez Boga opuszczony. Mowa o wręcz kluczowym wydarzeniu psychicznym. Upewnieni przez autora słów „Jaki kto jest wewnątrz, tak widzi świat zewnętrzny”, św. Tomasza z Kempis,

¹⁰ Jeśli matka była neurotycznie gorliwa w praktykach religijnych, ociągające się w nich dziecko karała dając do zrozumienia, że jest „złe” także w oczach Boga. Prawdopodobnie też neurotycznie reagowała na kontakty syna z dziewczynami i inne przejawy seksualności. W środowisku bigoteryjnym każda niesłubna ciąża, rozwód, zdrada małżeńska, a nawet zawód miłosny i późna miłość stają się tematem plotek, w rezultacie czego sfera erotyki i jej problemów obrasta aurą wręcz złowrogą. To samo dotyczy męskich zwłaszcza problemów seksuologicznych. *Nota bene*, w Polsce, po dojściu do władzy AWS zamknięto najważniejszą w kraju placówkę seksuologii mimo dramatycznych apeli lekarzy.

mistyka znad Renu, ucznia twórców *devotio moderna*, osadzonych w myśli Ockhama oraz astronoma, maga, lekarza tudzież hebraisty z Sorbony, Geerta Groote, mimo wszystko **naśladujemy uczynki, a nie stany; stany imitujemy**. Co staje się replikacją zewnętrznych gestów, formuł, wreszcie sztanc. Kościół mówi tylko o opuszczeniu Synagogi, a nie... Boga. Mówi o opuszczeniu jej jak Abraham miasta Ur przez nowy lud wybrany, czyli chrześcijan – lud, który wszakże nie zmieniłby przedmiotu czci. Jest sakralna ciągłość i nieciągłość, przejście w wymiarze świeckim, wyłącznie w krajobrazach materii. Jezusa dojście do punktu bycia opuszczonym przez Boga (więc i Siebie) dokonało się natomiast szlakiem wewnątrz psychicznym. Jako coś skalibrowanego ze strachem przed karą. Jezus przewycięża ten opór w sobie. Po „krzyżu” decyduje się jeszcze na „otchłań”.

U chrześcijan aneksja sakralnej wrażliwości judaizmu, uznanej za chorobę a jednocześnie nieomylną, zmusza do podjęcia jej brzemienia. To oznacza, że potępienie żydostwa **oddalo po prostu jeden z lęków** cechujących systemy conceptualne, w jakich tłumią się przerażające intuicje, że „to nie to”. Przewyciężenie tej **inicjalnej** nienawiści, formalnie dopiero na II soborze watykańskim w „Deklaracji o stosunku Kościoła do religii niechrześcijańskich”, po prawie dwóch tysiącach lat – musi obrać sobie za punkt wyjścia „*wielki smutek*” i „*nieprzerwany ból*” „*antyżydowskiego*” teologa Pawła, jak czytam w Małym Słowniku Teologicznym Karla Rahnera i Herberta Vorgrimlera pod hasłem „judaizm”¹¹. Ból i smutek są tymi uczuciami, które tłumimy złością.

A człowiek? Człowiek, który bez dzikości już nie utożsamia się z archetypami? Smutek i ból u św. Pawła oznaczały coś innego niż u osoby, która **nigdy nie stoi** przed dramatem odrzucania judaizmu jako części siebie, a która co więcej, bez zastrzeżeń przyjęła obwieszczenie jego historycznej klęski, uznała judaizm za zepsuty prefabrykat religii oraz sakralności. Bubeł ląduje w graciarni. Lecz nie łudźmy się: prędzej czy później, gdy zdarzy się tam zająć, natkniemy się w kurzu na lustro – wszystkie drogi prowadzą do lustra.

Klęskę miały ponieść wszystkie już odtąd religie, bez wyjątku, wszelkie nasze „odchylenia sakralne”. Różnica między św. Pawłem a jego następcami, po otwarciu bramy do naszykowanej religijnej graciarni poznawanej tylko „naukowo”, polega jeszcze na tym, iż Paweł bez wątpienia pod Damazkiem w swoje lustro zerknął, następca jednak ma je głęboko wyparte, toteż odpowiedni temu lęk *wzmaga potrzebę bezpieczeństwa, ta zaś na linii naszej psychiki znajduje się dokładnie po drugiej stronie od potrzeby wolności. Zabierz mi wolność, z którą i tak nie za bardzo wiem, co mam zrobić, albo powiedz mi, co mam robić* – że po prostu powtórzę celne ujęcie Igora Brejdyganta, pisarza, scenarzysty, reżysera i fotografa. Następca Pawła nie uświadamia sobie, z czym właściwie chce-nie-chce się konfrontować. Powtórzę: nie wolno mu stosować się do wszystkich naraz przykazań, odwołać do rangi Mojżesza; nie wolno mu też wybrać, a tylko podążać za modelami życia twórców reguł zakonnych – ludzkimi preferencjami.

Psychika tymczasem formatuje pewne dominanty, pewien ponadto stosunek do

krajobrazów geograficznych oraz wewnętrznych, artykułowanych sztukami, wyobrażeniami literatury zwłaszcza ustnej, najmniej zapożyczanej, najsilniej wchłaniającej to coś, co należy już do prawdy ciała wykonawcy pieśni (ba, nie istnieje bez ciała wykonawcy), wyraża się przez głos, oddech. Modlitwy z tego punktu widzenia są oralną literaturą, na dawnej europejskiej Północy o wiele bardziej cenioną niż spisana. A modlitwa to z upływem czasu tekst coraz częściej usztuczony. W wypadku Europejczyka zniknąć miały matryce jego psychiki: sakralna polifonia oraz nadzieja bez fenomenu bogobóstwa z ręki człowieka.

One to w istocie pierwszym chrześcijanom spoza „cywilizacji” dały kilka stuleci wy-ciszenia, okres pełen synkretyzmów, praktyk podobnych do jogi, wspaniałych teodycei, nawet jeszcze w VII wieku Bedzie Czcigodnemu poczucie kulistości Ziemi. A wcześniej życie w chatach kuldee, gdzie przepisywano *Przemiany* albo też heksametry *De rerum natura* (jak ten choćby: *Religia rodziła czyny zbrodnicze i niegodziwe*), i modlono się samotnie lub z innymi, lecz bez reguły zakonnej, „niehalachicznie”. Pracowały tam psychiczne struktury irlandzkie, szkockie, z bagienno-górskich archipelagów, gdzie każda wyspa stanowi samodzielny byt. Ot, ze Śnieżnej Góry, powiadają miejscowi, widać sześć królestw: Anglii, Irlandii, Szkocji, Walii, Man oraz Królestwo Niebieskie. W tych krainach gdzie stąpać, wszystko było, jak zresztą muzyk William Gill oddał w hymnie, do utraty tchu, święte:

*O land of our birth,
O gem of God's earth,
O Island so strong and so fair;
Built firm as Barrule,
Thy Throne of Home Rule
Make us free as thy sweet mountain air.*

*Ye sons of the soil,
In hardship and toil,
That plough both the land and the sea,
Take heart while you can,
And think of the Man
Who toiled by the Lake Galilee.*

*When fierce tempests smote
That frail little boat,
They ceased at His gentle command;
Despite all our fear,
The Saviour is near
To safeguard our dear Fatherland.*

¹¹ Wydany w Polsce w 1987 roku.

Let storm-winds rejoice,
And lift up their voice,
No danger our homes can befall;
Our green hills and rocks
Encircle our flocks,
And keep out the sea like a wall.

Our Island, thus blest,
No foe can molest;
Our grain and our fish shall increase;
From battle and sword
Protecteth the Lord,
And crowneth our nation with peace.

Then let us rejoice
With heart, soul and voice,
And in The Lord's promise confide;
That each single hour
We trust in His power,
No evil our souls can betide.

Wszystko czyli radość: szeroka wydmiasta plaża, klify z wodospadami rzek, zatoki upstrzone skałkami, gdzie codziennie wylegają się foki i czasem czarnobiała orka wyskakuje i porywa im szczenię, krzyczące ptactwo, zapach wędzonych dorszy, woń morskich glonów zbieranych na plaży po sztormie i rzucanych jako nawóz na poletka, błogi smak homarca, a w przybrzeżnym zbitym mule blisko odeń tkwiąca uformowana w węża bransoleta z wielobarwną komórkową emalią sarmacką, i nierzadko na wodzie dym pochówku łodziowego; radość stapia się ze specyfiką życia, które jest surowe, wymagające i zamknięte. Zaglądały tam długie wiosłowce już w IX tysiącleciu przed Chrystusem: właśnie Beda Czcigodny ustanowił początek naszej ery jak oślepiającą limes, która odtąd koordynuje niespójne dane wyjściowe wielu chaosów sprzed Chrystusa. Idąc długim na kilka kilometrów grzbietem ozu w różowej mgie poranka, znajdowało się dłuższą chwilę na tulenie piersi do pnia jesionu o biało-filetowych pąkach. Mijało megalityczne kręgi i kopce mokrych łupków z wyrytymi runami, niektóre to były epitafia krzyżowców, tajemnicze już za sprawą tego, że wielojęzyczni mieszkańcy Północy byli powszechnie niepiśmienni; bliżej morza wzrok ulatywał na rozsypane kopuły głazów o szorstkich węglanowych laminach ugiętych w jakieś miseczki, niczym nakryte stoły pod ucztę – równie dobrze trolle mogły tu paść sobie brzuchy, jak i cienie Owidiusza i Lukrecjusza.

Te materie nakładały się na siebie, dawały studium bryły podobnie jak szkice Degasa, który do malowania skalistego pejzażu najzwyczajniej wysypywał wiaderko koksu na stół, po czym badał, jak załamuje się światło, co oznaczało taniec między bezkształtnością bryły w rozumieniu geometrii i kształtem rzeczywistości. Te więc miejsca zza wału Hadriana, zza darniowego muru Antoninusa, zza Renu i Rugii, gdzie jak dzikie krokusy w śniegu, zakwitli nawróceni poza zarządem katedr biskupich, nie były jednak analogiami ani *polis*, ani *republiki* czy *imperium*, nie nawiązały do idei Państwa Bożego, ponieważ nie były „miejskie“, utrata osady z przystanią tutaj nie mogła rodzić jak na Forum czy w Hipponie nostalgii za wiecznotrwałością, która okazała się śmiertelna. Prościej powiem: ludy Północy wprawdzie po ucieczce Rzymian pograżyły się w wojnach, wprawdzie podbijane, mikrowane, zapomniały same o sobie, ale dla nich utrata **antyku jako sprawnego aparatu** utratą tożsamości nie była. Myślano w kategoriach granic płynnych, w kategoriach wolnej jak słodkie górskie powietrze tymczasowości i ludzi, i bogów, i napadanych kościołów.

Chociaż pewnik co do ewolucji religii od krwawych i zabobonnych ku coraz wznioślejszym i prawdziwszym, jest autorecenzją wyznań wyrosłych z Tory¹², to przemiany oczywiście pozostają faktem. I gdy w świeckiej sferze życia, takiej jak dom, szkoła, ogród, kuchnia, zabawa, wychodzenie w drewniakach na klif spojrzeć, czy wraca już z połowu, zaczynamy widzieć coraz mniej, słyszeć coraz mniej, woląc z kanapy patrzeć w wyświetlacz sms-ów, odczuwać przymus, strach, pustkę i przyływy agresywności, a nadto jeszcze podważać sens szerszej percepcji, podejrzewamy chorobę. W sferze *sacrum* odwróciliśmy ten porządek pocytując sobie za zasługę, że wszelkie obce objawienia stały się dla nas nieczytelne. Bogów nazwaliśmy bałwanami, złymi duchami lub dziecięcą chorobą ludzkości, a ich czcicieli opętańcami i szalbierzami, względne dzikusami. Dlatego powtórzę: poganin rozpoznawał swoje bóstwa w napotykanym krainach, a chrześcijanin helleński odkrywał w Hermesie Krioforosie (Dobrym Pasterzu z owieczką na ramieniu), Asklepiosie, Mitrze, Dionizosie, Adonisie, Ozyrysie, wędrującym w ludzkiej postaci Zalmoksysie, aspekty Chrystusa, zaś w kanciastych postaciach procesji Bożego Ciała na wełnianym bieźniku sznur wozów bitewnych zdobionych twarzami, lub korowód bogiń Podziemia. Dopóki były rzeczywistymi archetypami jego psychiki. On więc, choć deifikował *słowo*, to miał jeszcze w pamięci mowę *bezsłowną* (jak nazwał ją Arystoteles), a nawet pamiętał pisownię, za pomocą której przystoi utrwalac objawienia: królewskie i święte imiona – czerwoną barwą. ■

URSZULA M. BENKA

¹² Powszechność wiary w ewolucję religii wynika po prostu z liczebności tzw. wielkich religii współczesnych, pojęcie ewolucji zaś jest spożytkowaniem idei „słusznego zaniku” wszystkiego, co „wsteczne”.



Bałwochwalstwo przedmiotu

Stworzenie widzi wszystkimi oczami

Przestwórz. Jedynie nasze oczy są

jak odwrócone, zastawione gęsto

jak sidła w krąg jego wolnego wyjścia.

Rainer Maria Rilke, *VIII Elegia Duinejska*

1.

Nie ma rzeczy, która by nie uciekła w przemijaniu. Najmocniej dzierzona, najściślej strzeżona – rozpada się. Nawet kamień, rzecz tak twardo rzeczowa, kruszeje w piasek, w pył, bez ciężaru sensu, bez możliwości uchwycenia. Ale zanim kamień skruszeje, rozpadnie się ręka, która kamień rozważa jako twardy, i umysł, który „widzi”, że kamień jest zawsze obecny. Poddany przemijaniu, kruszejący, ale stale obecny.

Stale obecny? Znaczy to, po pierwsze, że jest on obecny stale, bo wśród rzeczy jest najtrwalszy. Ale poddany głębszej refleksji, ukaże się, po drugie, jako istniejący „poza” aktem percepcji. On jest, gdy na niego nie patrzę. Był, zanim na niego spojrzałem, i będzie, gdy już na niego nie będę patrzył. Jakżeby inaczej?! Ta powszechnie odczuwana oczywistość od początku była jednak problematyczna. Tysiąclecia filozofowania na wszelkie możliwe sposoby wykazywały, że pytanie o obecność rzeczy poza percepcją w ogóle nie nadaje się do rozstrzygnięcia, a nawet do poprawnego sformułowania. Historię filozofii można by rozpatrywać właściwie jako historię krytyki pytania epistemologicznego, jej główny temat.

W żaden sposób jednak to nie wpłynęło na żywotność tego pytania i nieusuwalność potrzeby stawiania go ciągle na nowo w ciągle nowych kulisach dziejowych. Potrzeba odnoszenia się do „istnienia”, cokolwiek by to znaczyło, jako istnienia nieuwarunkowanego, jest potrzebą nieusuwalną i nic tu nie pomoże tłumaczenie, że człowiek nie jest w stanie wyjść poza siebie i postawić się w jakimś punkcie zerowym doświadczenia.

Świat dany jest tylko i wyłącznie jako obdarzony sensem, a sens jest produktem ludzkiego rozumu; nie można zatem przenieść się do przedludzkiego, przedsensownego świata w ramach naukowych rygorów; w ramach nauki nie można z doświadczenia usunąć obserwatora i jego instrumentów badawczych; nie można usunąć pytania, jakie

obserwator zadaje naturze w eksperymencie, a nawet intencji tego pytania, bo *jak* pytasz, *tak* ci wyniki eksperymentu odpowiadają. Tak dialoguje z obserwatorem natura i tylko wtedy, gdy on jej zadaje pytania.

Jeśli obserwator nie zadaje pytania, to nawet nie można powiedzieć, że natura milczy jak zaklęta, bo jeszcze nie przyszła na spotkanie z obserwatorem. Jeszcze się nie pojawiła.

2.

A zatem nielegalne z punktu widzenia myślenia naukowego odróżnianie świadomości i rzeczy, a więc stawianie się w sytuacji sprzed percepcji, jest uprawianiem mitologii. To naukowo dowiedzione. Żyję w micie od rana do wieczora, sądząc, że stąпам po twardej rzeczywistości. A ta rzeczywistość – którą biorę za niezależną ode mnie i poza mną stale obecną – okazuje się, przy bliższym wejrzeniu, nieskończenie skomplikowaną strukturą mityczną, czyli wyrastającą z sensów i utkaną z sensów zawsze przecież ludzkich.

A zatem rzeczywiste istnieje tylko dlatego, że jest symboliczne. I to w najbardziej elementarnym zakresie: nie tylko jako rzecz w kontekście, na przykład jako przedmiot kultury wyposażony w sieć odniesień symbolicznych i metaforycznych, ale także i już zawsze jako przedmiot ontyczny, bez odniesień, nagi. Bo także ontyczność jest wtórna, założona. Jest pomysłem na ogląd i jest to ogląd intelektualny, ogląd oglądu. Bo ontyczny, czyli wyjęty z ogółu, może być tylko jako wcześniej istniejący, wcześniej oglądany przedmiot ontologiczny. Oczyszczenie go z ontologii do kości ontycznej, do istnieniowej nagości może nastąpić dopiero wskutek zanurzenia go w kwasie abstrahowania.

Rzecz aż tak naga, wymoczona w kwasie abstrahowania, nie jest jednak wcale pierwotna. Wręcz przeciwnie: jest możliwa tylko dzięki rozbudowanemu aparatowi analitycznej refleksji, która rozkłada żywe mięso istnienia. Ontyczny, czyli paradoksalnie – wypreparowany przez abstrahowanie i umieszczony do oglądu w słoju z formaliną!

Bezpośrednio dana, źródłowa, jest natomiast rzecz bogata w treści odniesień do kosmosu, w mięśnie, dzięki którym w świecie się porusza i – co równoznaczne – dzięki którym świat się porusza. Bezpośrednio dana jest tylko rzecz nieskończona, chociaż tę nieustającą oczywistość starannie w codzienności i nieustająco przed sobą zasłaniaamy, więc ją powtórzymy: bezpośrednia jest tylko nieskończoność!

Zasadnicza i wielce ważąca różnica, do której jeszcze powrócimy, polega na tym, czy patrzymy na świat jako stający się, powstający, czy też na świat dany, czyli złożony z oddzielnych rzeczy, oderwanych elementów.

Reasumując: już rzecz pierwsza, najbardziej elementarna, jest symboliczna, nie w sensie odgraniczenia od realnego, tylko w sensie naprawdę realnego, bo wyposażonego w żywe odniesienia. Realnego, bo wyposażonego w żywe odniesienia. Sfera symboliczna, odgraniczana zwykle od realnej, nie ma w istocie granicy, jest

organicznie wtopiona w realne. Sfera symboliczna nie jest przeciwstawieniem realnego, tylko jego nieodłączną częścią. Sfera symboliczna jest wręcz warunkiem istnienia tego, co realne.

To, co właśnie powiedziane, trzeba traktować jako swego rodzaju ośli mostek, bo na przykład określenie „symboliczne jest organicznie wtopione w realne” zakłada jednak dwa żywioły – realnego i symbolicznego – które się ze sobą nawzajem splatają. A tu się nic nie splata, tylko jest takie, jednorodne. Ale tę jednorodność można określić, znowu paradoks, przez analityczne rozbitcie. Tylko tak.

3.

Stąd się bierze ta rzekoma nielegalność, ta naukowa prohibicja przeciw metafizyce, która zresztą jest całkowicie, również na gruncie nauki, nieskuteczna. Bowiem jeśli usunę pytania metafizyczne, nie będę mógł się zrozumieć sytuacyjnie jako otoczonego przez rzeczy, które są ode mnie całkowicie różne. Nie będę mógł się nazwać, nie będę mógł mieć własnej tożsamości. Nie będę istniał. Nie będzie mogła zaistnieć także społeczność jako odniesienie do wspólnej rzeczywistości, do tych samych przedmiotów.

Niepodobna sobie wyobrazić ludzkiej kultury, w tym także rygorystycznych myślowo nauk przyrodniczych, bez mitu. Świat bez mitu byłby tylko i wyłącznie każdorazowo przypadkowością faktów, których nie można by w żaden sposób powiązać.

Pytania ostateczne, metafizyczne, nie mogą być wprawdzie naukowe, ale ład celowy świata nie może być wywiedziony z doświadczalnego tworzywa myślenia naukowego. Sprzeczność to pozorna, o czym się na ogół nie wie, albo o tym uporczywie zapomina, że reguły rozumienia realności empirycznych jako sensownych, czyli mityczna konstrukcja świata, nie mogą być poddane kwalifikacji „prawdziwe – fałszywe”.

Idea dowodu naukowego w metafizyce powstaje z mylenia tych dwóch różnych porządków w odniesieniu do świata – mitycznego i technologicznego. Sensowność świata, w tym także jego naukowych skutków, nie polega na tym, że można go dowieść. Nie można go dowieść, co przecież w żaden sposób nie niweczy jego sensowności, bo źródłem każdego sensu nie jest sylogizm, lecz mit właśnie, który być może świecił sensem wraz z pierwszym fotonem w ustalającym się dopiero niebie. Jeśli będziemy się jednak naiwnie domagać dowodu mitycznej, czyli sensownej konstrukcji świata, natychmiast doprowadzimy do degeneracji mitu w martwy, gnijący dogmat.

4.

Kamień w ręku paradoksalnie widoczny jest poprzez uczynienie zeń przedmiotu, czyli umieszczenie go poza doświadczeniem jako trwale obecnego (choć poddanego przemijaniu). Jakkolwiek w doświadczeniu ręki twardy i przez to najbardziej rzeczowy, jest też zawsze kamieniem mitycznym, bo jest pomyślany. Ujęty poza doświadczeniem.

Zawsze trzymamy w ręku rzeczy mityczne, wszystko jedno czy twarde, czy miękkie, czy też całkiem nieważkie – pomyślane.

Wszystkie one przemijają i to jest bolesne najbardziej w przemijaniu ręki; w przemijaniu pięknego umysłu, który ją myśli mitycznie, bo inaczej nie potrafi; w przemijaniu pamięci, która utrzymuje w sobie tę przemijającą rękę nawet wtedy, kiedy o niej teraz nie myślę, lecz jest tam, w pamięci, gotowa do przywołania. Przemijając, ręka (i całe ciało) boli. Boli, bo reumatyzm czy podagra ją męczy i zniekształca. Boli też tylko z tego powodu, że przemija i w tym przemijaniu ona, jak i wszystkie inne rzeczy, jest obojętna wobec mnie, który na to patrzy. Rzeczy, w tym moje ciało, przemijają obojętnie. Nie oglądają się za siebie.

Widać to jaskrawie w bólu fizycznym, kiedy moje ciało mnie opuszcza, porzuca; doświadczam go wtedy jako zewnętrzne, obce źródło cierpienia. Nie upadam pomniejszony do fizjologicznej aparatury w czarną dziurę awarii, defektu, lecz – jeśli jestem przytomny – wznoszę się w tym rozdzieleniu nad obojętnością świata i doświadczam jej w absolutnej skrajności: najbardziej intymny i „zżyty” ze mną towarzysz, moje ciało, niezbywalna część mnie, ja sam przecież... porzuca mnie całkowicie obojętnie. Jako totalnie obcy. Jako jakaś tam rzecz.

To gdzie ja jestem? Czy jest taka przestrzeń, jak ja, skoro nie jest nią moje ciało?

Gdzie jestem, gdy moje ciało odlatuje w bólu ode mnie w nieskończoność obojętności. Nieskończoność: tak – jeśli człowiek może jej doświadczyć, to w bólu. Powiada się, że nieskończoności nie da się pojąć. Można jej jednak doświadczyć.

5.

W umieraniu osób bliskich ich obojętność wobec nas jest szczególnie dotkliwa. Tragizm osiąga swój nieskończony wymiar właśnie wtedy, gdy pozbawieni wyboru nie mamy innej możliwości, jak tylko wzywać zmarłego do życia, a on na nasze błagania nie zwraca najmniejszej uwagi. I największa żarliwość tych błagań nie jest w stanie zmienić tego straszliwego braku zainteresowania ze strony zmarłego.

Przecucie własnej śmierci, przerażająca próba wyobrażenia sobie świata bez naszej obecności, odsłania ten świat na takie graniczne postawienie sprawy kompletnie obojętnej. Nie możemy go ani błagać o inną z nami relację, ani też szantażować naszym ostatecznym odejściem. Obserwując świat bez siebie, jestem w nim oczywiście ciągle obecny jako obserwator, więc nie potrafię zauważyć mojej, czyli zmarłego, trupiej obojętności wobec świata, ale tym bardziej – jako jeszcze żywy – widzę jego obojętność, który z macicy zadowolenia w takiej czy innej przytulnej swojskością ojczyźnie przemienia się w nieskończenie obojętny wszechświat, w którym nie ma nic do zadowolenia z wyjątkiem grobu z kamieniem (kruszejącym) położonym na miejscu mojej zgniłej nieobecności; ku pamięci jeszcze pozostałych; i tylko tak.

Z ciepłego domu w zimny i bez granic obojętny ogrom: ta nagła przemiana jest najbardziej zdumiewająca. Nie ma nic, co bardziej mogłoby nas obarczyć lękiem.

Rzecz jasna człowiek grzeje się i pociesza obecnością innych ludzi, doświadcza miłości, przyjaźni i solidarności, ale lęk przed ogromem obojętnego zimna nadaje etycznym wysiłkom współbywania ludzkiego dodatkową motywację, której zresztą trzeba się będzie bliżej przyjrzeć.

6.

Powiada się, że powodowani lękiem przed obojętnością świata, chcemy się przed nią bronić poprzez przywłaszczanie rzeczy, jakoby w zgodzie z przykazaniem: *Pobłogosławił ich Bóg i powiedział im Bóg: Bądźcie płodni i rozmnażajcie się, i napełnijcie ziemię, posiadźcie ją i panujcie nad rybami morza i nad ptactwem niebieskim, i nad wszystkim, co się porusza przy ziemi* (Bereszit 1, 29). Jest to przykazanie pierwsze, które po wygnaniu Bóg dał pierwszym ludziom już nie w rajskich, lecz w ziemskich warunkach, w fundamentalnym dla naszej kultury projekcie (do realizacji) mitycznym, jakim jest Tora, Biblia. Świat i rzeczy w nim mają być udomowione jak rośliny i zwierzęta. Dzika nieprzewidywalność natury, jej krnąbrność, która przygniata swoją nieokiełznaną siłą, mają zostać ujarzmione, ujęte w wędzidła i w uprzężach zmuszone do służenia człowiekowi, jak osioł czy wielbłąd.

Przedłużeniem tego początkowego etapu pasterstwa i rolnictwa są technika i technologia. Przywłaszczone, przymuszone dzięki technice i technologii rzeczy miałyby jakoby stać się nam jeszcze bardziej posłuszne, a więc nieobojętne, a więc bliskie, za przyjaźnione, oddane i godne zaufania. W efekcie tego stałego zawłaszczania poruszamy się w środowisku coraz bardziej przez nas urządzonym. Świat, przynajmniej w granicach Ziemi i jej najbliższych okolic, staje się naszym projektem. W tym świecie wszystko nam podlega, dzieje się on za naszym przyzwoleniem, reaguje i działa w określony przez nas sposób, możemy go w pewnych obszarach dowolnie włączać i wyłączać, przyspieszać i zwalniać, oświetlać i gasić światło, i to nie w mieszkaniu, lecz w całym mieście, w całym kraju, na całej Ziemi, na Księżycu.

W tym technologicznym panowaniu nad światem pojawiają się najrozmaitsze formy, ukryte bądź jawne, wchodzenia w boską rolę Kreatora ze wszystkimi tego konsekwencjami opisanymi już w Księdze Rodzaju, w rozdziale o budowie wieży Babel, a więc u zarania mitycznej historii człowieka. Ciągłe na nowo podejmowana próba zbudowania wieży Babel, wyrwania świata fizycznego z jego obojętności, kończy się za każdym razem klęską, nie jest bowiem możliwe władanie nad nieskończoną naturą.

Przed wszystkim jednak dlatego nigdy nie udaje się nam z rzeczami zaprzyjaźnić, jak to nieraz bywało w rzemiośle, że im większy triumf technologii, tym bardziej rzeczy są łupem, bo triumf technologiczny z natury swojej jest grabieżą i wojną. A wojna

zrywa wszelkie pakiety, także umowy z rzeczami, z wiecznych zobowiązań zostaje chwilowa tymczasowość momentu w procesie technologicznym.

Rzeczy dlatego stają się nam podległe, że nie mają żadnego znaczenia zastanego, swojej wartości dla siebie, a są niewolnikami wojennej strategii wykorzystania materiału do budowy gadżetów i dopiero w wyprodukowanym gadżecie miałby ten bezsensowny materiał, bezimienne tworzywo, znaleźć swoje znaczenie.

Gadżet jednak, w strategii wojennej, jest jak wystrzelony pocisk, i każdy bez wyjątku kończy na pobojuwisku, na śmietniku. I świat musi się stawać pobojuwiskiem, musi stać się śmietnikiem w tej wojennej, technologicznej perspektywie i nie ma z tego innego wyjścia, jak tylko roztrzaskane odłamki wszelkiej materii wyrwanej z wszelkiego znaczenia. Ten proces jest samobójstwem.

Powiada się, że jest to kryzys, z którym człowiek będzie sobie już za chwilę radził. Przecież wszelka modernizacja zawsze była, jest i najprawdopodobniej będzie dziełem przecięzanego kryzysu. Można przecież – powiada się – nieunikniony proces homogenizowania natury, poddawania jej technologicznej obróbce, kształtować z namysłem, który w tej chwili staje się coraz bardziej obowiązującą ostrożnością wpisaną w prawo i wszystkie publiczne procedury, od gminy po organizacje światowe. Protest ekologiczny został wchłonięty w technologię. Dzisiaj technologia ma ekologiczne geny. Co jest dla wszystkich jasne.

Otóż nie. W ogóle nie w tym rzecz. Technologia nie może mieć ekologicznych genów. Jest bowiem sposobem budowania świata jako przedmiotu, a więc bezwzględnie i totalnie zabudowuje sobie drogę do świata naturalnego, zagradza sobie bezpowrotnie drogę do wolności. I nie może inaczej. I nie można tego zmienić. Można to tylko mniej lub bardziej ukryć. Nie chodzi o to, co technicznie można zbudować, na przykład bombę atomową albo elektrownię atomową, coś niszczycielskiego albo niosącego dobro, lecz o fundamentalny sposób zawłaszczania. Cokolwiek budując, technologia niweczy wszelką drogę w Otwarte, w czysty związek wewnątrz Całości.

Gdy zdarzy się wam popatrzeć w oczy jelenia na parkingu przed centrum handlowym (bo gdzie indziej można go zobaczyć na wolności?), jak patrząc na nas widzi poza nami, być może jeszcze zobaczycie, że jest on tak osadzony w świecie, iż nie przeciwstawia go sobie w każdym momencie, jak my to robimy. On jest w świecie. My natomiast jesteśmy wobec świata. Nie stoimy, jak mówi filozof, „w ciągu i wietrze całościowego związku”, lecz stoimy naprzeciw.

W tym słowie „naprzeciw” jest przede wszystkim „wobec”, mniej słyszalne jest „przeciw”, jednak musimy zdać sobie sprawę, że w gruncie rzeczy jesteśmy przeciwni światu, który staramy się ujarzmić, opanować, zabudować, wypełnić przedmiotami techniki. I już na samym początku, zanim wymyśliliśmy technikę do zastawiania świata przedmiotami, sam świat stał się przedmiotem poprzez rodzaj naszej świadomości, przedmiotem, a więc konstrukcją uśmiercających, morderczych w swojej istocie pożądań.

7.

W wodach Potopu nie utonęło ludzkie zło. Noe był najlepszy w swoim pokoleniu i był sprawiedliwy, ale tylko na tle innych. Zawiedziony Bóg powiada: *Nie będę więcej przeklinał ziemi z powodu człowieka, bo skłonność serca człowieka jest zła od jego młodości, i nie będę więcej niszczył całego życia, które uczyniłem* (Bereszit 8, 21). To zgoda na degradację. Wolna wola człowieka zniweczyła nadzieje jego Stwórcy.

Pierwsze panowanie nad przyrodą, nadrzędność człowieka nad naturą, była królowaniem w świecie, gdzie najpewniej lew pasł się obok kozy, a człowiek był wegetarianinem, który doskonalił, albo przynajmniej zachowywał ogród w rajskim dobrostanie, i nie brakowało mu nasion i owoców, których nie musiał wydzierać, które same wpadały mu do ust. Teraz, po Potopie, relacja człowieka do rzeczy w ogóle, a jaskrawym przykładem są rzeczy-pożywienie, diametralnie się zmienia: *Strach i przerażenie przed wami będzie w każdym stworzeniu ziemskim [...]. Każde żyjące [stworzenie], które się rusza, będzie dla was pożywieniem [...]. Ale mięsa [stworzenia], które jest jeszcze żywe, nie jedzcie!*

Usta, w które same wpadały nasiona i owoce, zamieniają się w pyski wydzierające mięso z żywych zwierząt. Bóg musi, bo praktyka ta najwidoczniej była powszechna, wyraźnie i dobitnie jej zabronić. Ten fragment Księgi Rodzaju (hebr. Bereszit) kończy się wprowadzeniem powtórzeniem błogosławieństwa, które otrzymali pierwsi ludzie: *bądźcie płodni i rozmnażajcie się...*, ale poprzedzone ono jest szczegółowym zakazem zabijania człowieka i jedzenia części żywego zwierzęcia. Oto człowiek epoki synów Noego.

Bóg dał im siedem uniwersalnych przykazań, z których pierwsze, było zakazem bałwochwalstwa. Dopiero szóstym był zakaz jedzenia części żyjącego zwierzęcia. W hierarchii przykazań jest sugestia, że bałwochwalstwo jest przyczyną (z niego wynika) skłonności, czy w ogóle możliwości jedzenia (pożerania) części żyjącego zwierzęcia.

Te siedem to były to przykazania dane wszystkim ludziom. Żydów jeszcze nie było. Pierwszym Żydem był Abraham, a naród żydowski powstawał w długim procesie Wyjścia z Egiptu, którego centralnym wydarzeniem było *Matan Tora*, danie Tory.

Według tradycji nastąpiło ono po 790 latach od Potopu, siedem tygodni od Wyjścia z Egiptu, podczas Objawienia na Synaju. Na tym już w pełni doprecyzowanym prawie, składającym się z 613 przykazań, których esencją jest owych Dziesięć Przykazań na kamiennych Tablicach Przymierza, zostały wzniesione wszystkie gmachy ludzkiej kultury i cywilizacji.

Nie będziemy tu zajmować się wielowiekową i wielowątkową dyskusją na temat podziału i struktury tych przykazań. Dla nas jest ważne, wskutek niestety koniecznego uproszczenia, że po pierwszym zdaniu, w którym Bóg oświadcza: „Ja będę ci *Adonaj*, twoim Bogiem, [Ja], który wywiódłem cię z ziemi egipskiej” – co jest podstawą oraz istotą wszystkich przykazań, następuje pierwszy zakaz: „Nie wolno ci mieć innych bogów oprócz Mnie. Nie wolno ci zrobić sobie figury, żadnego wyobrażenia tego, co

jest w niebie na górze, ani tego, co jest na ziemi w dole, ani tego, co jest w wodzie poniżej ładu”.

Zakaz bałwochwalstwa jest zawsze pierwszym zakazem, co nadaje mu znaczenie fundujące dla unikania wszystkich przez Boga potępianych ludzkich skłonności. Bowiemy jako bałwochwalca i z bałwochwalczych powodów, jesteś skłonny, żeby mordować i kraść. Bałwochwalstwo, zawarty w nim sposób traktowania świata, jest źródłem każdego grzechu, który na pozór nie jest bałwochwalstwem, lecz na pozór innym grzechem, o innej naturze.

Mędracy judaizmu tłumaczą, że jesteśmy bezwzględnie zobowiązani przypisać wszelką potęgę Bogu i nie możemy uznawać nad sobą żadnej innej władzy, czy miałby to być anioł, gwiazdy, konstelacje..., nawet jeśli Bóg obdarza te fizyczne i duchowe siły mocą wpływania na nas poprzez przekazanie im części Swojej władzy. Potęgi te same z siebie nie posiadają żadnej mocy. Nie oddaje się czci królewskiej ministrom króla. Bowiemy w sposób nieuchronny i dla nas niezauważalny zaczniemy ich czcić zamiast Boga.

Bałwochwalca, poganin – po hebrajsku także *akum*, to akronim słów *owed kochawim u-mazalot*, co znaczy mniej więcej *bezsilny sługa (pracownik) gwiazd i konstelacji (zodiaku)*. Mamy tu zatem do czynienia z podstawowym znaczeniem bałwochwalstwa, które znacznie przekracza prymitywną część oddawaną idolom z kamienia, metalu czy innego tworzywa, a jednocześnie zrównuje uczonego astrologa z prymitywnym wyznawcą kamienia. Obaj są bałwochwalcami i nic więcej.

Uznanie wpływu konstelacji gwiazdnych na nasz los jest wprowadzeniem ogromnym przedsięwzięciem poznawczym, usiłującym odkryć wpływ obrotów ciał niebieskich na ludzkie ciało i jego wewnętrzny świat ducha, ale nie bierze pod uwagę, że nawet jeśli takie mechanizmy współdziałania istnieją, to Bóg może je uchylić i odmienić ludzki los. Prawa natury nie funkcjonują bezwzględnie, czasami cuda je uchylają, jeśli Bóg tak chce. I judaizm to założenie, że w obliczu Boga prawa natury nie są samoistne, wpisuje immanentnie w każde działanie, czyli w tym przypadku w dialog między człowiekiem a Bogiem.

O ile w świecie greckim *Ananke* jest bezwzględną koniecznością przymusu, nieuchronności siły, która zawsze (i jeszcze raz zawsze, bez najmniejszego wyjątku) zniewała do poddania się Przeznaczeniu, czyli sieci związków przyczynowo-skutkowych, to w judaizmie jest inaczej: w przeznaczeniu (od małej już litery) pojawiają się w pewnych okolicznościach szczeliny, które unieważniają wyroki mechaniki przeznaczenia, znoszą nieuchronność siły działania ciągów bezwzględnego wynikania.

Grecka ontologia fundująca do dzisiaj myślenie Zachodu, która logicznie stwierdza: *tak jest* – w judaizmie jest w gruncie rzeczy ontologią bałwochwalstwa, gdyż pozbawiona jest zasadniczego dla istnienia elementu etycznego. Element etyczny nie jest ozdobą istnienia, jest jego najbardziej istotnym żywiołem. Wręcz tworzywem, substancją.

Abraham targujący się z Bogiem o liczbę sprawiedliwych, którzy mogą uchronić przed zagładą, pertraktuje fundamentalne warunki istnienia świata i od jego nieustępliwej postawy w tych negocjacjach świat zależy. Księga Przysłów poucza, że sprawiedliwy jest podstawą świata, a Talmud rozwija legendę o Trzydziestu Sześciu Sprawiedliwych, zwanych *Cadikim Nistarim* (hebr. Sprawiedliwi Ukryci), którzy, choć przez otoczenie nierozpoznani, w cichości podtrzymują świat.

Uczona wiedza astrologa o bezwzględnych mechanizmach gwiazd tykających w ludzkim życiu, niebiorąca pod uwagę Zegarmistrza, jest tyle samo warta, co wiara tego bałwochwalcy, który modląc się do kamienia, obrazu, sprawiedliwego mędrca, kapłana, pierwszego ministra kapłanów – chce sprowadzić deszcz, dobrobyt czy szczęście. Wyjęty z otoczenia kamień i uznany przez wydzielenie, mianowaniem przez nas na święty kamień, cudownie sprawczy, jest próbą zamknięcia świata w dającej się ująć przestrzeni. Jest magicznym uwięzieniem świata w kręgu ludzkiego władztwa. Jest unieruchomieniem kamienistości kamienia w siatce fałszywej symboliki, wykradnięciem go ze świata i ukryciem jego kamiennej natury pod czapką niewidką uwielbienia.

Bowiem bałwochwalcą jest także człowiek, który myśli, że Bóg jest tak wielki, tak wywyższony, tak oddalony, że możemy go czcić tylko przez bliższych nam pośredników. Zakaz bałwochwalstwa zawiera w sobie zakaz sporządzania jakichkolwiek fizycznych symboli Boga i dotyczy także osób, które najszczerzej pragną Mu służyć. Nie jest istotna forma bałwochwalstwa, jakoby na przykład subtelna wiara w świętych pośredników czy też całkowicie prymitywny kult pieniądza, zawsze jest to upadek w politeizm.

9.

Ten upadek wiąże się z karą, z gniewem zazdrosnego Boga i strach przed nim ma utrzymywać nas przy lojalnej wierze w Niego i wystrzeganiu się bałwochwalstwa, które zagraża nam z każdej strony, bo ten świat doczesny dookoła jest wypełniony bałwochwalcami i cielcami ze złota w każdej możliwej formie: w funkcjonowaniu instytucji religii, ekonomii, w przemyśle wytwórczym i przemyśle wytworów „ducha”. Jest wręcz zastawiony, totalnie zagrożony cielcami. Aliści jeżeli widzimy to zagrącenie, nie jest nam już potrzebny strach przed karą Boską za bałwochwalstwo, gdyż na zimno i „obiektywnie” widzimy realizację bałwochwalstwa.

Widzimy to bowiem także jako ateści (stąd ten rzekomy „obiektywizm”, bo jakoby bez udziału wiary) i Bóg nam jest do stwierdzenia dookólnego śmietniska niepotrzebny. Widzimy całkowicie racjonalnie, jak się rzeczy mają, a więc powinniśmy wręcz być ateistami. W widzeniu śmietniska przestaje ono być bowiem niezrozumiałym zakazem, jakimś widzimisię Boga, który grozi śmiercią, bo jest zazdrosny i domaga się wyłączności, lecz realnym skutkiem *tak zwanego* bałwochwalstwa, czyli światem

zamienionym w trujące śmietnisko materialne i śmietnisko umysłu, na którym padają trupem nawet działania arytmetyczne. Musimy zatem posprzątać, a nie się modlić o posprzątanie. Na tym śmietniku bowiem można nam wmówić wszystko, podczas gdy będziemy dumni z tego, że nikt nam już nie będzie w stanie wmówić – żeby daleko nie szukać, albo żeby nie szukać już u Orwella – że białe jest białe, a czarne jest czarne. Nie! W takie szalbierstwo nie uwierzemy!

Strach przed Bogiem, karzącym za bałwochwalstwo, staje się strachem przed zbiorowym samobójstwem, a przecież Bóg jest do tego niepotrzebny, żeby się bać konkretnej śmierci przez zatrucie i uduszenie, a nie abstrakcyjnej śmierci na skutek trudnej do zdefiniowania kary Boskiej. Bałwochwalstwo w gruncie rzeczy przestaje być bałwochwalstwem, lecz jest zwykłą bezsensowną produkcją gadżetów, które nie rozkładają się dostatecznie szybko, by uczynić miejsce pod następne gadżety.

Wystarczy zatem, mówiąc w ogromnym skrócie, przestać produkować gadżety rozkładające się przez stulecia i zastąpić je gadżetami rozkładającymi się błyskawicznie, by zlikwidować problem śmietniska. Problem zanieczyszczenia naturalnych cieków można rozwiązać przez coraz lepsze oczyszczalnie ścieków, które przekształcą je w źródła krystalicznie czystej wody pitnej. Gdyby jednak było jej za mało, to jest ona w oceanach, w których zawarty plastik i rtęć można by użyć do produkcji plastikowych termometrów rtęciowych mierzących coraz wolniejsze ocieplanie się klimatu, termometrów wskazujących na triumf ekologii, który byłby skutkiem likwidacji spalania skamielin i coraz większej produkcji energii odnawialnej z wiatru i słońca... itd., itp.

Katastrofy spowodowane produkcją technologiczną leczy się i będzie się leczyć w przyszłości coraz lepszą technologią. Z tego koła nie ma ucieczki. Im szybciej się biegnie, tym szybciej obraca się koło chomika.

10.

Cywilizacja techniczna podbija przestrzeń i niewoli zawarte w niej rzeczy. Zapomina o czasie, który jest dla niej nieprzenikniony. Od samego początku zapatrzony w przedmiot człowiek pomijał jego bycie. Wędrował i przekraczał przestrzeń, a czas przekraczał jego. Czynił przestrzeń dostępną swojej woli i zastawiał ją swoimi przedmiotami, a czas był całkowicie poza jego władztwem, więc także poza refleksją.

Bycie bytu, jak mawiał filozof, pozostawało i pozostaje dla człowieka zakryte, co jest największym skandalem myślenia. Czas, unoszący się ponad wszystkim kategoriami, nie był i nie jest ujmowany przez umysł, jakby należał do innego świata.

A przecież tylko w nim wszystko jest wspólne. Można powiedzieć: moja przestrzeń, moje pole; o czasie tak orzekać nie możemy. Nikt nie jest w stanie przecież pojąć czasu na własność. Należy on w takiej samej mierze do wszystkich. Posiadamy swoją własną, tylko naszą przestrzeń (ciało, mieszkanie, zagrodę, pole, latyfundia), czas natomiast

jest bezwzględnie wspólny, nie podlega żadnej możliwości, w przeciwieństwie do przestrzennych rzeczy, przywłaszczenia. Niczego nie zajmuję w czasie; zajmować, anektować, okupować mogą tylko w przestrzeni.

W przestrzeni mam rywali i wrogów; w czasie, poprzez współczesność wobec wszystkich bytów, jestem równoprawnym towarzyszem każdego w jej, tej wiecznej współczesności, przeżywaniu.

Rzecz jest inna, indywidualna, odrębna, różna od innych rzeczy; jeśli ją widzę, to w izolacji, w oderwaniu. W czasie nie ma nic, co mogłoby istnieć w oderwaniu dla siebie.

Czas – jak pouczają mędrcy – jest stwarzaniem, a przestrzenne rzeczy są rezultatem procesu stwarzania. Gdy patrzymy na rzeczy, widzimy wyizolowane skutki; gdy podajemy się czasowi, słyszymy, jak się cały świat staje.

Przestrzenne rzeczy oszukują swoją rzekomą niezależnością, swoją złudną trwałością. Zastaniają. Zastaniają. Zastaniają.

11.

Nie można tego palącego i straszliwie zaniedbanego problemu czasu rozwiązać przez podbój przestrzeni. Czczność tego podboju i jego poznawcze uroszczenia są znane od zawsze. Mówią o tym filozofowie, mówią o tym mity, mówią religie, że świat bez czasu jest rzeczywistością bez urzeczywistnienia. Wie o tym, w chwilach pełnej trwogi refleksji o wieczności, każdy niemal człowiek. Czas jest tajemniczy, ale jego trwanie nie jest tajemnicą.

Fundamentalne dla naszej kultury Dziesięć Przykazań w całej swojej strukturze, w każdym miejscu, ale też explicite już na samym początku, w pierwszym zakazie, zabraniają czcić rzeczy, zabraniają czcić przestrzeń, a nakazują uświęcać czas. Skłonność do bałwochwalstwa jest jednak zdumiewająca. Oto bowiem Izrael na Synaju, który był świadkiem Objawienia jako naród, cały naród, dosłownie chwilę po Objawieniu, kiedy Mojżesz odbiera na Górze Tablice Przymierza, ten naród w trakcie swego założycielskiego aktu nadania Tory, konstytucji dla istnienia materii i ducha, odlewa złotego cielca, będącego totalnym zaprzeczeniem tego, co widział i słyszał.

Judaizm w swoim historycznym rozwoju można by traktować również, jeśli nie przede wszystkim, jako dzieje walki z bałwochwalstwem. W praktyce judaizmu odcisnęło się to bardzo mocno we wszystkich aspektach życia, od rozbudowanych przepisów koszerności, czyli traktowania rzeczy w procesie najbardziej intymnego uwewnętrzniania, czynienia z rzeczy własnych, biologicznych sekretów (łagodzenie pożerania i mięsożerności), poprzez rygorystyczny ikonoklazm obejmujący nie tylko materialne „figury”, ale także, jeśli nie głównie, unikanie antropomorfizmów w języku, w modlitwie i liturgii, po finalne wreszcie uświęcanie czasu w formie Szabatu, którego

obchodzenie, w którego wchodzenie, w którego istnienie się jest najważniejszą sprawą praktykowania judaizmu, czyli bycia, dla pobożnego Żyda. Kiedy każda czynność, najbardziej skądinąd prozaiczna, ma osiągnąć duchowy wymiar. Podbijaj przestrzeń, bo nie możesz inaczej, pracuj, ale tylko wtedy i wyłącznie wtedy, w sposób bezwzględnie konieczny: gdy będziesz uświęcał czas – powiada judaizm słowami Boga w Torze pisanej i ogromnymi traktatami rabinicznymi w Torze mówionej.

W chrześcijaństwie, które ma przecież te same źródła, co judaizm (jeśli ktoś nie chciałby uznać twierdzenia, że judaizm jest źródłem chrześcijaństwa), „święcenie dnia świętego” nawet w przybliżeniu nie przypomina Szabatu, a drugie przykazanie, czyli fundament i treść monoteizmu, jest całkowicie pominięte, co jest problemem tak ogromnym, że na użytek tego tekstu niemożliwym nawet do zarysowania.

12.

Świętość w przyrodzie, uznawanie i czczenie jej w przyrodzie, w pięknie krajobrazu, zachodu słońca, w niezaprzeczalnym pięknie jelenia na rykowisku, w majestacie nieba nad nami – to jest odruchowe, głęboko zakorzenione i chciałoby się powiedzieć: najbardziej oczywiste. Świętość w przyrodzie to treść wielu religii i powszechnych do dzisiaj przekonań. Judaizm to zmienia. Przesuwa ideę świętości z przestrzeni do czasu, z przyrody do historii, od rzeczy do wydarzeń.

Judaizm pozbawia fizyczny świat wrodzonej jakby świętości. Nie ma już roślin, zwierząt i krajobrazów, które z samej swojej natury, bądź jako miejsce teofanii miałyby być święte. Rzecz do pewnego stopnia może być wywyższona, ale tylko poprzez świadomy akt człowieka. Świętość bowiem nie leży w naturze rzeczy, lecz jest najwyższą wartością, jaką człowiek może ją obdarzyć, łącząc ją z Bogiem. Świętość nie objawia się też w jakimś konkretnym miejscu, jak to sugerują święta ziemia, święte góry, święte drzewa itd.

Święte Miejsce w judaizmie nie jest punktem, który da się bez reszty wyznaczyć przy pomocy współrzędnych geograficznych. Jest to bowiem Miejsce Spotkania i przynależne mu współrzędne są duchowej, a nie przestrzennej natury. Oczywiście spotkania stają się tutaj, w tej i tamtej okolicy, w pobliżu Sychem koło dębu More, na górze Moria, pośród dębów Mamre, czy w Bet-El, a więc w okolicy, która jest określona, którą można opisać i naznaczyć poprzez zbudowanie ołtarza, czy też namaszczenie kamienia oliwą. Ale to są bardziej działania ku pamięci skierowanie, jest to wznoszenie pomocniczych drogowskazów do wnętrza, prawdziwego miejsca teofanii, a mniej oznaczanie miejsc, w których teofania jakoby zewnętrznie się odbywa; bo właśnie tak, na zewnątrz, odbywają się teofanie w istocie bałwochwalcze. Prawdziwe objawienie spełnia się w spotkaniu, między... a nie w miejscu i dlatego miejsca święte w Judaizmie zanikają, coraz trudniej je określić przestrzennie.

Wszystkie przedmioty – od najmniejszych, jak cicit w talicie, tefilin na głowie i ramieniu, mezuzy na framugach drzwi, do monumentalnych jak Przybytek Obecności, jak Świątynia, Bejt Hamikdasz – są przepełnione semantycznie. Mają skomplikowany kod swojej struktury zapisany w materii, ale także w sposobie sporządzania przedmiotów z materii i są na wskroś tekstualne. Nie tylko z tego powodu, że zawierają teksty, jak mezuzy i tefilin, zapisane przez soferów na koszernej skórze bez najmniejszego błędu, i jak Arka Przymierza. I nie tylko dlatego, że również pomieszczenia tych tekstów są tekstem. One w każdej płaszczyźnie są tekstami. I mają swoje otoczenie, kontekst materialny prześwietlony znaczeniem aż do zatrąty zmysłowych konturów. Wszystkie te przedmioty istnieją tylko po to – jak codziennie powtarzają Żydzi w modlitwie – by zobaczywszy je, przypomnieć sobie przykazania Boga. Istnieją tylko po to, by swoją materialność obrócić na nice, żeby unieważnić swoją zmysłową przedmiotowość i stać się wrotami do przestrzeni duchowej przykazań, Micwot: „będziecie je spełniać i nie zwróćcie się za waszym sercem i za waszymi oczami, za którymi błaznicie”. A więc ich materialność ma skrajnie znaczeniowy charakter.

Wszyscy czytają w Biblii, że Mojżesz zbliżając się do krzewu, który płonął ogniem, ale nie był przez ten ogień trawiony, usłyszał: „Nie zbliżaj się tu! Zdejm z nóg sandały swoje, bo miejsce, na którym stoisz jest ziemią świętą”. No i mamy świętą ziemię. W Torze natomiast (Bereszit, 3,5) jest napisane: „miejsce, na którym stoisz, jest święte”. Jest w tym wersji wprowadzie słowo *ziemia*, ale męski zaimek *hu* odnosi się do słowa *hamakon* ‘to miejsce’, a nie do żeńskiej formy wyrazu *admat* ‘ziemia’, na co już zwracał uwagę Raszi, czołowy autorytet wśród komentatorów Tory, w XI wieku.

A więc miejsce spotkania nie da się ustalić, opieczętować. Świątynia, Miejsce Obecności, jest przede wszystkim wędrowne, jak pierwszy Przybytek. Z kamiennych świątyń pozostał kamienny mur przyjęty jako kamienna hipoteza.

13.

Sztuka, dlaczego sztuka zatem jako przedmiot nie musi być objęta ikonoklazmem. Tylko wtedy, jeśli sztuka – jak mawiał Klee – nie odtwarza tego, co człowiek widzi, ale czyni widocznym. To samo inaczej mawiał Matisse, gdy twierdził, że nie maluje rzeczy, tylko różnice między nimi. To samo, tylko trochę inaczej, mówili wszyscy wielcy malarze, którzy w rzeczy płóciennej pomazanej farbą osadzali prawdę jako ruch w odsłonięcie.

Czynienie widocznym jest uświęcaniem uwidocznionego. Jest ukazaniem ukrytego związku, jest wskazaniem na zapomniane, zasłonięte Otwarte. Sztuka nie jest zatem uprawianiem bałwochwalstwa, mimo że jest przedmiotem, gdy odsyła w Otwarte. Estetyką w pierwotnym znaczeniu jest bowiem to, jak w konkretnym ludzkim działaniu, skończonym i indywidualnym, migoce nieskończoność. Gdy kruchy jak żdźbło człowiek ruchem pędzla umaczanego w farbie na płótnie ją nam sugeruje.

Mówi na przykład, że prawda jako zdanie orzekające to sprawa wtórna i banalna, bo prawda pierwotna i wielka to sam człowiek z otwartymi oczami, który wyszedł z platońskiej jaskini na słońce i który nagle widzi, to znaczy odkrywa. Bo ślepotą jest widzenie, które nie odkrywa.

Gdy dzieło sztuki mówi, że *aletheia* – droga prawdy, spełnia się nie poprzez dotarcie do celu, lecz spełnia się w samej wędrówce drogą prawdy i mniemania, a wnioski zmysłowego oglądu pokazuje jako zasłonę, wtedy nie jest bałwochwalstwem.

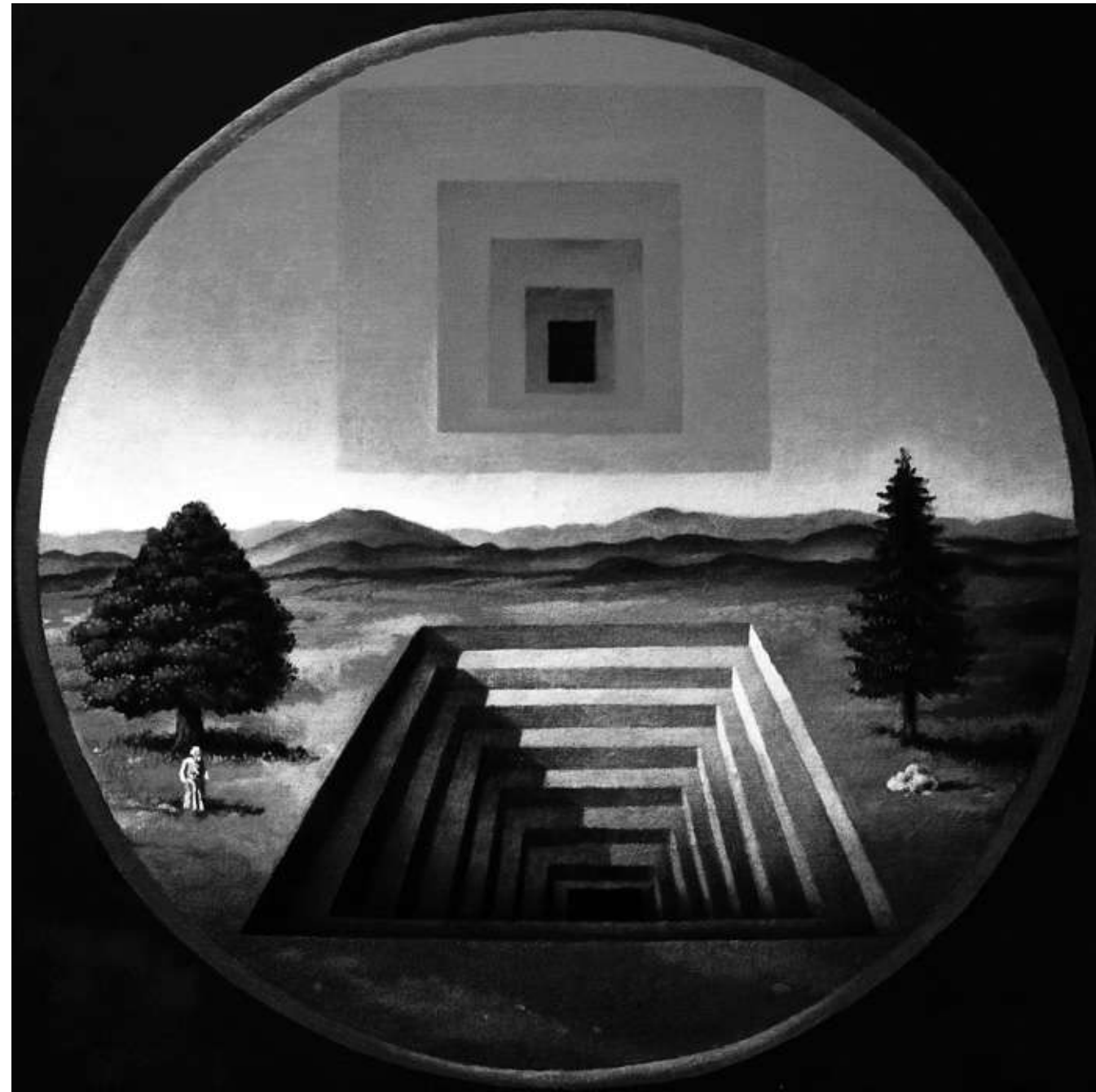
Gdy mówi, że kluczem do prawdy nie jest zdanie prawdziwe, przeciwstawne zdaniu fałszywemu, lecz *logos*, cała mowa od razu. Gdy mówi, że prawda nie leży po stronie bytu, lecz jest możliwością istnienia człowieka odkrywczego, jego świętą dyspozycją złożoną w *logos*, w nim całym.

To jest perspektywa, którą nam ukazuje mityczna organizacja świata, do której sztuka organicznie należy, wyznaczona religią. Ale mieści się w niej także już zinterpretowana, a może być zinterpretowana tylko w porządku mitycznym, ontologia nauk przyrodniczych. Gdybyśmy bowiem, idąc za Erwinem Schrödingerem, Albertem Einsteinem i całym szeregiem najwybitniejszych fizyków nowożytności, wzięli sobie do serca (a co to znaczy: brać sobie do serca – pozostawiamy na razie bez wyjaśnienia), że to, co obserwujemy jako materialne ciała i siły jest niczym więcej, niż kształtami i wariacjami w strukturze przestrzeni, bo cząstki są jedynie *schaumkommen*, pozorami, dosłownie: mydlinami – to...

Pomysł, że materia jest iluzją, jest bardzo stary. Podejrzewam, że tak stary, jak ludzkie myślenie. Fizycy mogą poprawić ten pomysł, mówiąc, że materia nie jest iluzją, lecz falą złożoną z ładunku elektrycznego. A więc falą, pal lichu z czego złożoną, a więc falą i z perspektywy zwykłej naoczności iluzją. Jej zdolność przechowywania bezwładu, swego rodzaju falowy żyroskop, byłby narodzinami masy, a więc także czasu... Mój Boże!, nie będę tu wchodził w to dalej, bo to zbyt ogromne na ten tekst i jego autora, ale gdybyśmy się tylko ograniczyli do hipotezy człowieka jako fali i mogli sobie wziąć do serca, że tak właśnie człowiek istnieje, nie jako ciało, a więc osobność, ale jako relacja ze wszystkim...

Tak. ■

ANDRZEJ WIĘCKOWSKI



Zwierciadło

Nasz wymiar jest mrocznym lustrem, które pochłania światło i stanowi przegrodę dla światła z wyższych wymiarów. Ale w tej mrocznej tafla znajdują się bramy. Gdyby ich nie było, jakimże sposobem strumień informacji przedostawałby się do niższych światów?

Mosze Chaim Luzzatto

A moje miejsce już mnie nie pamięta.

Hiob

Mój dom powiedział mi: nie zostawiaj mnie, bo twoja przeszłość jest we mnie.

Khalil Gibran

Według pewnych niesprawdzonych, choć niezwykle urokliwych hipotez, przedmioty żyją wiele razy zachowując pamięć poprzednich miejsc. Również miejsca żyją wielokrotnie przechowując pamięć o poprzednich właścicielach. Przedmioty i miejsca, podobnie jak ludzie, cierpią też na amnezję. Trzeba je również chronić przed złym losem. Należy je szanować, choć nie wypada ich czcić.

Judaizm formułuje najostrzejszy sprzeciw wobec jakiegokolwiek formie kultu nakierowanego na rzecz. Silva rerum stanowi naturalną zasłonę wszelkiej nadprzyrodzoności. Paradoksalnie jednak, to ponoć poprzez ten gęsty mrok, Nieskończoność obserwuje nas i przenika do Doczesności. Najtrafniejszą egzemplifikację tej dychotomicznej natury materii stanowi lustro: symbol próżności, będącej najnikczemniejszą odmianą bałwochwalstwa, a jednocześnie, bramą do innych światów. Mistycy powiadają, że istnieją dwa lustra: Zwierciadło Światła (Aspaklaria Meora) i Zwierciadło Mroku (Aspaklaria Szeejno Meora). Inni są skłonni sądzić, że jest to jedno lustro, zróżnicowane na poziomie subiektywnych percepcji.

Historia, jaką chcę przytoczyć, a która bezpośrednio dotyka ambiwalentnego charakteru obiektów magicznych, wydarzyła się w roku 542 w Konstantynopolu, za panowania cesarza Justyniana Wielkiego.

Na początku VI wieku, Zwierciadło znajdowało się w posiadaniu Aniciusa Manlius Severinusa Boecjusza. O tym, jak trafiło w ręce ostatniego filozofa antyku, kroniki milczą. Rustycjana, wdowa po Boecjuszu, ofiarowała lustro królowej Amalasuncie. Natomiast w roku 535 Justynian Wielki, chcąc pomścić śmierć ostrogockiej królowej, najechał Italię. Tak zwierciadło trafiło do Konstantynopola.

Aby opowiedzieć tę historię, koniecznym jest zrozumienie natury Zwierciadła. W tym celu musimy cofnąć się o dwieście lat, do czasów, gdy w gasnącym Imperium Rzymskim objął władzę dobry cesarz Julian. W Persji panował dziesiąty szach z dynastii sasanidzkiej Szapur II Wielki, zaś przywódcą żydowskiej diaspory był Aba ben Josef bar Chama, powszechnie nazywany Rawą - twórca Zwierciadła.

O Rawie dowcipnie powiadano, że ma w życiu tylko dwie namiętności: *Misznę* oraz... *Misznę*.

Miszna¹ była żoną Rawy - dosłownie i w przenośni.

Okoliczność, w jakiej Rawa poznał swoją przyszłą żonę wydaje się dość niezwykła i odbiegająca od sztywnych ceremoniałów bigoterii okresu czwartej generacji amora-itów. Oto, pewnego razu, malutka Miszna siedziała na kolanach taty w sali wykładowej, gdy ten rozmawiał ze swoimi najlepszymi studentami: Ramim i Rawą. W pewnym momencie, ojciec żartobliwie zapytał córkę wskazując na swoich uczniów:

- Za którego chciałabyś wyjść za mąż?

Miszna błyskawicznie odpowiedziała po aramejsku:

- Za obydwu! (*trajwajhu* / תר״ויהו)

W istocie, została żoną Ramiego i Rawy. Oczywiście nie jednocześnie. Zgodnie z konwencją epoki, poligamia dopuszczalna była tylko w jedną stronę - mężczyzna mógł mieć kilka żon, nie zaś żona wielu mężów. Miszna najpierw wyszła za Ramiego, a gdy ten zmarł w młodym wieku, poślubiła Rawę².

Rawa był nie tylko największym znawcą Tory w swoim pokoleniu, parał się również wiedzą tajemną. Pewnego razu, Rawa i Miszna pozwolili sobie na pewną

Bawa Batra 12b

¹ Może wydać się nieco dziwnym, że rodzice nadali takie imię żydowskiej dziewczynce. W istocie żona Rawy naprawdę, miała na imię Neszama, co znaczy po hebrajsku *duszydzka*. Miszna, było imieniem nadanym jej przez dowcipnych studentów jej ojca, rabina Chasidy. Miszna to nie tylko anagram imienia Neszama: נשמה ⇒ משנה. Misznę nazywa się również część Talmudu, zaś samo słowo oznacza *naukę*, ściśle rzecz ujmując - *powtarzanie*, albowiem to właśnie powtarzanie jest metodą uczenia się. Niewykluczone, że łacińskie *repetitio mater studiorum* to kalka starego żydowskiego porzekadła. Albo na odwrót.

² Talmudyczny traktat *Bawa Batra* przytacza tę historię na poparcie tezy rabina Jochanana, że choć po zburzeniu Świątyni ustały prorocтва, Bóg udziela jednak czasami tego daru dzieciom (*tinokot* / תינוקת) i wariatom (*szotim* / שוטים). Jak to rozumieć? Możliwym jest, że nic się nie zmieniło. To nie prorocтва ustały, lecz rabin Jochanan jako pierwszy zdiagnozował proroków jako wariatów. Dla ówczesnej nowoczesności, ludzie odbiegający od

Bawa Batra 12b



Rawa

stworzył

człowieka

w lustrze³



Stworzył w lustrze... Mamy więc Zwierciadło. Ale kluczową kwestią, wyjaśniającą przeznaczenie zaczarowanego lustra była inna umiejętność Rawy. Otóż, potrafił on, jak zaświadcza Talmud, tworzyć światy⁴.

utartego schematu bezpiecznej pospolitości zaczęli być, dla wygody, klasyfikowani jako obłąkani. Odbłyło się to w sposób łagodny, z delikatnym ukłonem w stronę coraz mniej modnego Boga. Czytając tę opowieść, w kontekście dyskusji rabinów o prorocत्वach, można zadać uzasadnione pytanie: skoro opowieść ma potwierdzać tezę, że dar prorocki posiadają już tylko dzieci i wariaci, a wypowiedź córki rabina Chasaidy jest dowodem na dziecięcy dar prorocत्वa, to gdzie dowód na to, że i wariaci są jasnowidzami? Odpowiedź jest ukryta nieco dalej w tekście. Gdy Rawa usłyszał słowa małej dziewczynki, od razu powiedział: *ja będę drugi (wa-ana batra / ואנא בתרא)*. Faktycznie, przepowiednia Rawy spełniła się. Pojął za żonę Misznę jako drugi, po śmierci Ramiego. Jeśli odpowiedź Rawy traktować jako prorocत्व, oznacza to, że musiał on być przynajmniej lekko stuknięty, wówczas jego odpowiedź potwierdzałaby ogólną tezę rabina Jochanana. W tej materii czytelniczki i czytelnicy będą mieli jeszcze okazję wyrobić sobie własne zdanie. Nad statusem dziecięcych prorocत्व zastanawiał się także S.T. Coleridge: *w jakim sensie dziecko może być tak bardzo natchnione, że zasługuje na miano proroka lub jasnowidza? Czy jest to świadoma intuicja, czy też, dzieje się tak przez jakiegoś rodzaju modyfikację świadomości?*

³ W wielu niezrozumiałych dziecięcych wierszyków i wyliczanek można odnaleźć ślad starych formuł magicznych. Podobnie i tutaj. Wyliczanka składa się z czterech anagramów, będących rezultatem permutowania trzech liter: *alef* א, *bet* ב i *resh* ר. Interesujące są litery, które odbiegają od wzorca: *gimel* ג i *jud* י. Ich wartość gematryczna to 13. W wierszyku, jak się wydaje, jest ukryta formuła ożywiająca golem, będąca zarazem formułą ożywiająca cały świat: *Trzyńście Atrybutów Miłosierdzia* / שלש עשרה מידות הרחמים / *Szalsosz Esre Midot ha-Rachamim*.

⁴ Niezwykle istotny jest kontekst, w jakim umieszczono tę informację w Talmudzie. Rawa powiada, że *jeśli jest wolą oświeconego człowieka* (אי בעו צדיקי), to może on stworzyć świat (ברו עולמא). Na poparcie jego słów użyto cytatu z *Izajasza*: *כי אם-עונתיכם היו מבידלים בינכם לבין אלהיכם והטאותיכם הקטירו פנים* *Bo wasze winy dokonały rozróżnienia między wami a Bogiem; a błędy zastąpiły przed wami jego Twarz*. Rawa zniósł w sobie granice między człowiekiem

Poważny problem stanowiła niepodlegająca żadnej kontroli, rozbrykana natura tego multiwersum, albowiem światy nie istniały *wewnątrz* tego świata, lecz w *Za-swiatach*.

Lustro posiadało jeden zaskakujący detal, który jednych mógł zmylić, a innym zasugerować jego prawdziwe przeznaczenie. Otóż, na ramie, po prawej stronie, znajdowała się mezuz. Mezuzę umieszcza się na bramach i framugach drzwi. To niespotykane umiejscowienie mogło niewtajemniczonym sugerować, że do oprawy lustra użyto jakichś starych, pięknie rzeźbionych odrzwi pałacowych. Tak jednak nie było. Dzięki Lustru, nie tylko można było podglądać co dzieje się w Zaświatach, można było też wejść do wybranego świata. Będąc niejako portalem komunikacyjnym do innych wymiarów, lustro zostało zaopatrzone w mezuzę, tak jak każde inne drzwi czy bramy w żydowskim obejściu. *Plurale tantum* słowa *Zaświaty* sugeruje, że w istocie, mamy do czynienia z Wieloświatami. Niektóre żydowskie modlitwy kieruje się do Boga jako Władcy Multiwersum / ריבון כל העולמים / *Ribono kol ha-olamim*. Przy czym, należy pamiętać, iż nie wszystkie światy są przychylne istotom ludzkim. Po drugiej stronie lustrzanej tafli bez ustanku przetaczają się z hukiem jasne i mroczne królestwa. Czynią to według sekretnego algorytmu, którego imperatyw czasowy niepodobieństwem jest odgadnąć⁵.

Trzeba być wielkim kabalistą, żeby znać kolejność i trajektorię tych ruchów oraz precyzyjnie obliczyć czas skoku, tak, by nie wylądować omyłkowo, na przykład w **Sitra de-Muta** (*Królestwie Aspektu Śmierci*), **Sitra de-Smola** (*Królestwie Lewej Strony*), czy w najstraszliwszej krainie **Sitra Achra** (*Świecie Odwróconym*).

Mieszkańcy Machuzy, i uczniowie Rawy, bali się nawet zbliżać do lustra. Natomiast ich nauczyciel, który zgodnie z zaleceniem króla Dawida, wstawiał w środku nocy by łączyć się z Nieskończonością, siadał właśnie naprzeciw lustra⁶.

a Bogiem i wszystko w nim na powrót stało się Jedno. Wszystko stało się możliwe. Doświadczył na sobie tego, o czym prorokował Dawid: *אֲלֹהִים אַתָּם וְבָנֵי עֲלִיּוֹן בְּלֹכֶם Bogami jesteście i dziećmi Najwyższej Zasady*.

⁵ O losowym charakterze funkcjonowania systemu operacyjnego Multiwersum, wspomina rabin Jaakow ibn Chabib w swoim kompendium agadycznym *Ejin Jaakow*. Otóż, inny mieszkaniec Machuzy, Raba bar bar Chana, wybrał się pewnego razu *na kraj świata*, tam gdzie Niebiosa stykają się z Ziemią, a dokładniej mówiąc, autor używa pięknego określenia: *tam, gdzie Ziemia i Rakija* (powłoka oddzielająca i zarazem łącząca Doczesność i Wieczność), *całują się ze sobą* (*de-naszki area u-rekija* / דנשקי ארעא ורקיעא). Rabin, chcąc się pomodlić, postawił swój koszyk z prowiantem w oknie *niebios* (*kawta de-rekija* / כותא דרקיע). Był to jakaś rodzaj szczeliny lub portalu międzywymiarowego. Kiedy skończył modlitwę, okazało się, że koszyk zniknął. Zdumiony zwrócił się do swojego towarzysza podróży: *czy tutaj są złodzieje?* Przyjaciel wyjaśnił mu, że cała sztuczka polega mechanice tej *wiecznie kręcącej się niebiańskiej kuli* (*galgila di-rekija hu de-hadar* / גלגל דרקיעא הוא דהדר): koszyk znów się pojawi w oknie. Być może jutro, za tydzień lub za tysiąc lat.

⁶ Sytuacja może wydać się dziwna osobie zaznajomionej z meandrami prawa halachicznego. Byłoby nad wyraz nieprzystwoitým objawem narcyzmu rozmawiać z Bogiem i patrzeć jednocześnie na własne odbicie. Szczególnie, gdy jest się, we własnym mniemaniu, osobą atrakcyjną i pociągającą. Zapewne wielu modlących się tak właśnie robi nie potrzebując luster, z zachwytem kontempluje własny unikalny osoboprzekrój. Niemniej, powszechnie znaną jest zasada *zabraniająca modlitwy przed lustrem, nawet z zamkniętymi oczami* (וכנגד מראה אסור להתפלל). Nie wynika to jednak z ogólnego prawa zakazującego idolatrii, lecz raczej ze zwykłej zasady przeciwdziałania idiotyzmowi (מראית עין): ktoś mógłby pomyśleć, że modlący kłania się sam sobie. Jednakże

Ps.cxix;62

Ps.lxxxii;6

Bawa Batra 74a

Kicur
Szulchan Aruch,
Sz. Ganzfried 18

Choć Rawa potrafił tworzyć światy i nie bał się ich podglądać przez Zwierciadło, to jednak nigdy nie odważył się przekroczyć lustrzanej tafli. Natomiast robiła to często jego żona. Złośliwi insynuowali, że Miszna w światach po drugiej stronie lustra wyszła za mąż i założyła alternatywną rodzinę, a nawet kilka rodzin, dając upust swoim polian-drycznym fantazjom z dzieciństwa. Prawdą jest, że z jednej z takich wypraw nigdy już nie powróciła. Utknęła gdzieś w międzyświatach, lub też dokonała świadomego wyboru, i wykorzystując aporie, różne kierunki oraz prędkości czasów, do dziś wędruje siecią luster po Wieloświatach⁷.

Teraz, gdy nieco więcej już wiemy na temat pochodzenia Zwierciadła, powróćmy do Konstantynopola. Focjusz w *Kodeksie nr 222 [205b]* swojej *Biblioteki*, recenzując dzieło mnicha Hioba *Oikonomiké pragmateía* (zaginione, znane tylko z powyższego dzieła i kilku zachowanych cytacji w innych pracach), zwraca uwagę na dualną naturę człowieka. Jeśli człowiek uczyni jaką podłość - powiada Focjusz - od razu mówi: *to nie ja, to ten w lustrze*.

Gdy mnich Hiob, pewnego razu stanął przed Zwierciadłem, rozpoznał w swoim odbiciu zwierzę. Na tej podstawie, mocą spekulacji i pewnych destylacji intelektualnych, zdefiniował kondycję człowieka jako zdegradowaną oraz bydlęcą. Pytanie jakie wówczas sobie zadał, brzmiało: *Kto jest bydlęciem? Ja czy moje odbicie?* Odpowiedź, jaką usłyszał, zaskoczyła go. Głos **pojawił**⁸ się między Hiobem a lustrem. Jak wiadomo, lustra

nie odbijają widzialnego widma głosu, tak więc, choć mnich widział go pojedynczo, głos brzmiał zwielokrotnionym echem, jak niekończące się korytarze dwóch zwierciadeł ustawionych do siebie licami. Można przyjąć, że głos, który usłyszał i **zobaczył** Hiob był głosem obiektywnym, nie podległym żadnemu przekształceniu, nieskażonym żadną ludzką przedwiedzą, *Logosem* pochodzącym z wiecznego, obiektywnego wymiaru.

Głosem Boga.

Głos wypowiedział następujące słowa: *Pośrodku dwóch bydląt*⁹ *objawisz się jako człowiek i poznasz siebie, a kiedy czas się wypełni, zostaniesz rozpoznany*¹⁰.

Człowieczeństwo tkwi gdzieś pośrodku; pomiędzy oryginałem a duplikatem, człowiekiem a manekinem, pomiędzy obserwatorem a jego odbiciem w lustrze, pomiędzy osobą a jej repliką, między repliką a sobowtórem własnej repliki, pomiędzy podmiotem a przedmiotem, w ciągłym *stosunku do*, w dialogach, w minach, które stroi do swojego odbicia w lustrze.

Kiedy głos ucichł, zwierciadło pociemniało i przestało cokolwiek odbijać. Wtedy mnich przekroczył ramę lustra, tak jak przekracza się próg drzwi. Wkroczył do ciemnego pomieszczenia. Był to bardzo specjalny pokój, jakby napełniony mrokiem. Nic w nim

może być tajemnym znakiem hermeneutycznym mówiącym: *zatrzymaj się, tutaj są ukryte drzwi*. Juda Arie Leib Alter, trzeci cadyk z dynastii Ger, zauważył, że rzeczą słowa jest być wprowadzonym w czyn - być **widzianym** *in actu*. Szczególnie, gdy dotyczy to słów Tory Pisanej, która musi być widziana, a nie tylko słyszana. Inaczej sprawa ma się z Torą Ustną - Talmudem, będącym dźwiękiem, który słyszeć. Tora jest obiektywną podstawą, Talmud jest zbiorem subiektywnych komentarzy. Niektórzy podchodzili do kwestii *widzenia dźwięków* bardzo racjonalnie: gdyby Żydzi pod górą Synaj tylko słyszeli dźwięki, to np. treść przykazania *Lo tircach!* / לא תִרְצַח / *nie morduj!* mogliby zrozumieć opacznie: *zamorduj go!*. Zarówno przeczenie *nie*, jak i zaimek *go/mu/jemu* brzmiały tak samo: *lo*. Jeśli jednak *zobaczyć* te dźwięki, sprawa staje się jasna: לו - *jego*, לא - *nie*. Gerer Rebe uważał, że Żydzi *widzieli* (zrozumieli) wówczas istotę słowa, którego nośnikiem jest dźwięk. Możliwe, że nasi przodkowie nie tylko słyszeli, ale i widzieli słowa. Natomiast z czasem, profilaktycznie odrzucili tę drugą zdolność, by nie widzieć konsekwencji własnych słów. Możliwe też, że to słowa wyrzekły się własnego obrazu, choć powód, dla którego miałyby to uczynić, nie jest do końca jasny. Chyba, że słowa są jak miłosierne anioły ukrywające swoje straszne oblicza przed ludzkim wzrokiem. Każde pokolenie, studiujące Torę i otrzymujące ją od swoich nauczycieli, należy do świata Tory Ustnej, ponieważ recepcja Księgi odzwierciedla subiektywne standardy oraz kontekst każdego aktualnego pokolenia. Nie dotyczyło to jednak pokolenia, które stało u podnóża góry Synaj. W jakiś niewyjaśniony sposób, nie dotyczyło również mnicha Hioba stojącego przed lustrem.

⁹ Nie jestem w stanie, nie gubiąc wątku, podążać za wszystkimi śladami i znakami, jakie podpowiada pamięć, ale mam nadzieję, że czytelnicy zbadają pewien trop pozostawiony przez Chaima Luzzatto pod koniec VI rozdziału *Mesliat jeszarim*. Jest to cytata z proroka Ezechiela. Zbadania wymaga kontekst aluzyjnego zestawienia zwierząt i luster; a konkretniej: zajączków puszcanych lusterkiem. W jakim kontekście pisze o tym Ezechiel, a w jakim używa cytatu Luzzatto? *Zwierzęta znikają oraz pojawiają się (biegają tam i z powrotem), jak błyski lusterek* (וְהַחֲיָיוֹת יִצְאוּ וְיָשׁוּבִים כְּמִרְקָא הַבְּזִק). Dlaczego?

¹⁰ Zdanie wypowiedziane przez Głos brzmi jak echo jakiejś biblijnej frazy. Średniowieczni badacze nie znaleźli jednak źródła tych słów w żadnej kanonicznej księdze. W 1437 roku, na pokładzie statku płynącego z Wenecji do Konstantynopola, Gemistos Pleton, zasugerował Mikołajowi z Kuzy i Basiliosowi Bessarionowi, iż zdanie może być kompilacją dwóch wypowiedzi: Izajasza: *Wół poznaje swojego pana, a osioł złób swego właściciela, Izrael nie ma rozpoznania, lud mój niczego nie rozumie*; i Habakuka: *Usłyszałem, Boże, Twoje orędzie i zobaczyłem Twoje dzieło. Niechże ono szybko ożyje, niech prędko je poznamy. W gniewie pamiętaj o miłosierdziu*.

Ex.xx;13
Deut.v;17

Ez.i,14

Is.i;3

Hab.iii;2

XV-wieczny rabin Dawid ben Zimra, zwraca uwagę na specyficzny rodzaj bałwochwalstwa, i bynajmniej nie ma tutaj na myśli narcyzmu. Wyznawcy pewnej starożytnej gnostycko-manichejskiej sekty wierzyli w dwóch bogów: twórcę substancji oraz twórcę formy. Czcieciele Twórcy Formy modlili się przed zwierciadłami ukazującymi czystą formę pozbawioną substancji. Dodajmy, że w ludowej tradycji *Władca Formy* jest jednym z imion Szatana. *Baal Dower* / בעל דבר - oznacza *Władcę Rzeczy / Słów / Materii / Formy*, przy czym słowa *materia* nie należy tutaj utożsamiać z pojęciem *substancji / treści*. Chodzi o rzeczy materialne, substancję już *uformowaną*. Taka sytuacja jest jednak najmniej straszną z możliwych. Dawid ben Zimra, ten zamożny kairski intelektualista, koneser sztuki i kolekcjoner luster, z prawdziwym lękiem wspomina o właściwościach pewnych zwierciadeł, w których można zobaczyć nie własne oblicze, lecz Otchłań - *Sitra Achra* lub, jak to określają ludzie z gminu - diabła.

⁷ Szlomo Alkabec i Chajim Vital zaświadcza, że Miszna objawiła się Josefowi Karo (XVIw.) w Salonikach, w czasie, gdy pisał swoją oniryczną autobiografię *Magid Meiszarim*. Do dziś trwa spór wśród badaczy, o tożsamość istoty lub istot, które nawiedzały autora *Szulchan Aruch*. Jeśli była to jedna osoba, musiała być istotą androgyniczną, być może aniołem. Karo czasami nazywa ją *Magid* / מגיד / *Nauczyciel*, innym razem *Dibur* / דבור / *Artkulacja*, a w jeszcze innym miejscu *Kol* / קול / *Głos*. Czasem pojawia się jako kobieta i przemawia: *Ja jestem Miszna* (אני המישנה). Objawienia, których dostępuje Karo są wyraźnie upłciowione. Męski Magid rozprawia o drogach *halachy*, zaś gdy przychodzi do ujawnienia ich sedna i głębi, włącza się żeńska *Miszna*. Niektórzy komentatorzy utożsamiali *Misznę* z boską *Szechiną*, inni byli skłonni łączyć istotę z Rawą i jego żoną Miszną, których *gilgule*, spotkawszy się w Zaświatach i złąły się na powrót w jedną osobę.

⁸ Pierwsze opisane zjawisko synestezji, w tym wypadku: *widzenia głosów*, miało miejsce pod górą Synaj w czasie nadania Tory: *Cały lud widział dźwięki* (כָּל הָעָם רָאִים אֶת הַקּוֹלֹת). Można to tłumaczyć na najróżniejsze sposoby. Wszyscy komentatorzy zgadzają się co do jednego: użycie sformułowania *widział dźwięki*, nie było jakimś czczym zabiegiem formalnym, czy jakimś odstępstwem od norm językowych w rodzaju *licentia poetica*. W Torze, każdy środek formalny: liczne powtórzenia, aliteracje etc. odsyłają gdzieś poza siebie i zawsze wskazują na coś istotnego. Nawet pozorny błąd ortograficzny,

Magid Meiszarim,
Wajikra [23]

Ex.xx;18

nie można było zobaczyć, ponieważ nic nie odbijało światła. Ale też nie znajdowało się tam nic do oglądania - pokój był pozbawiony sprzętów. Nie posiadał też ścian, toteż nie było możliwości nic w nim usłyszeć, gdyż nic nie odbijało dźwięku. Wtedy Hioba ogarnął lęk¹¹.

Czasem, zerkając w lustro, poszukujemy innej perspektywy siebie. Zapewne dlatego lustra są tak fascynujące, bowiem dają złudzenie widzenia *siebie* z perspektywy *innego*. Przerazenie Hioba wywołał fakt, że po drugiej stronie *tego* lustra nie było absolutnie żadnej perspektywy.

Wobec wszechogarniającej, dezintegrującej *ja* Nicości, chcąc ratować się i zatrzymać proces rozpadu oraz anihilacji, wykrzyknął swoje imię, lecz nie usłyszał własnego głosu. Imię, nie mając się od czego odbić, do nikogo nie należące; choć wypowiedziane, nie jest słyszalne. Umiera w ustach. Podobnie człowiek, który nie może przejrzeć się w lustrze duszy innego człowieka - znika.

Tak zniknął mnich Hiob.

Miało to miejsce w roku 542 ery wspólnej, w 15 roku panowania cesarza Justyniana, pierwszym roku Wielkiej Zarazy, która pochłonęła setki tysięcy ofiar w Bizancjum.

Rok później Zwierciadło zostało rozbite. Niektórzy uważali, że dżuma pustosząca Cesarstwo wyszła z mrocznego lica tego przedmiotu, a mnich Hiob był jej pierwszą ofiarą oraz tym, który otworzył bramy zła zakłętą w lustrze. Inni skłonni byli upatrywać źródła pandemii w dekreście cesarza zakazującym kultów starych bogów. Jeszcze inni widzieli w niej karę za zamknięcie Akademii Platońskiej.

Joh.i;5

Mrok ogarniał Europę. *Lecz światłość w ciemności świeci i ciemność jej nie ogarnęła. I pojawił się człowiek posłany przez Boga....*

W roku śmierci cesarza Justyniana na świat przyszedł w Mekce prorok Muhammad. ■

JAKUB SKRZYPCZAK



¹¹ Niektórzy twierdzą, że po drugiej stronie lustra panuje milczenie, że Świat Na-opak to świat krystalicznej ciszy. Inni **widzą** w nim szelest liści, szept strumyka i **słyszają** spojrzenia zmarłych. Dla innych jest to świat utkany z zapachów i smaków magdalenek ciotki Leonii, tulipanów Spinozy, dymu z cygara marki *Maria Mancini*, benzyny lub zmywacza do paznokci. Każda zakochana pamięć przechowuje swój własny, unikalny odór. Dla Bernarda z Clairvaux wspomnienia były jak odrzwia. Nie szukał nowej drogi, starał się wracać po śladach. Tą samą drogą wyszedł z Miasta i tą samą drogą starał się powrócić (*via accedentium ad Civitatem, et recedentium*). Ten sam portal jest dla wychodzącego, ten sam dla wchodzącego (*unum ostium est ingredientium domum, et egredientium*). Żywi i zmarli mijają się w tym samym progu (*portae mortis, et ostia tenebrosa*).

Pustka i milczenie

Zbawić materię / Izaak Luria & Tadeusz Różewicz

Las palabras de la sabiduría oyense en silencio. / Słowa mądrości słysząc w ciszy.

Jan od Krzyża

עלת העלות מסתתר בשפירר חביון. השכל הנעלם מכל רעיון / Przyczyna wszystkich przyczyn, zaklęta w szafirowym milczeniu; Intelkt, który jest ukryty przed wszelką myślą.

Abraham Majmin

Poruszając się w przestrzeni realnej, często podejmujemy decyzje binarne, oparte na domkniętych, z pozoru pewnych a zarazem wygodnych schematach. Przekonanie o słuszności takiego modus operandi i/lub pewien rodzaj bezrefleksyjnego bezwładu może być wynikiem szeregu przewencyjnych falsyfikacji narzuconych nam przez cywilizację. Nawigujemy i kluczymy wśród innych, binarnie skalibrowanych bytów, *patrzmy na prawo, patrzmy na lewo, a patrząc - widzimy wszystko oddzielnie: że dom... że Stasiek... że koń... że drzewo...*

W tym dwubiegunowym świecie separacji, bywa, że nawet nasi najbliżsi znajomi nie znają się. Nasza przyjaźń nie łączy, lecz dzieli, separuje przestrzenie naszych bliskich. Świadomie lub nie, nie chcemy łączyć ich światów i czasów, wychodząc z założenia, iż różnice dzielące ich mogą uruchomić jakieś nowe, nieznane nam, a zatem niepokojące reakcje równoległe, następne, sprzężone, czy łańcuchowe.

Czasami jednak, nasi znajomi poznają się wzajemnie. Seneka powiada, że właśnie takie połączenie ludzkich umysłów, światów i czasów, przedłuża życie (*longam illi vitam facit omnium temporum in unum collatio*) oraz jest jedynym z praktycznych sposobów na przedłużenie ludzkiej śmiertelności (*haec una ratio est extendendae mortalitatis*), a nawet pozwala na przemianę w nieśmiertelność (*immo in immortalitatem vertendae*). Filozof, co prawda, mówi tutaj o naszych przyjaciółach, i rodzinach adopcyjnych, czyli autorach wielkich dzieł, pisarzach, myślicielach, ale właśnie o takie nieoczekiwane parantele i spotkania rodzinne mi chodzi.

Nigdy nie myślałem, by czytać XVII-wiecznego mistyka Izaaka Lurii¹ - dwudziesto-wiecznym polskim poetą, Tadeuszem Różewiczem. Okazuje się jednak, że takie dziwne znajomości i przyjaźnie zawiązują się zupełnie przypadkowo, a nawet trochę za naszymi plecami. Zupełnie jak gdyby jedne książki podpowiadały nam inne, a teksty oddzielone od siebie oceanem czasu wołały do siebie.

Bywa, że zapomniane zdanie wisi na koniuszku języka, jak myśl, która dynda na końcu synapsy i naprawdę niewiele trzeba by ją pochwycić. Czasem wystarczy spacer z ulubionym poetą.

Jakiś czas temu, męczyłem się nad ambiwalentnym stosunkiem Lurii do materii. Przy czym, nie chodzi tu o materię pojmowaną jako byt rozciągający się w przestrzeni i czasie, jakieś obiekty, o różnej od zera masie spoczynkowej, lecz o materię rozumianą w sposób relacyjny do człowieka - jako byt moralny. Konkretnie chodzi mi o stosunek Lurii do tego "najgorszego" rodzaju materii pochodzącej ze Świata Skorupy², świata mroku oraz bólu; czarnej, skondensowanej kleistości, która niejako wdiera się do naszego świata, przerasta go i w niezauważalny sposób, podporządkowuje sobie. Jeśli gdzieś w judaizmie istnieje piekło, to właśnie tutaj, w tych sadomasochistycznych ruinach. Paradoksalnie, stosunek Lurii do tego świata zda się być pełen obrzydzenia, a zarazem bezgranicznego współczucia.

Aby nieco odpocząć od gęstych rozważań kabalistów, wybrałem się na spacer z równie nieprzeniknionym tomikiem *Ciemnych źródeł* Różewicza.

Co prawda, poeta nie daje jednoznacznych odpowiedzi, raczej stawia pytania, ale to właśnie one porządkując dotychczasowy szum układają nową, ciężką egzegetyczną.

DEFINITIONES: To, co istnieje, wskazuje na swoją antytezę - na nieistnienie; tak jak każdy rozpoznany brak wskazuje na obecność, na byt. Brak nie jest po prostu nicością, jest zawsze brakiem *czegoś*. Przestrzeń pomiędzy dwoma bytami nigdy nie jest pusta. Zawsze wypełnia ją jakiś kontekst. Czasem jest to kontekst niechciany, czasem jakiś krzyk, dialog lub cisza. Wszystko jest znakiem lub oczekiwaniem na znak. Wszystko odsyła do czegoś, ale potrafi też - więzić, złapać, przechwycić człowieka. *Olam ha-Klipot*, Świat Skorupy, umie chytrze symulować wieczność, by uwikłać nieostrożny umysł w absurd jakiejś immanentnej nieskończoności.

¹ Izaak ben Szlomo Luria Aszkenazi, XVI wieczny rabin, kabalista, twórca nowoczesnego mistycyzmu żydowskiego.

² *Olam ha-Klipot* / עולם הקליפות / *Świat Skorupy*. Skorupy, są pozostałością po *Shewirat ha-Kelim* / שפירת הכלים / *Rozbiciu Naczyń*, siedmiu niższych *sefirot*, będących pomostem pomiędzy światem duchowym a materia. Dla Mosze Kordowero stanowiły one byty inteligentne, których celem jest destrukcja, a nawet odwrócenie aktu stworzenia. Luria używał ich jako terminu technicznego, pomagającego wyjaśnić istnienie podstawowych sprzeczności w Doczesności, a jednocześnie relacyjny mechanizm działania obydwu światów. Różnica w pojmowaniu *klipot* przez Kordowero i Lurii jest znaczna. Gdy dla Kordowero są one ucieleśnieniem zła i destrukcji, Luria dostrzega ich ambiwalentny charakter. Skorupy są z jednej strony ekranem zasłaniającym boskie światło i falsyfikującym boskość, z drugiej strony, jako produkt uboczny procesu stwarzania światów, chronią boskie światło, tworząc powłokę, pozwalającą mu istnieć w świecie materialnym.

Tyle wynika z tradycji przekazanej nam przez Chaima Vitala na temat poglądów jego nauczyciela Izaaka Lurii. Hegel dorzucił efektowną nazwę dla tego spowijającego nas koszmaru: *Schlechte Unendlichkeit* - zła nieskończoność. Niektórzy nazywają to Piekłem. Tu czas ulega zapętleniu. Pętla praktycznie wyklucza jakiegokolwiek postęp, *tikun*³ i korektę.

EXPLICATIO: Po spacerze z tomikiem *Ciemne źródła* jestem w stanie wytłumaczyć to na przykładzie, choć nie rękę za poprawność, czy też pełną adekwatność wyводу. Sam go do końca nie rozumiem, ale intuicyjnie wyczuwam, że jeżeli istnieje jakaś odpowiedź, to kryje się ona właśnie tutaj.

Tadeusz Różewicz zwierzył się czytelnikom z pewnej swojej oryginalnej fobii: bał się przechodzić między ślepyimi ścianami domów.

DEMONSTRATIO: Żadnego okna, balkonu, choćby gzymsu, pusta gładka płaszczyzna uciekająca w otchłań nieba. Strach. Ślepe ściany mogą budzić grozę i przerażenie. Jeśli człowiek zostanie złapany przez dwie ślepe ściany, może to wywołać atak paniki. W istocie, fobia Różewicza wcale nie jest taka znowu oryginalna. Podejrzewam, że wielu ludzi dzieli ten lęk z pisarzem. Oryginalne jest, że Różewicz o tym wspomina, że zlokalizował ten lęk, którego, tak często nie zauważamy, bądź go ignorujemy.

Skąd biorą się te ślepe, szczytowe ściany? Jaki jest ich sens, skoro same w sobie już nie posiadają celu? Najczęściej wskazują na nieobecność innej kamienicy, która przyklejona, wciśnięta między te dwie ściany, stała kiedyś i własnymi, ślepyimi ścianami tuliła się do ślepych, gładkich ścian sąsiadek.

Różewicz mówiąc o przechodzeniu między tymi dwiema ślepyimi ścianami, nie wyjaśnia w sposób adekwatny swojego lęku, raczej opisuje mechanizm i sytuuje ów stan jako prewencyjny odruch obronny. Poeta opisuje konkretne, znane sobie z dzieciństwa miejsce. Między tymi ścianami fruwał duch żydowskiego stolarza. Opis nie jest do końca jednoznaczny, ponieważ stolarz, choć trochę zwariowany, był dobrym człowiekiem. Należy jednak zachować ostrożność. Nie wiadomo, jakie inne byty więżą szczytowe ściany starych kamienic. A co dzieje się powyżej, u szczytu tych płaszczyzn, tam wysoko, wysoko na linii ścian i dachów w królestwie traw i pluszowego mchu? Bo dziać się musi, skoro wielki mistyk Moharan, postanowił zbadać te miejsca niedostępne dla wzroku zamyślonych przechodniów: *Istnieją bowiem wredni ludzie, którzy inkarnują w trawy porastające dachy kamienic* (יש רשעים שהם מגלגלים בעשבים הגדלים על הגגות). Chrześcijańskie jakoś to sobie poukładali: żli idą do Piekła, dobrzy do Nieba, a nijacy do Czyśca. W tym purgatorium, dobry Bóg trochę się popastwi nad nijakim osoboprzekrojem zmarłego,

³ *Tikun* / תיקון / naprawa: może oznaczać modlitwę, praktykę lub uczynek, prowadzący do eliminacji niedoskonałości świata, w celu przywrócenia jego harmonii z Nieskończonością. Jest to rytuał teurgiczny, zmierzający do zniesienia podziału między Stworzeniem a Bogiem - w niższym świecie, oraz powrotu Szechiny do Boga - w świecie wyższym.

by ostatecznie odesłać go do Nieba. W tradycji żydowskiej los dusz jest bardziej płynny i niepoukładany - ciągła wędrówka z ciała do ciała: ludzkiego, nieludzkiego, w kamień, mech lub trawę na dachu.

PROPOSITIO: Ludzie, często zwiedzeni domniemanym skrótem, wchodzą między takie puste płaszczyzny ścian. Panuje tam zazwyczaj lekki chłód. Nie czuć tu podmuchów wiatru. Miejsca te tłumią również wszelkie odgłosy miasta.

Ale ten spokój jest zwodniczy, a cisza jest pułapką. Taki kanion, szczyt między dwoma budynkami sugeruje jakiś brak, nieobecność trzeciego domu. Domu tętniącego kiedyś życiem, powiewającego suszącą się bielizną, rozbrzmiewającego śmiechem dzieci. Domu, który wbrew wszelkim barbarzyńskim planom zagospodarowania przestrzennego miasta, stoi tutaj jak stał, lecz w innym czasie. Trwa wiecznie w ostatniej sekundzie poprzedzającej jego własną zagładę. Stoi, niezauważony przez wścibskiego przechodnia, który swym wdarcieim się w tę przestrzeń, żywą tkanę pamięci, mógłby naruszyć spokój i mir domowy duchów.

SYNCOPE: Tę ambiwalencję pustki oddaje dobrze tekst Tory, a dokładniej zasady halachicznego (rytualnego) layoutu tekstu świętego. Moharan porównuje Torę do żywej tkanki miejskiej. Żyjącej podwójnie, bowiem obdarzeni życiem są nie tylko mieszkańcy tego *polis*, lecz również cała przestrzeń urbanistyczna. Turysta-adept, lub mędrzec-mieszkaniec, wchodzi do różnych budynków, wędruje przez niekończące się korytarze, *przechodzi z sali do sali, z komnaty do komnaty* (נכנס מחדר לחדר ומחדר לחדר). Jest to metropolia totalna i odwieczna, fraktalne miasto replikujące każdą swoją dzielnicę w nieskończoność; bo każda z kamienic, każdy z korytarzy i *każda z komnat posiada nieskończoną liczbę wejść oraz wyjść do niekończącego się szeregu kamienic, korytarzy i komnat* (כי בכל חדר וחדר יש כמה וכמה פתחים לחדרים אחרים, וכן מאותן החדרים לחדרים אחרים).

Tekst Tory, który według tradycji powstał, lub może raczej istniał *ab aeternum*, nie był rozdzielony spacjami. Można stąd wnosić, że był to zapis jakby melizmatycznego, jednolitego dźwięku. Spacje, wolne przestrzenie między słowami, powstały dopiero w momencie eksplikacji i ujawnienia tekstu na górze Synaj. Niemniej, do dzisiaj, każdy *sofer*, kopista świętych ksiąg, musi zwracać baczną uwagę na justowanie tekstu. W każdej linijce powinna znajdować się określona ilość znaków. Nie należy dopuścić, aby powstały wolne miejsca na koniec wersów. Tekst wyrównuje się jednocześnie do obu marginesów. Nie ma zgody na tzw. *skład w chorągiewkę*, czyli wyrównywanie tylko do jednego z marginesów. Dlatego też, niektóre hebrajskie litery, można nieco przeciągnąć, tak by wiersz kończył się równo z marginesem.

Od tej generalnej zasady istnieją jednak wyjątki. Okazuje się, że tak, jak „miejska” tkanka Tory jest nieciągła, tak i jej tekst posiada puste przestrzenie. W Torze można znaleźć wolne, niezapisane pasażę między zdaniem lub całe wersy. Jednolita, ściśle tkana płaszczyzna tekstu, ulegając nagłemu przetwaniu, wywołuje nagły, agorafobiczny

lęk. W tekście drukowanym te puste miejsca są oznaczane dwoma rodzajami markerów: {ס} *setuma* i {פ} *petucha*.

סְתוּמָה | SETUMA - *zamknięta*, to podział tekstu zwykle zaczynający się w środku wiersza; przestrzeń ta ma szerokość co najmniej dziewięciu liter i sygnalizuje niewielką zmianę tematu, nastroju, oświeślenia. *Setuma* to jakby przerwa w Doczesności, czas nieciągły, miejsce pełne ciszy i wymownego milczenia.

פְּתוּחָה | PETUCHA - *otwarta*, to podział tekstu wskazany przez pustą przestrzeń do końca wersu. Sygnalizuje zasadniczą zmianę tematu, następną *parszę*⁴, która rozpoczyna się z początkiem kolejnej linii.

Według generalnej zasady, *petucha* wskazuje na silniejszą zmianę tematu, podczas gdy *setuma* jest znacznie subtelniejsza. Ten system znakowania sugeruje również podział Tory na fragmenty jawne i ukryte.

O ile markery *setuma-petucha* są dziełem masoretów, rabinów działających na przełomie starożytności i średniowiecza, to same puste przestrzenie mają rodowód znacznie starszy. Według przekonania pobożnych (choć sam Bóg wie najlepiej) powstały one wraz z przeniknięciem Tory do naszego wymiaru - w momencie zetknięcia z ziemskim powietrzem. Należy podkreślić, że nie są one li tylko jakimiś specjalnymi znakami interpunkcyjnymi, mającymi zapewnić tekstowi jednoznaczność, czy ułatwić zrozumienie. *Setuma-petucha* tylko pozornie znaczą obszar nieobecności, braku tekstu/treści. Sytuacja jest analogiczna do "brakującej" kamienicy pomiędzy dwiema pustymi ścianami szczytowymi sąsiednich domów. Problem nie tkwi w tym **gdzie** jest kamienica, lecz **kiedy** jest. W istocie, stoi ona dokładnie na swoim miejscu, lecz stoi tam **nie teraz**. Nigdy jej nie znajdujemy *wtedy gdy jest*, bo zawsze szukamy jej *wtedy gdy jej nie ma*. Podobnie, pusta przestrzeń *setuma-petucha* nie jest zwykłym maskowaniem treści, nie jest czapką-niewidką, która przez wprowadzenie jakiejś pobocznej narracji, miałaby na celu utajnienie związków relacyjnych zachodzących między narracją *przed* i narracją *po*. Wręcz przeciwnie, *setuma-petucha* odnosi do narracji pierwotnej, jeszcze sprzed czasu, sprzed kataklizmu, sprzed *Szewirat ha-Kelim* - Kosmicznego Rozbicia Naczyń. Sprzed Zagłady.

Sens tych trudnych i niezrozumiałych miejsc w Torze kryje się zatem właśnie w owych pustych, milczących przestrzeniach. Być może o tym pisał Bruno Schulz: ...zauważyliście, że między wierszami pewnych książek przelatują tłumnie jaskółki, całe wersety drgających, spiczastych jaskółek? Należy czytać z lotu tych ptaków...

Ten tekst znaczony jest cały w domyślnikach, w niedomówieniach, w elipsach, wykropkowany bez liter w pustym błękiecie, i w wolne luki między sylabami ptaki wstawiają kapryśnie swe domysły i swe odgadnienia. Historia ciągnie się tutaj na wielu rozgałęzionych

torach i całą przetykana jest wiosennymi myślnikami, westchnieniami i wielokropkami.

O ambiwalentnym charakterze tej pustki, wypełnionej milczeniem pełnym znaczeń, pisał również kontynuator myśli Izaaka Lurii, Moharan.

Uważał, że to właśnie w milczeniu należy poszukiwać środka komunikacji z Niewypowiedzianym. Czyż to, co *nie-wypowiedziane*, nie oznacza właśnie milczenia? Przecież nigdy nie istniał żaden język opisu tego, co *nie-opisane*. Można to było musnąć jedynie myślą, poprzez metaforę, aluzję, a najlepiej czytać ciszą oraz milczeniem, bo *dzięki milczeniu, ta myśl zaczyna szybować* (על-ידי השתיקה נתעלה המחשבה).

Dlatego Moharan konkluduje: *Jedyną formą modlitwy do Niego jest cisza, która przekracza lamente, zawołania i wszelki kult* (לך דמיה תהלה ומרומם על כל ברכה ותהלה). To *oratio siletii*, służy jako środek komunikacji dwupasmowej. Nie tylko Bóg milczy wymownie. Człowiek, gdy chce przekazać Bogu najgłębszą prawdę, przekazuje ją właśnie w milczeniu, będącym, według Moharana, najdoskonalszą, a zarazem najtrudniejszą formą modlitwy. Modlitwa jest zawsze rewersem innej modlitwy, która mogła zostać wypowiedziana tylko w duszy - milczeniem, a także krwią. Milczeniem Boga i krwią Jego wyznawców. A tragiczne doświadczenia ostatniego stulecia jakby chciały potwierdzić, że jedyną odpowiedzią na krew człowieka jest milczenie Boga.

Ale Moharan chce w modlitwie wydrążyć inną, obcą modlitwę. Skonfrontować ją z ciszą, rozchwiać ją w milczeniu. Chodzi mu o to, by przestać kopiować i reprodukować słowa własnego poniżenia. Jego modlitwa nie jest już prośbą, błaganiem, skomleniem; jest rozmową z przyjacielem, najlepszym przyjacielem, rozmową, w której nie potrzeba słów. To rozmowa kochanków, którzy siedzą razem i milcząc patrzą sobie w oczy. Bo to, czego nie można pojąć, nie podlega definicji (*Quod intelligi omnino non sinitur, diffiniri omnino nequitur*), głosi Eriugena na kartach *De divisione naturae*. O czym nie można mówić, o tym należy milczeć (*Wovon man nicht sprechen kann, darüber muss man schweigen*), powtarza po niemiecku Wittgenstein w *Tractatus logico-philosophicus*.

Luria powiada, że Bóg po raz pierwszy objawia się w postaci punktu. Dzieje się to w pustce, ciszy i ciemności, a jednocześnie oznacza przerwanie ciszy, pęknięcie ciemności oraz wypełnienie pustki światłem, dźwiękiem i materią. Ten dźwięk jest Słowem. Pierwszym wypowiedzianym przez Boga słowem jest: *jehi* / יהי / *niech się stanie*. Pierwsze Słowo Boga skruszyło Milczenie Boga. Implikuje to jakiś destrukcyjny charakter kreacji. Wynika z tego, że jeszcze przed *szewirat kelim* / שבירת כלים / *rozbiciem naczyń*, nastąpiło *szewirat dumija* / שבירת דמיה / *skruszenie milczenia* Boga. To właśnie z tych okrucieństw milczenia, odłamków ciszy mistycy próbują tworzyć język mogący komunikować Nieskończoność.

Jednak włączenie milczenia do kosmogonii, nie było oryginalnym pomysłem Lurii. Żyjący pół tysiąca lat wcześniej w Hiszpanii plotynik, Szlomo ben Jehuda ibn Gabirol napisał w swoim *Keter Malchut: Bóg krzyknął na Nicość, a ona pękła* (יקרא אל האין ונבקע).

Likutei
Moharan 251

Tikun ha-Klali

⁴ Tora jest podzielona na 54 rozdziały (*parszat ha-szawua*), odczytywane kolejno w każdy szabat.

Pustka i cisza pra-kreacji zostają przerwane przez głos Boga. Milczenie Boga, zostaje przerwane przez krzyk Boga. To „materialne” Nic, stanowiąc podstawę pra-egzystencji, staje się coraz bardziej wyraźne, tworzy przestrzeń pożądania oraz woli istnienia. Wraz z pojawieniem się materii, ujawnia się algorytm rządzący jej ruchem: pragnienie by się urzeczywistniać i rozszerzać. Gabirol pisze: *wszechświat się rozszerza* (העולם ונרקע). Skąd wiedział? Pożądanie, ekspansja stają się rdzeniem i osią tego świata. W ciszy dojrzewa owoc, który zerwie człowiek, a z braku lepszych pomysłów, nada mu imię: Zło.

Jeśli *szewirat kelim* było właściwym momentem powstania materii, to czym było *szewirat dumija*? Powstaniem języka? Jakiegoś semiotycznego pra-tworzywa? Czy zatem język jest czymś pierwotnym w stosunku do materii? Dla ludzi zakładających istnienie Boga, odpowiedź może być twierdząca. Bowiem milczenie poprzedzające wszelki dźwięk *musi* być **Jego** milczeniem. Nie jest to *cisza niebytu*, lecz *milczenie Bytu*. Cisza jest pasywna, jest brakiem; milczenie to czynność, działanie, krzyk. Milczenie posiada treść, *rozbrzmiewa* w ciszy, jest rodzajem komunikacji, jest językiem. Jakaż to urokliwa koncepcja, sugerująca, że Bóg nie narzucił człowiekowi języka, lecz poczekał, aż ten zacznie sam go tworzyć i reprodukować z okrucieństwa Jego milczenia. Nic tak nie wzrusza jak wrażliwość oraz delikatność brutalnego Bóstwa. Nieczęsto zdarza się to potężnym tyranom.

Ale całkiem możliwe, że Ten, który przychodzi w *szmerze łagodnego powiewu* / קול / *kol demama daka* - to zupełnie inny Bóg. To zdanie pochodzi z jednej z wizji proroka Eliasza. Opisuje hierofanię nie jako brutalne wdarcie się *sacrum* do naszego wymiaru, lecz jako delikatny pocałunek. Wygląda trochę tak, jak gdyby Eliaszowi ukazał się jakiś Bóg-skądiną. Nadprogramowy. Mieszkający gdzieś na przedmieściach przemocowych ideologii wielkich monoteizmów. Jakiś Ojciec deszczu ukośnego. Zefirek. Bożych. Albo Bożychna.

W tym zdaniu pojawia się, pochodne od *dumija / milczenie*, słowo *demama* / *cichy szept*. Ten Bóg ma nieco inne obyczaje i inny temperament: nie objawia się w potężnym wicherze (רעש), nie ma go w huku pękających skał (רעש), nie ma go też w ogniu (ש). Objawia się w milczeniu i ciszy (דממה/דומיה): w warunkach sprzyjających przyjacielskiej pogawędce.

Powiada się, że cała twórczość literacka żydowskich myślicieli, to niekończący się komentarz. Czytając Gilles’a Deleuze’a, gdy pisze o interpretacji dokonującej się w nieskończoność, jakimś narracyjnym samograjem, trudno nie mieć skojarzeń z takimi zdomowionymi w judaizmie pojęciami jak: *sipur* (przypowieść), czy *midrasz* (komentarz). Żydowski *darszan* - komentator, interpretuje, komentuje, nie napotykając na drodze nic, co już samo w sobie nie byłoby midraszem odsyłającym do innego midrasza. Ostatecznie, tekst pierwszy - Tora, okazuje się midraszem tego, co niewypowiedziane. Deleuze czyni uwagę, że tak naprawdę, nie ma czego interpretować, ponieważ najlepszą,

najpoważniejszą i najbardziej radykalną interpretacją jest w najwyższym stopniu znaczące milczenie.

W podobnym tonie pisze, w jednym ze swoich wierszy, wybitna żydowska poetka Anna Margolin: *Z cisy zbudowałam Ci Świątynię* (אין הצב פון שטילקייט געבויט דיר אַ טעמפל).

Czytając ten wiersz kilka lat temu, zwróciłem uwagę właśnie na tę frazę, bowiem przywołała ona wspomnienie innego tekstu. Zdanie to, wypowiedziane w jidysz na początku XX wieku, zda się być echem innego, setki lat wcześniej, napisanego po aramejsku. Talmudyczny rabin Eleazar tak przemawia z kart Zoharu: *Moje milczenie wzniosło Świątynię na Wysokościach* (שתיקא דילי בנא מקדשא לעילא).

Eleazar dodaje, że gdyby nie milczał, nie byłby w stanie ani tworzyć światów, ani ich jednocyć. To dzięki milczeniu osiągnął on w sobie *jedność obydwu światów* (תרין עלמין): doczesnego i Świata Który Nadchodzi.

Ambicje Anny Margolin, a właściwie ewangelicznej Marii z Nazaretu⁵, bo to ona jest podmiotem lirycznym wiersza, są znacznie skromniejsze. Maria milczeniem chce tylko kochać Boga. Możliwe, że to właśnie w tym milczącym, miłosnym napięciu, rodzą się najpotężniejsze światy, a przeciwieństwa znosząc się, osiągając właśnie tutaj najwyższą mistyczną jedność. Inaczej milczy Bóg, a inaczej człowiek. Inne jest milczenie mężczyzny, a inne kobiety. Przynajmniej dopóty, dopóki milczą melodią narzuconych im ról.

Nie mam pojęcia, czy świątynia Anny i świątynia Eleazara to te same obiekty. Czy Anna Margolin zasugerowała się tekstem Zoharu, czy w ogóle знаła ten *passus*? Być może, wizja pałacu zbudowanego milczeniem jest rodzajem hierofanii dostępnej wielu pisarzom w określonych, sprzyjających po temu warunkach.

Ten topos, przejawia się w dziełach różnych autorów i w odległych od siebie epokach. W *El Mistater*, mistycznym poemacie XVII-wiecznego poety i rabina z kręgu mistyków z Safed, Abrahama Majmina, znajdujemy *Przedwieczną Księgę, która jest pisana mądrością i milczeniem* (תורתך הקדומה רשומה חכמתך הסתומה), a Księga ta *przychodzi z Najwyższej Pustki* (מאין תמצא והיא נעלמה). Rzecz charakterystyczna, że Majmin, na określenie pustki, używa tutaj właśnie słowa *setuma*. Sam hebrajski rdzeń סתם / *s-t-m* może oznaczać: *maskowanie czegoś, zatkanie, ukrycie, zablokowanie*, a ostatecznie również - *tajemnicę*. Aramejski odpowiednik סתמא / *setama* oznacza jakąś *nieokreśloność*, coś *niewiadomego*, *niedefiniowalnego* i jako takie, może oznaczać również *brak komunikacji i milczenie*.

W takim sensie pojawia się w jednym z najważniejszych dla żydowskiej mistyki tekście zoharycznym, *Patach Eljachu*. W inwokacji otwierającej tę medytacyjną modlitwę,

⁵ Tożsamość tytułowej Marii z Marią z Nazaretu jest przedmiotem sporu. Problem samookreślenia kobiety dotkniętej doświadczeniem boskości, jak również szerszy aspekt, maskowania, a jednocześnie komunikowania przez autorkę własnej kobiecej tożsamości poprzez postać Marii, porusza współczesna badaczka literatury jidysz, Melissa Weininger w artykule *A Poetic Paradox: Gender and Self in Anna Margolin's Mary Cycle* zamieszczonym w *IN GEVEB / A Journal of Yiddish Studies* (ingeveb.org).

autor określa Boga jako *setima al kol setimin* / על כל סתימין co można tłumaczyć jako: *tajemnica tajemnic, milczenie milczenia, najwyższa niewypowiadalność* lub po prostu: *Ten, który jest najbardziej ukryty, wymykający się jakiegokolwiek definicji*.

Przykłady można mnożyć, ale ostatecznie, wszystkie ścieżki prowadzą do tekstu pierwszego, do Biblii. To w Psalmach, po raz żydowski muzyk, poeta i zrzędzeniem Nieba, król, dokonuje odkrycia, którym dzieli się z Narratorem: *To cisza jest modlitwą do Ciebie Boże* (לך גמיה תהלה אלהים).

AXIOMATA: Mroczny Świat Skorup przypomina tkanę miejską z jej krętymi uliczkami, labiryntowo połączonymi podwórkami, ze swoją obietnicą, nadzieją i przerażeniem. Ten przykład do mnie przemawia. Choć nie rozumiem do końca co mówi, na pewno coś sugeruje.

Nigdy wcześniej nie myślałem, by Lurię czytać Różewiczem... Ale przecież właśnie ten poeta przechwycony przez puste ściany spalonych kamienic, przez świat skorup, ruin i zgłiszcz pozostawionych przez największą w historii manifestację *Sitra Achra*, Odwrotnej Strony, staje się *in naturaliter* najlepszym komentatorem Lurii.

Dla Różewicza wojna nigdy się nie skończyła, a nie chodzi tutaj o wojnę rozumianą jako działania wojenne, czy też pamięć wojny w wymiarze martyrologicznym, lecz o pewną *stałą rzeczywistość*. Tu nie tylko treść jest odpowiedzią na brutalizm wojny. Różewicz zmienia formę poezji, kształtuje nowy język opisu tej *rzeźni, która trwa*. Zda się mówić: tacy jesteśmy, taki jest świat, to coś, ta wojna (*bellum*), to monstrum (*belua*) żyje, oddycha wśród nas, porusza się w nas. W wierszu *Zabiegi*, stwierdza: *ten program trwa wiecznie*. Tak jakby Różewicz, pod kolorową, hologramową nakładką normalności, widział wciąż dymiące, czarne ruiny *Olam ha-Kelipot*. Luria sugeruje, że upadła materia strzaskanych Naczyń nie tylko powoduje cierpienie, ale i ona sama cierpi oraz krzyczy, wołając o swój własny *tikun*. Tragedią materii jest to, że nie potrafi sama sobie pomóc, że niezauważona, ignorowana musi milcząco czekać na jedynego swojego zbawiciela - człowieka.

Jeśli coś jest metaforą tego samotnego, cierpiącego zła, to właśnie przestrzeń miejska, urbanistyczny *tewel*⁶, nie zaś zielona, uśmiechnięta *tewa*⁷. Ona jest innym rodzajem samotności i cierpienia. Cierpienia, którego architektem jest człowiek.

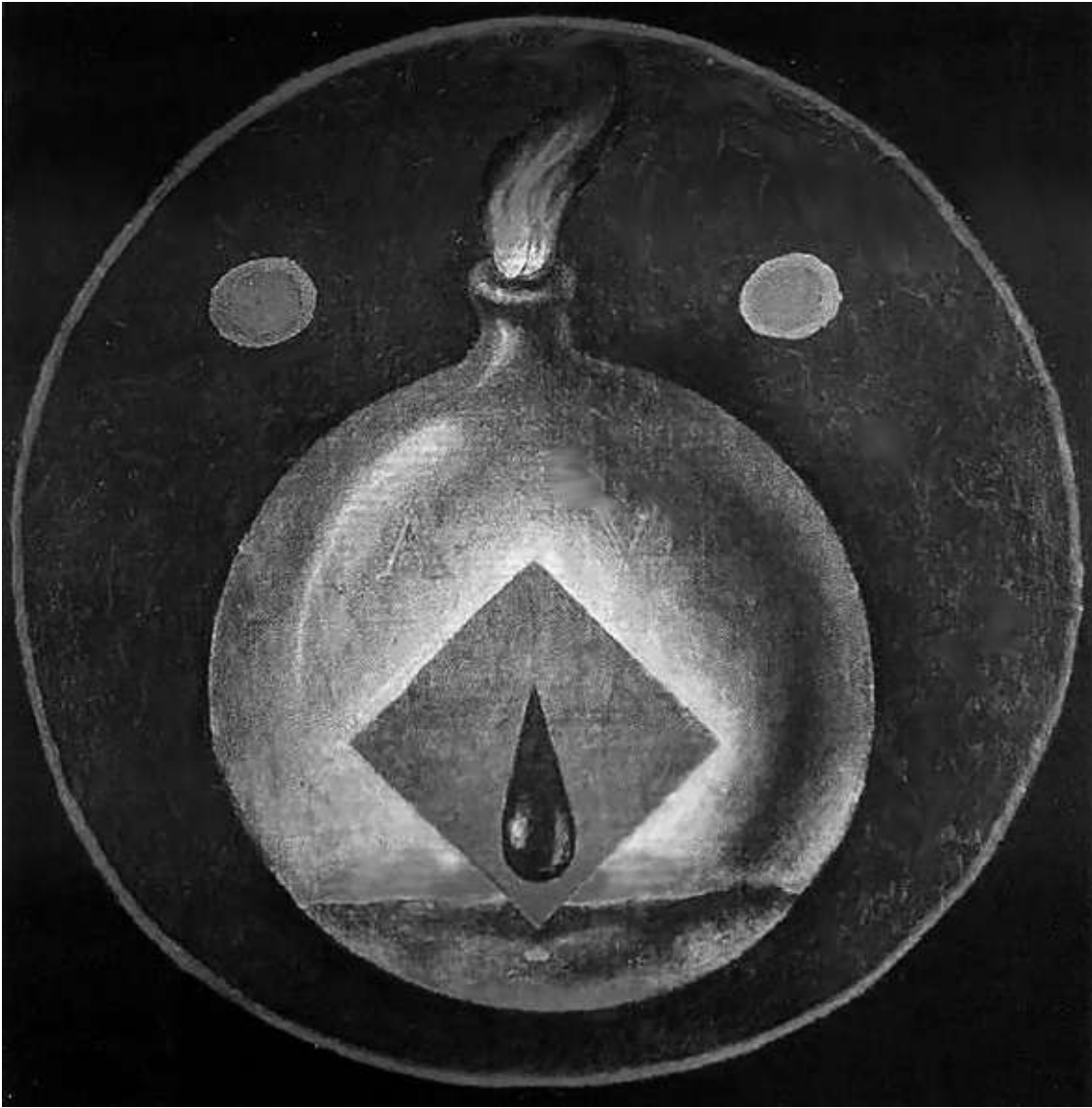
Na koniec, nie tak już dobrotliwie, powiada Bóg: *Uważaj abyś nie zrujnował i nie zniszczył mojego świata, bo nie będzie już nikogo, kto mógłby go po tobie naprawić*

(תן דעתך שלא תקלקל ותחריב את עולמי שאם קלקלת אין מי שיתקן אחריך). ■

JAKUB SKRZYPCZAK

⁶ *Tewel* / תבל / świat. Określenie używane zawsze w kontekście świata do życia, suchego lądu, przestrzeni cywilizacyjnej, środowiska człowieka. Zaskakujące, że to słowo zostało użyte w Torze również w zupełnie innym znaczeniu, jako *ohyda, obrzydlistwo, perwersja*. Kontekst wskazuje nie na kategorię estetyczną, lecz moralną: *ohydny czyn człowieka*, jakby sugerując filogenetyczny związek cywilizacji z perwersją.

⁷ *Tewa* / טבע / - natura.



Czyja to opowieść?

*Coś mówiło w ciszy, coś milczało,
coś szło swoją drogą.
Wygнанe i utracone.*

Paul Celan

Próbuję to znaleźć. Od głównej drogi odchodzi w las trochę niewielkich ścieżek. Nie wiem, która to. Parkuję na wycucie, starając się utrzymywać w wyobraźni mapkę, którą widziałam w Internecie, i nakładać ją na gęstwinę chaszczy zarastających zbocze góry. A potem idę, tak jak mi się wydaje, więc trochę wzwyż, a trochę jakby w prawo, ku zamkowi, który znajduje się na szczycie, ale to nie on jest moim celem, tylko niezdefiniowane miejsce pomiędzy nim a podnóżem wzniesienia. Gdyby chodziło o trzy malownicze wieże i resztki murów obronnych, widocznych zewsząd, nawet z dużej odległości, sprawa byłaby prosta. Do historycznej pamiątki prowadzą drogowskazy i znaki, szeroka, dobrze utwardzona droga, kogo nie spytać, będzie widział, którędy do warowni, co prawda bardzo nadgryzionej zębem czasu i potrzebami budowlanymi okolicznej ludności, która latami wybierała stąd kamienie do swych stodół i domostw, jednak wbrew temu, a może i dzięki temu pozostającej symbolem narodowej niezłomności i charakteru. Opakowanej jak prezent dla patriotycznych tradycji w mity i baśnie, pouczające pogadanki i kronikarskie zapiski, umieszczane na tablicach informacyjnych i wydawane w książkach, mające swe popularne i naukowe ujęcia. A nawet jeśli nie szlaki i oznaczenia, gdybym szła do zamku, wiodłyby mnie wspomnienia wycieczek z moim dziadkiem, który jako znawca geografii tych ziem i pasjonat turystyki pieszej, prowadził nas tutaj – swoje wnuki – i snuł własne, długie opowieści o królach i rycerzach broniących twierdzy i tu odbywających swoje zjazdy, o królowych i ich dwórkach, popasających w drodze po władzę i dobry mariaż lub ku wygnaniu, o precjozach i cymeliach tu ukrywanych, lecz z jakiegoś powodu te opowieści nie obejmowały *miej-sca* na zboczu góry, choć istniało tam już od XVII wieku, kondensując w sobie rodzinne związki mieszkańców tych ziem, kształtowane jednak wedle *innych* wzorów, idące *swoją drogą*, ewidencjonując ich niepolsko brzmiące imiona, ujęte w obcą, *milczącą* tutaj ornamentykę płyt, na których je wykuto, jakby to miejsce wygnane było nie tylko poza obręb miejscowości leżącej w dole, a także poza wyżej, w zamku pielęgnowaną tradycję, całkowicie utracone, zapomniane, usunięte poza wszelki nawias.

Gdzie, o gdzie jest miejsce – noszę je w sercu.

Rainer Maria Rilke

Ale nie idę do zamku i nikt nigdy nie prowadził mnie tą drogą, choć jest tak blisko tamtej: głównej, znanej i sprawdzonej. Umieszczonej w przewodnikach i opisanej w pracach naukowych. Stara droga, prowadząca tutaj niegdyś, zarosła, zniknęła. Muszę sprawdzać sama, poruszając się trochę niepewnie, bo ścieżka się kończy. Na azymut. Bez drogowskazów ani znaków. Wciąż jednak z mapą w pamięci. Tyle razy wcześniej oglądaną, że zdaje mi się, iż wiem, gdzie jestem. Jakbym była mimo wszystko prowadzona jakąś drogą niewidoczną. Ale teraz tylko zarosła, kamienie, zeschnięte liście. A potem otwiera się pozbawiona drzew przestrzeń grani, wyżej, po mojej lewej ręce, trawy i zioła, niżej – drzewa i drzewinki. Więc idę tą granią. Zdaje mi się, że tak powinnam iść. Ale muszę uważać i patrzeć pod nogi, no bo jednak czuję się zgubiona. Wrześniowe słońce razi mnie w oczy. I ślizgając się na jakiejś niepewnej kępie, a może na wilgotnych jagodzinach, odwracam się przez prawe ramię, ale właściwie nie wiem, czemu to robię – no, po prostu patrzę w bok zamiast przed siebie, choć tak byłoby bezpieczniej, jakbym jednak czuła szóstym zmysłem, że to właśnie tu, jakbym *musiała* się obejrzeć, i dostrzegam mur kamienny, jego resztki właściwie, a za nim, pomiędzy niewielkimi brzoźami czy bukami może, z ziemi wystają głazy jak wielkie, spróchniałe zęby zanurzone w trawach i paprociach. Wiem, że to są macewy, a jednak ich szara wapienność z ciemnymi plamami, porastająca gdzieś mchem przypomina cmentarzysko dinozaurów, a nie kirkut.

*Nie bądźcie ciekawi nad miarę Dobra i Zła;
nie chcecie liczyć fal Czasu przyszłych; bądźcie radzi,
że macie światło pozwalające, aby postąpić krok i znaleźć oparcie.*

T. S. Eliot

Znalazłam. To tu. Przekraczam rumowisko, które nie jest już granicą cmentarza, niczego nie otacza ani nie chroni, ale raczej pozwala mu wtopić się na powrót w geologię tych okolic. Wchodzę pomiędzy płyty. Straciły kształt i prawie nie widać na nich napisów. Upodobniają się do wapieni, z których niegdyś je wyciosano. Przestają być znakiem i symbolem, stają się naturą. Słońce mam teraz w plecy i myślę, że *promienie nawiewają nas w stosi, dźwigamy światłość, ból i imię*¹, jak ci tam, skłębieni w amalgamat kości, prochów, resztek tkanin, gruntu i korzeni, których podziemne rozpasanie dawno zdekonstruowało ład niegdysiejszych pochówków. Tu już nie ma imion, chociaż

¹ Paul Celan.

ich wypatruję, a *jeśli coś nie ma imienia, to tego czegoś nie ma*², przypominam sobie. Jest tu tylko roślinny, zielonkawy mrok, jakby w głębi zarośli morszczynu, po wodą, jakbym błdziła po zatopionym mieście, Atlantydzie jakiejś. Im niżej schodzę zбочem, tym gwałtowniej macewy pochłania łapczywy gąszcz pni, gałęzi i poszycia leśnego, najwyraźniej nie naruszanego tutaj przez ludzkie istoty. Jakby wołały nie dotykać i nie patrzeć, nie utopić się może w tym odmęcie niejasnym, choć poza tym lasy tutejsze oswoiły przecież duktami, drózkami i szlakami, choć zagospodarowały pola i uporządkowały wioski. Choć ziemia tutaj zna kierunki i podziały, niechby chaotyczne i pozbawione logiki, choć ludzkie gospodarowanie ma tu czytelny kształt. Na starym kirkucie rządzą inne prawa, a może w jakiś sensie jest on miejscem spod prawa wyjętym. Forma, ujmująca w karby wszystko poza nim, tutaj jest bezformiem, zanikiem, dążeniem do entropii. Przyroda bezwzględnie włącza wszystko w cykl trawienia resztek. Niepewnie trawersuję po stromiźnie, pod stopami obsuwa się luźny grunt i zeszłoroczne liście. Ku miejscowości i drodze las gęstnieje, macewy rzędna, w końcu nie ma już żadnych śladów, tylko świeże śmieci na poboczu, stary brud na podwórkach domów, które mijam odjeżdżając.

*O wy, co was cierpienie, które jeszcze małe było,
otrzymało wpięrow jako zabawkę,
w jednym z jego długich ozdowień...*

Rainer Maria Rilke

Myślę o tych, tam pod spodem, którym udało się zostać w ziemi urodzenia, i o tych, których z getta w Chęcinach zaprowadzono na stację w Wolicy i wywieziono do Treblinki razem z ich kuzynami i znajomymi z okolicznych miejsc, Jędrzejowa i Małogoszcza, o tych, których nie wywieziono tylko rozstrzelano na miejscu, więc nie trafili ani na kirkut, ani do obozu, o tych, którzy potem zamieszkali w ich domach, i o tych, którzy przyszli po nich i uczynili z małego, biednego, ale wyrazistego w swym charakterze żydowskiego miasteczka chaotyczny konglomerat budynków bez wyrazu. *Ci* i być może także *tamci* – posłuszni czemuś innemu niż samym sobie – figurki w rękach losu: despotów i ich pacholców, mądrali i głupców, przestępców o wrażliwych duszach i dobrych ludzi o sercach z kamienia, próbujący wypowiedzieć swoją historię. Bo każdy to robi, na dobre i złe, sądząc zapewne, że nanizuje słowa wedle wzorów własnej pamięci i wyobraźni, a przecież język służy do zaplątywania znaczeń i faktów w supły, zamiast podążać prostymi liniami wątku i osnowy. *Potrzeba opowiadania historii jest [zaś] niezbywalna i nie wynika [...] z potrzeby przypominania sobie i projektowania*

² Jean-François Lyotard, *Nota o uprawomocnieniu*, [w:] *idem, Postmodernizm dla dzieci. Raport o stanie wiedzy*, przeł. Małgorzata Kowalska i Jacek Migasiński, Warszawa 1997, s. 64.

*(potrzeby historyczności, potrzeby akcentu), ale przeciwnie, z potrzeby zapomnienia (potrzeby metrum)*³. I myślę o sobie, która o tym wszystkim nie miałam pojęcia, mimo iż spędzałam siedem kilometrów stąd wszystkie wakacje dzieciństwa, u moich dziadków, którzy znali te okolice od czasów, gdy jeszcze w uliczkach brzmiało jidysz, którzy chodząc po tych uliczkach zamawiali płaszcze u żydowskich krawców i kupowali towary kolonialne w ich sklepikach (jednak być może o tych płaszcach i sprawunkach sama coś sobie snuje, bo nikt nigdy mi o tym przecież nie opowiadał, choć tak bardzo tego potrzebuję), ale nie wiem, czy rozumieli coś z głosów tej obcej mowy, jej krzyków i szepotów, inkantacji i zawodzeń, rejwachu podwórek w dzień zwykły i poszumu szabatowych modlitw (jakby i ludzie, i sklepiki były przeźroczyste), ale gdy trzeba było wstawić szybę, prosili o to żydowskiego szklarza.

Bo co się stało, już się nie stanie.

Niech sąd nad nami nie będzie zbyt srogi.

T. S. Eliot

No tak, przynajmniej to zdarzyło się naprawdę. A przynajmniej tak można by sądzić. Tylko w tej jednej jedynej opowieści mojej babci ocalało słowo Żyd. Tylko tu zachował się ślad jakiegoś bardziej namacalnego związku *tych* i *tamtých*. Są późne lata trzydzieste. Buduje się dom letniskowy moich dziadków. Okna trzeba przeszklić. Więc z Chęcina może albo z Małogoszcza, sprowadza się rzemieślnika. I on wykonuje swoją robotę. Pracuje wiele godzin. Jest lato, suchy upał sosnowego lasu, pośród którego powstaje dom. Babcia przynosi mu szklankę wody. On odmawia. Bo dla niego ta woda jakby nie istnieje: *Skoro nie mogę pić skąd piją kwiaty drzew i źródła rzek, bo nic tam już nie ma* – powiada Eliot – muszę cierpieć pragnienie. Źródła wyschły, nieczysta woda, podana ręką gojki podobna jest pustej przestrzeni, rozciągającej się między nimi, niemożliwej do pokonania. Nie wiem, czy ona wie, że religia zabrania mu sięgnąć po niekoszerną szklankę, wypić niekoszerny płyn. Może nie wie? Przeźroczyste naczynie, przeźroczyści sąsiedzi. Ręce, szkło, woda, drgające od upału powietrze, także wodzie podobne o tej porze roku. Tych kilka prostych gestów staje się potem kwintesencją wzajemnych żalów i pretensji, trwa przez lata jako historia o *tym*, który nawet szklanki wody nie chciał przyjąć, jako przyczynek do animozji i niemożności porozumienia między *nimi* a *nami*, jako scenka ze sztuki o *obcym*, który nawet w ten sposób nie chciał się włączyć w bytowanie w kraju, w którym mieszkał, jako opowieść z *metrum* wyznaczonym potrzebą wprowadzenia w niebyt tamtego zdarzenia.

³ Jean-François Lyotard, *Funkcja narracyjna i uprawomocnienie*, [w:] *idem, Kondycja ponowoczesna*, przeł. Małgorzata Kowalska i Jacek Migasiński, Warszawa, 1997, s. 90.

Nie wiercie, że los to coś więcej niż gąszcz dzieciństwa.

Rainer Maria Rilke

Kiedy byłam małą, na wakacje jeździłam do rodziców mojego ojca, do ich leśnego domu, rodzaju cudem ocalałej sprzed wojny resztówki, miejsca z innych czasów. To było w Górach Świętokrzyskich. Sosny i buki, dęby i leszczyny, z których można było zbierać orzechy, grzyby, poziomki i jagody, i jeszcze zwierzęta, ukochane psy babci i te leśne: złotawe wilgi i niebieskawe sójki, beżowo-brązowe sowy, rude lisy, świetliście podpalane sarny i wiele innych barwnych, ruchliwych stworzeń. Wyprawy nad rzekę, która w tamtym czasie, na przełomie lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych, płynęła naprawdę czystą strugą wskroś łąk pachnących ziołami, które kosiło się kosą, a gdy się przez nie szło, spotykało się wiejskie dzieci pasące krowy, a na horyzoncie widać było kryte strzechą chatki i grzbiety okolicznych gór o rysunkach łagodnych jak bochenki chleba z mocno spieczoną skórą, które czasem kupowało się jeszcze od wiejskich kobiet. Sielski krajobraz, bajkowe życie. Odnosiłam wtedy wrażenie, że to miejsce rządzi się innymi prawami niż reszta świata, nie podlega jego bezbarwnym i ponurym wówczas regułom. Jest lepsze: piękne i dobre. W opowieściach, które słyszałam tam wieczorami, pojawiali się partyzanci, naturalni bohaterowie kieleckich lasów, niemieckie i sowieckie więzienia, dzielne kobiety, które zostawszy w domu pielęgnowały potomstwo i wartości. Rzeką, w której pływaliśmy, był *tą* „Wierną Rzeką”, utrwaloną w powieści Żeromskiego, a łąki nad nią były *tym* małogoskim polem, na którym bitwę o wolność w powstaniu styczniowym przegrał generał Langiewicz. Do dziś podobno w rocznicę bitwy, widma powstańców idą tędy w stronę okolicznego Bolmina, tak jak w lutym 1863 roku, tego samego Bolmina, dokąd my – rodzina – co niedzielę szliśmy do niewielkiego białego kościoła, wznoszącego się na wzgórzu. Jako dziecko uwielbiałam te historie, pełne niezwykłych, emocjonujących, pełnych patosu szczegółów. Wzruszały mnie głęboko losy wspaniałych ludzi, którzy się w nich pojawiali.

Lecz utrapienie innych pozostaje doświadczeniem

Nieokreślonym, niestartym przez późniejszą skruchę.

Ludzie zmieniają się i uśmiechają, ale udręka trwa.

T. S. Eliot

To miejsce leżało niemal dokładnie w środku trójkąta utworzonego przez trzy niewielkie miasteczka: Chęciny, Małogoszcz i Zajączków, które często odwiedzałam, gdy trzeba było zrobić jakieś większe zakupy w czasach, kiedy skądinąd na co dzień jajka, mleko czy chleb kupowało się u chłopca. W miasteczkach były sklepiki z cukrem i herbatą. Można było dostać w nich świece i naftę do lamp, którymi rozjaśniało się mroki

domu, albo wygrzebać w księgarence jakąś książkę nieosiągalną wówczas w dużym mieście, by potem przy tych lampach i świecach odkrywać niezwykłość światów w nich opisanych. Równie niemożliwych jak niegdysiejsze żydowskie życie tych okolic. To przecież wszystko była polska prowincja – tak wszyscy uważali – maleńkie, stare domki, wąskie uliczki, kościół, jakieś ruiny i miejscowi, gapiący się na miastowych. A wtedy jeszcze przecież niektórzy z nich musieli być tymi samymi, którzy chętnie wprowadzali się *wtedy* w dobytek *tamtych*, których już nie było. Życie biegło, nie mogli pozwolić, by się to wszystko zmarnowało, szybko zapominali, czyje były *ich* poduszki i pierzyny. Ale wciąż, jak niegdyś ich przodkowie, a także *tamci*, którzy zniknęli, wychodzili na ulice, stawali na progach, siadywali na marnych ławeczkach pod ścianami krzywych domków i obserwowali wszystkich, *innych* niż oni sami.

Warga wiedziała. Warga wie. Warga milczy o tym do końca.

Paul Celan

Dlaczego tak późno sprawdziłam, że przed wojną były to w znacznej mierze żydowskie miasteczka? Dlaczego o tym nie wiedziałam? Czemu moi dziadkowie, tak chętni do wszelkich wyjaśnień, nigdy nie zająknęli się nawet na temat katastrofy, w wyniku której mniej więcej pięćdziesiąt procent okolicznej ludności nagle wyparowało? Starczy ludzie, których spotykałam we wsi, musieli mieć z nimi częste i rozległe kontakty. Kupowali w ich sklepach, widywali ich na drodze, rozmawiali z nimi. Wynajmowali Żydów do szklenia okien, zamawiali u nich ubrania. Co spowodowało, że hekatomba, która w każdym innym przypadku przemieniłaby się w chętnie eksploatowaną, sensacyjną opowieść lokalnej społeczności, nie stała się dobrym powodem do snucia wieczornych sag? Dziś już znam odpowiedź. A jednak, rozmawiając na ten temat, czytając książki, w których po wielokroć próbowano opisać i zrozumieć to zjawisko, wciąż nie mogę w pełni pojąć tamtej *obecności* przemienionej w absolutny *niebyt*, tego *milczenia*, pomimo iż *warga wie*.

Przetrwa bohater, nawet zagłada mu była tylko pretekstem, by istnieć.

Rainer Maria Rilke

W moim dzieciństwie Żydzi nie istnieli. Albo istnieli, ale tylko jako postaci literackie, fikcyjne, baśniowe. Podobnie jak Królewna Śnieżka albo Szewczyk Dratewka. Częstka specyficznego kolorytu niezbędnego literaturze czy malarstwu. Niekiedy pojawiali się w dowcipach. Nikt jednak nigdy nie powiedział mi: popatrz mieszkali tutaj albo – w tym miejscu są ich groby. Czy też: byli wtedy ubrani tak a tak. Doprawdy, długo nie sądziłam, że ze słowem Żydzi łączy się jakakolwiek realność. Jako postaci mitologiczne

nie potrzebowali czasu ani przestrzeni, przedmiotów. Nie żyli przecież życiem prawdziwym, skondensowani do gestu ręki podającej szklankę i tej drugiej ręki, szklanki nieprzyjmującej. Przeźroczyści jak tamta woda, której *on* nie wypił; możesz na nich patrzeć i nie widzieć. Są jak duchy. Wyzisolowani w obszarze starego cmentarza, gdzie nikt już nikogo nie grzebie i nikt nie przychodzi, któremu pozwala się zarosnąć dziką roślinnością, pleniącą się po to, by pochłonać cywilizację, która jednak trwa w królestwie podziemnym: zagrzebana w ziemi i w pamięci.

*Wobec takiej wiedzy, jakież przebaczenie: Pomyśl więc,
Że historia zna wiele zawiłych przesmyków, krętych korytarzy.*

T. S. Eliot

A jednak byli. Przynajmniej kiedyś. I pierwszym, namacalnym wymiarem ich egzystencji musiał być jej materialny kontekst. No bo istniały kiedyś konkretne przestrzenie, realne przedmioty. Kiedy zaczęłam poznawać historię Zagłady, najczęściej myślałam właśnie o codzienności żydowskiego bytowania. Próbowałam sobie ją wyobrazić. Na co patrzyli? Czego dotyczyli? Jakie to coś było naprawdę? Domy i podwórka, pokoje i schowki, szuflady, kufty i półki pełne różnych rzeczy – potrzebnych i zbędnych, cennych i bezwartościowych, ważnych i przypadkowych. O co dbali? Co gromadzili? Co starali się chronić? I co potem musieli opuścić? Najbardziej przejmujące wydało mi się to odcięcie Żydów od dotykaności świata. Nie tylko w powszechnie znanym, historycznym znaczeniu tego faktu. Tak, zabrano im wszystko. Ale tym, którzy pozostali – ocalonym – także odebrano szansę doświadczenia żydowskiego istnienia. Jeśli rzeczywiście jest jakaś aprioryczna harmonia, jakieś idealny model świata, w którym wszystko ma swoje miejsce, to na pewno, mój świat cierpi dotkliwy brak. To ten brak właśnie sprowadził mnie do Miry. Pragnienie dotknięcia przedmiotów i miejsc, jeśli nie bezpośrednio to choćby przez cudzą opowieść, w nadziei, że zrozumie coś więcej z tego, co tak trudno pojąć. Ale Mira powiedziała: *nie, nic mam, nie pamiętam, rodzice nie wspominali*. Długo rozmawiałyśmy o tym, czego nie ma. A potem jednak sięgnęła po maleńki obraz, na którym jest podwórko w Turku namalowane przez jej matkę, kiedy była dziewczynką. Na nim – krzywe domki w ciasnym zaułku, podobnym do tych, jakie znałam z wielu innych polskich miasteczek. Wyjęła także z szuflady szalik jej ojca. A potem kilka zdjęć. Wyglądało jednak na to, że płaskie powierzchnie tych przedmiotów są jak zamknięta furtka, że nie można już wejść do świata, którego są śladem. Brakowało imion, faktów i kontekstów. Cisza, która zapadła nad minionym wydawała się nie do przebycia. Zawiłość przesmyków i krętych korytarzy utrudniała drogę. Tak, wbrew wszystkiemu, powstała książka o malarce malującej własny los: *Czegokolwiek zażyliśmy, nie pozwólmy, nie pozwólmy, by pozostawało nietknięte i nam obce. Przetrwamy to. W przeciwnym razie wejdzie tylko*

*do naszej pamięci, ale nie wzbogaci umysłu*⁴. I przypominając sobie te słowa Seneki, sądziłam, że czegoś wreszcie się dowiedziałam i zrozumiałam.

Słowa w mowie docierają tylko do ciszy.

T. S. Eliot

Dlatego też powstała inna książka, o malarzu i architekcie, urodzonym na Uralu w czasie, gdy jego rodzice, Żydzi, schronili się tam przed wojną, który potem zamieszkał z nimi we Wrocławiu, potem, w kolejnej alii wyjechał z nimi do Izraela, by znów powrócić, do Wrocławia, który uważał za swoją ojczyznę. Pytałam Lva, ale jego wspomnienia to tylko szmer: rozmów prowadzonych nie przy nim, napomknien i omowni; wszystkiego, co brzmiało, ale nie mówiło. Interesującym aspektem tych rozmów było dla mnie odkrycie, jak niewiele wiedziałam o tym, co – jak mi się zdawało – wiem. Z jego perspektywy, Żyda, który cudem przetrwał Zagładę, jako jeden z nielicznych ocalonych spośród rodziny objętej całkowitym unicestwieniem, dzieje Polski jawiły się całkowicie inaczej, niż te, które w zmitologizowanej, pełnej patosu formie przekazywano mi od dzieciństwa. Próbując nazwać cudzy los, usiłując patrzeć czyimiś oczami, starając się wejść w życie *innego*, chyba po raz pierwszy tak jasno zobaczyłam, że nie ma jednej prawdy, że to samo zjawisko można widzieć skrajnie inaczej, że zdarzenia dosłownie nie *wydają się być*, ale *są* niejednakowe dla różnych ludzi. Historia, która jest obecna książce, o której mówię, zupełnie inaczej obeszła się z Lvem i jego rodziną niż ze mną i moimi bliskimi. Te same fragmenty zdarzeń – skądinąd podobnie tułających – były dla nas, dla naszych rodzin i przyjaciół źródłem absolutnie niepodobnych przeżyć, prowadziły do innych wniosków, wywoływały drastycznie odmienne skutki. Przeszłość jest dziurawa, teraźniejszość prowizoryczna, przyszłość nieznana – pisze Derrida – czegoż więc można się uchwycić próbując ustalić *stan faktyczny*? „Słowa w mowie docierają tylko do ciszy”. Pytałam jednak wytrwale i Jay’a, który z miasteczka pod Wałbrzychem trafił do Izraela, potem do Ameryki i na powrót do Polski, ale i on niewiele słyszał, a raczej nic mu nie opowiadano, a jeśli, to nie wprost, który jak inni mówił: *nie wiem, nie mówiono o tym*, i jeszcze Josiego i Rutę, Alfreda i Tolka. Jakby takie mówienie, żeby nic nie powiedzieć, było esencją opowieści o tamtym, żydowskim świecie. Jakby alija trwała stale, jako zmiana miejsca, dająca się uporządkować siatką Merkatora, ale raczej jako niemożność zakorzenienia się w żadnym z nich, a jeszcze bardziej jako wędrówka pomiędzy myślami, wspomnieniami i obrazami, czyniona w ten sposób – skomplikowany, wymagający trudu – by przy żadnym nie zatrzymać się zbyt długo, nie oglądać go uważnie, nie analizować, aby mówić nie mówiąc, patrzeć nie widząc. Uprawiać finezyjną choreografię unikania, wymagającą sprawności i doświadczenia w utrzymywaniu *formy* w nawet najbardziej złożonych figurach i układach.

⁴ Seneka, *List 84*, [w:] *Listy moralne do Lucylusza*, przeł. Wiktor Kornatowski, Warszawa 1998, s. 371.

*Wieczność jest też pełna oczu – w nich tonie to,
co pomagało obrazom pokonać drogę,
którą przechodziły, w nich gaśnie to,
co i ciebie odjęło mowie.*

Paul Celan

Pytałam też innych, pytałam wielu, pytałam mnóstwo osób, żeby dowiedzieć się tego, czego mi nie opowiedziano, choć pasja do opowieści była w mojej rodzinie powszechna, szczególnie takich, które były pouczające, miały mężnych bohaterów, a słuchając ich, można było się wzruszyć ich cierpieniem. Ale ci wszyscy obcy ludzie, których pytałam, też przecież niewiele mi powiedzieli. Tym, co ocalało, były drobne sytuacje, historyjki, przeważnie pogodne, jakby trzeba było owinać w miękką flanelę (taką, w jaką dawniej owijało się srebrne sztuce po użyciu, by chronić je nawet przed powietrzem) to, co w słowach stałoby się nie do zniesienia – pełne bólu, upokorzenia, wstydu. Jakby należało szukać takich słów, aby tamte, niedające się wymówić, otorbiły się w języku, aby zgasło ich nieziemskie potworne światło, by żadne oczy nie wypatrzyły już obrazów nie do pomyślenia. Jakby trzeba było je zastąpić czymś błahym, zupełnie zwyczajnym, by „odjąć mowie” siebie samego i przedmiot własnych indagacji. Więc może nie da się tym mówić, nie ma na to słów. Może moi dziadkowie również ich nie mieli, a opowiastka o szklarzu była taką *zabawką w cierpieniu*, jak u Rilkego?

Gdzie jest życie utracone przez życie?

Gdzie mądrość utracona w wiedzy?

Gdzie wiedza utracona pośród wiadomości?

T. S. Eliot

A jednak kwestia „nieopowiedzenia” nie dawała mi spokoju. Doszłam do wniosku, że rodzina milczała, bo sama miała żydowskie korzenie, i że ukryto to przede mną. Jestem Żydówką, wzruszyłam się. Już same nazwiska, od Braunów (setki Żydów nosiło na ziemiach polskich to nazwisko), przez Millerów (po mojej prababce) i Prussnigów (po innej prababce) – mogły na to wskazywać. Wytypowałam mojego pradziadka, Karola Brauna, który był notariuszem w Galicji, lecz o dziwo, w tej mojej rozgadanej rodzinie, z dumą pielęgnującej rodowód, jakoś wyjątkowo mało było informacji o jego pochodzeniu. Napisałam więc do parafii jego urodzenia i – ku mojemu zaskoczeniu – przysłano mi katolicką metrykę, a nie dokument przechrzty. Wciąż jednak miałam nadzieję. Podejrzywałam więc, że może zmiana wyznania nastąpiła wcześniej: ojciec mego pradziadka, dziadek, pradziadek... Ale nie. Szczegółowa kwerenda aż po XVIII wiek nie dała mi żydowskich korzeni. Potem już nie mogłam powstrzymać się i dalej tropiłam

losy moich przodków, angażując swój czas i pieniądze, szperając w bibliotekach i archiwach. I stopniowo z metryk i listów, kwitów i gazet, wyłaniała się opowieść inna, niż ta, którą karmiono mnie od dzieciństwa: fakty stały się w niej baśniami, tkwiło tam zaledwie ziarno prawdy. Okazywało się, że bohaterowie ustnej rodzinnej sagi nie byli tymi postaciami, za które mieli uchodzić. Generałowie przekształcali się w sierżantów i żołnierzy, możnowładcy w skromnych dzierżawców, rycerze w piekarzy, damy dworu w szynkarki, ci o nieposzlakowanej opinii w bigamistów i łgarzy, a ci o pięknym rodowodzie w bękartów. Nieplanowanym z początku skutkiem tych dociekań była kolejna książka, tym razem o losach mojej rodziny i poszukiwaniu archiwaliów ich dotyczących. Ileż można odgrzebać po latach, ile losów, które – wydawałoby się unieważnił czas – można na powrót przywrócić pamięci? Byłam tym wtedy zachwycona.

Ale czy można? Kogo i co wygrzebałam z przeszłości? Fragmenty i strzępki, z których komponuję własną układankę, konstruując świat podług moich kryteriów. Nie jestem teraz pewna, czy to ich rzeczywistość. Jakie było to, co – jak mi się wydaje – utraciłam, bo nie opowiadano mi o tym (*de facto* o wszelkiej przeszłości), bo czegokolwiek dotyczyła opowieść fundowały ją własne, subiektywne pojęcia mówiącego o jej sensie? Co wiem o tym naprawdę? Cóż to za widzę pozyskałam ja, odległa od tamtych historii i ich aktorów, arbitralnie manipulująca skrawkami informacji? I czego w ogóle szukam poza może zaspokojeniem własnej ciekawości? *Doświadczył[a]m już niejednej okropności; moja pamięć jest mi zawsze wierną towarzyszką, a moja fantazja jest (czy ja nie jestem) pilną dziewczynką, która siedzi cały dzień cicho nad swoją robótką, a wieczorem umie tak pięknie pogadać ze mną, że muszę rzucić okiem na jej robótkę*⁵, ironizuje Kierkegaard. Gmeranie w przeszłości i wścibstwo jako inspiracje dla poszerzania wiedzy – ten niebezpieczny *drive*, płynący z przyglądania się cudzym życiom. Cmentarze i wspomnienia, dokumenty i książki, stare zdjęcia i co tam jeszcze – o czym mi powiedziały? Spędziłam sporo czasu antyszambrując u drzwi do przeszłości i od czasu do czasu był mi udzielany jakiś jej kawałek, nigdy jednak nie zostałam wpuszczona do pokoi, gdzie działa się *tamto*. Jakżeby można cokolwiek wiedzieć, nic przecież nie wiedząc. To panoszenie się w cudzych życiach jest podobne do nieproszonej wizyty, kiedy to nagle konstatuujemy, że drzwi z korytarza jednak się uchyliły i ukazuje się nam obraz nie dla nas przeznaczony, zdarzenia, w których nie ma dla nas roli, i już chcielibyśmy się może wyjść, ale gospodarze usiłują być uprzejmi, zasłaniając rąbkiem kotary czy płaszczą to, co dzieje się w głębi domu, więc nie wiemy, czy jednak wycofać się grzecznie, a może zamknąć oczy i zatkać uszy, żeby nie naruszać ich osobności, wycofać się z pozycji *voyera*, lecz już stało się i cała misterna konstrukcja ich istnienia została przez nas zrujnowana.

Nie ma bowiem jednej historii, ale wiele opowieści mających odmienne źródła. Nawet tożsamość postaci nie jest jasno określona. *Rozstępnie, odległość, stan pośredni, rozproszenie,*

⁵ Søren Kierkegaard, *Bojaźń i drżenie*, przekł. Jarosław Iwaszkiewicz, Warszawa 1995, s. 48-49.

pęknięcie, różnica nie są tematami dzisiejszej literatury – powiada Foucault – *lecz czymś, co przedkłada nam mowę i skąd ta mowa do nas dobiega: są czymś, co sprawia, że język mów*”⁶, poszukiwanie więc jakiejś *prawdy*, apriorycznego stanu rzeczy, nie jest możliwe w opowieści, powstającej jako zapośredniczenie między czymś, czego już nie ma, a niestabilnym *teraz*, kiedy to kryteria i wyobrażenia nie tylko różnią się od tych obecnych *niegdyś*, ale też same są polem ciągłej zmiany. Literatura faktu, filmy dokumentalne, podręczniki historii, a szerzej: cała sztuka realistyczna, zawsze pozostaną tylko performansem na zadany temat, apodyktycznie zaprojektowanym przez autora wyborem kawałków „do pokazania” wykonanym tak, by nie pokazać innych, wynikającym z owej lyotardowskiej „potrzeby zapominania”. Kto zatem opowiadał, opowiada i będzie opowiadać perypetie mego przodka, który u początku XIX wieku sprytnie manewrował między dwiema żonami i dziećmi z nich spółdzonymi, jeżdżąc z Warszawy do Krzemieńca na Podolu i z powrotem, choć nie wiadomo, czemu to robił i co czuli wszyscy bohaterowie tamtych zdarzeń? Może wcale nie był jednak sprytny, a jego bliscy – kto to wie – czerpali jakieś nieznane mi profity z tego dziwnego stanu rzeczy. Po co naprawdę wygrzebałam jego zagadkowy przypadek? Czyja i jaka jest historia podania szklanki i odmowy jej przyjęcia, której bohaterami byli moja babcia i człowiek o nieznanym imieniu? Jakie były dzieje chęcińskiego zamku, cmentarza na zboczu zamkowej góry i miejscowości u jej stóp? Do kogo te dzieje należą i ktoś ma je ująć w słowa? Nie znam odpowiedzi, zastanawiam się, „*chodzi bowiem – powiada Foucault – o intensywny namysł nad ogólnymi warunkami wszelkiego tekstu, warunkiem przestrzeni, w której się ono rozprasza, i czasu, w którym się rozwija*”⁷. Nie jestem więc także pewna, czy ci, którzy już nie mogą zdać mi sprawy ze swoich losów, chcą, bym to ja była ich kronikarzem. ■

MONIKA BRAUN



⁶ Michel Foucault, *Język przestrzeni*, [w:] *idem, Powiedziane, napisane. Szaleństwo i literatura*, przeł. Tadeusz Komendant, Warszawa 1999, s. 146.

⁷ M. Foucault, *Kim jest autor?* [w:] *ibidem*, s. 203.

Twarz od środka

*Kobieta w nagłym przestrachu poderwała się zbyt ostro, zbyt prędko
– i twarz pozostała w jej rozwartych dłoniach. Ujrzałem tam tę twarz,
jej pustą formę, z nieopisanym wysiłkiem przykułem się do tych dłoni,
aby nie zobaczyć tego, co się od nich oderwało.*

*Groza mnie zdjęła na widok twarzy od środka,
ale jeszcze więcej bałem się nagiej rany, tej głowy bez twarzy.¹*

Rainer Maria Rilke

*Od zagadnienia maski jako osłony czy przebrania
bardziej interesujące jest spojrzenia na maskę jako projekcję czy aspirację.
Za pomocą maski własnego zachowania nie chronię
swojego nagiego, autentycznego „ja”, lecz je przekraczam².*

Susan Sontag

Jej twarz przyobleka szarawa skóra, grawitująca ku ziemi zmarszczkami podobnymi do zagięć surowego płótna zaraz po praniu. Niegdyś niebieskie zapewne oczy ma wyblakłe i zawsze poważne. Może także poddane wybielaniu na słońcu i rosie, jak to się czyni z lnianą surówką. Uśmiecha się rzadko, a kiedy to robi, pod spodem nadal zachowuje surowość, jakby ten pogodniejszy stan był tylko powierzchowną fałdką uczynioną przez wiatr chwilowych wrażeń na ciężkiej, gęstej tkaninie jej twarzy. Wydaje się skupiona bardziej na niejasnym wewnętrznym procesie zużywania substancji w drodze ku śmierci niż na efemerycznych interakcyjnych zdarzeniach. Choć, gdy patrzy na groszek pachnący, który posiała wiosną i podlewała potem, nosząc wodę konewką ze studni, albo słucho głosy wilgi, pozwala chyba obrazom i dźwiękom wnikać w głębi. I czerpie z nich radość. Ręce, których powierzchnia także jest ciemnawa i nierówna, wydają się transformacją wzoru rozpoczętego na czole, wokół oczu i na policzkach. Zwykle ma je zajęte szyciem, obieraniem i krojeniem jarzyn, łuskaniem fasoli, wyrabianiem

drożdżowego ciasta. Ukłucia, zacięcia, roślinne soki, oparzenia i wysiłek urabiają jej dłonie jak rzeźbiarz swoje formy. I resztę ciała skupionego na drobnych, codziennych czynnościach. Gdyby opowiedzieć ją jako fugę, byłaby kunsztowną sekwencją przetworzeń tematu, którego treścią jest przemijanie. Więc kiedy mówi mi, że „na wyraz twarzy w starości trzeba sobie zapracować; on składa się ze wszystkich min, które kiedykolwiek zrobiliśmy”, usiłuję sobie wyobrazić, jak wyglądała, kiedy przychodziły na świat jej dzieci, kiedy aresztowano jej męża, kiedy traciła ukochany dom dzieciństwa.

Bo obserwując Lili, matkę mojego ojca, mam do dyspozycji finalny jej portret i fragmenty zdarzeń z jej udziałem, o których wiem, albo które utrwaliły zachowane fotografie. Portret blaknący obecnie jako wspomnienie, jednak bardziej wyrazisty niż większość z tych gładkich buź i twarzyczek, dopasowanych do oczekiwań odbiorców kosmetykami oraz nadzieją na interakcyjny sukces, bardziej niż oblicza godnie prezentujące uznanie dla estymy, którą je obdarzono, a nawet niż większość charakterystycznych facjat i mord, demonstrujących powierzchowny indywidualizm, z którymi obcuje aktualnie. Uformowanych zaledwie na powierzchni, jakby naskórek był specyficznym szklivem tych rzeźb, których wnętrza, pod ową zmienną, niekiedy wyczelowaną estetycznie, ale płytką glazurą, pozostają prawie takie same. Fizjonomia starej kobiety, o której lubię myśleć i opowiadać w czasie teraźniejszym, bo choć dawno miniona, to jednak żywsza pod pewnym względami od tych metrykalnie żywych, wydawała się pozostawać w istotnym związku z resztą osoby wykazującej słabe zainteresowanie podobaniem się, czy – tym bardziej – przypodobywaniem się, zabiegami upiększającymi i kosmetykami. Choć owszem, lubiła być ładnie ubrana, co oznaczało naturalne tkaniny i ubrania szyte często przez nią samą na starej maszynie marki Singer, której korbką lubiłam kręcić jako dziewczynka, swetry dziergane na drutach w długie wieczory, kiedy można było oszczędzić nie zapalając lampy, broszki i korale, często ze srebra i bursztynu, umieszczane z uwagą w wycięciu bluzki lub spinające zbyt głęboki dekol, którego właścicielka uważała, iż z latami należy raczej zakrywać niż odsłaniać. Skromne kremy tamtej epoki, wcierane oszczędnie w dłonie i twarz, traktowane z pietyzmem pojawiały się także, a pudełeczka po nich trwały nadal, przydatne jako pojemniki na inne substancje czy przedmioty. Magazynowała w nich na przykład guziki czy haftki, potrzebne w domowym krawiectwie.

Dziś powiedzielibyśmy, że była w nurcie *eco*, jednak widzę istotną różnicę między ostentacyjnie dziś manifestowaną ideologią i lifestylem a przekonaniem Lili, że materii nie należy w żadnym razie marnować, zwierząt – krzywdzić, i że wzajemne związki wszelkich istot są rezerwuarem sił żywotnych. *Eco* w jej wydaniu było stanem ciała i umysłu, pewnym nastawieniem do świata, wreszcie filozofią, acz kompletnie pozbawioną doktrynerstwa i ostentacji, w której pobrzmiwały nauki Świętego Franciszka z Asyżu. A jej wygląd był w jakimś sensie wyrazem tej postawy, naznaczonej

¹ Rainer Maria Rilke, *Malte. Pamiętniki Malte-Lurdisa Brigge*, przeł. Witold Hulewicz, Warszawa 1979, s. 18.

² Susan Sontag, *zapisek z 6 stycznia 1958*, [w:] *Odrodzona. Dzienniki, tom 1. 1947-1963*, przeł. Dariusz Żukowski, Kraków 2012, s. 222.

powściągliwością, jakby ludzka substancja była czymś, czego należy używać oszczędnie, ale i warto poświęcić w dobrej sprawie. Gospodarowanie twarzą mieściło się w tej ekonomii.

Kiedy więc myślę o twarzy, przypomina mi się często matka mojego ojca, będąca również egzemplifikacją tezy Goffmana, iż *o osobie można powiedzieć, że ma lub zachowuje twarz* wówczas, gdy rola, której konsekwentnie się trzyma, tworzy spójny obraz osoby w danej sytuacji [...], twarz nie jest częścią jej ciała, ale zawiera się w toku wydarzeń³. Była rzeczywiście absolutnie konsekwentna w swoich sądach o tym, jak należy sobie radzić z wydarzeniami nie tracąc twarzy i jak zachować się w danej sytuacji, trzymając się tego, co słuszne, przy czym owa „słuszność” układała się dla niej w system spójny, i nic – śmierci i więzienia bliskich, wojny i rewolucje, upokorzenia i radości – nie zmieniło jej przekonań dotyczących hierarchii ważności spraw i doboru kryteriów. Jej twarde rysy zdawały się być emanacją tych przekonań, a twarz była składnikiem pewnej całości, nie zaś obrazkiem wymagającym nieustannych retuszy. Można by rzec, że ufała własnej twarzy. Dlatego, tracąc – przynajmniej w dzisiejszej perspektywie – jej cielesny kształt, pozwalając mu ulegać niespiesznym i naturalnym transformacjom, ostatecznie prowadzącym ku śmierci, zachowała, jak sądzę, twarz w ujęciu społecznym i duchowym.

Trudno obecnie o twarz. Wiele z nich staje się rodzajem karty płatniczej w społecznych transakcjach, za którą można nabyć pracę, uznanie, seks, choćby odrobinę wygody czy spokoju. Oznacza to fluktuacje i ciągle dopasowywanie twarzy do *potrzeb rynku*, ale także utratę pewności, czym twarz w ogóle jest i jak można by ją uzyskać i zachować. Wielość opcji w odgrywaniu społecznych ról niesie ze sobą ryzyko błędnego wyboru. Tak jakby twarz wiodła życie bardziej osobne od właściciela niż inne części jego ciała, noga czy ręka, inherentnie związane z osobą. Jakby była czymś niepewnym, co posiadamy, a co zarazem wymyka się spod naszej władzy. Masz twarz, ale jakby nie masz, bytującą niezależne. Trzeba ją wciąż ujarzmiać, czyniąc miny i grymasy na własny, a nie na nasz rachunek, dobrać właściwie, jak krawat do garnituru czy torebkę do sukienki, stale jednak przybierającą niewłaściwy odcień i formę, a gdy to nie działa, ukryć w cieniu kapelusza lub za woalką. Niekiedy pojawia się zawstydzenie twarzą, jakoby niestosowną w danej sytuacji lub w ogóle z gruntu „niewłaściwą”. Oczywiście twarzy da się używać na wiele sposobów, zależnych od pozycji społecznej czy zawodu. Jak to ujmuje Rilke: *każdy ma [ich] kilka. Są ludzie, co jedną twarz noszą latami, naturalnie twarz się zużywa, brudzi, łamie w bruzdach, rozłazi jak rękawiczki noszone w podróży. To są ludzie oszczędni, proszą; nie zmieniają twarzy, nawet nie każą jej czyścić. Twierdzą, że jest dość dobra, a kto im dowiedzie, że jest inaczej?* Pytanie, oczywiście, skoro mają kilka twarzy,

³ Erving Goffman, *Twarz: analiza rytualnych aspektów interakcji społecznej*, [w:] *idem, Rytuał interakcyjny*, przeł. Anna Szulżycka, Warszawa 2006, s. 7.

co czynią z pozostałymi? Przechowują je. Ich dzieci mają je nosić. Ale zdarza się także, iż psy chadają w nich po dworze. Dlaczegożby nie? Twarz to twarz.

*Inni ludzie szybko nakładają twarze jedna po drugiej i zużywają je. Wydaje im się zrazu, że zapas im starczy na zawsze, ale zaledwie dochodzą do czterdziestki: oto już ostatnia. Nie przywykli do oszczędzania twarzy, ostatnia po tygodniu jest zużyta, dziurawa, w wielu miejscach cienka jak papier – i oto potem stopniowo wychodzi na wierzch podkład, ta nie-twarz i z nią się obnoszą⁴. Zaiste, kłopotliwy jest status twarzy, rzeklibyśmy ontologicznie niejasny, nie wiadomo, czy będącej nami, czy też istniejącej jako coś trochę obcego, wymagającego stale dodatkowych zabiegów, byśmy mogli się z nią identyfikować i używać jej, by nas reprezentowała. Bo mogą być przecież bardziej i mniej reprezentacyjne fizjonomie: *haute couture* i *casual* oraz wersje pośrednie. W czynionych u początku wieku paryskich obserwacjach Rilkego ten aspekt twarzy jako tworzywa krawieckich czy kuśnierskich przeróbek kieruje mnie ku jej istnieniu jako maski, w wersji bliskiej gombrowiczowskiemu lękom przed *maską, co nam się w ciało wżera*⁵, stając się sztuczną a jednocześnie integralną częścią osoby, niemożliwą już do oddzielenia. Cywilizacyjna diagnoza włożona w usta „mistrza damsko-męskich mód”, Fiora, bohatera *Operetki*, ukazuje ludzkość jako – *toutes proportions gardées* – klientelę salonów mody, wybierającą łączywie a bezmyślnie najróżniejsze, przeważnie przerażające kostiumy. Bardziej współczesnym już językiem mówiąc: jako rozrzuconych konsumentów wszelkich możliwych stylizacji. W społeczeństwie spektaklu *narasta banalizacja, która pod postacią migotliwej różnorodności spektakularnych rozrywek ogarnia cały nowoczesny świat, opanowuje go również w każdej z poszczególnych sfer, w których rozwinięta konsumpcja towarów poszerzyła, na pozór, zakres wyboru ról i przedmiotów*⁶. W tym kontekście maskę można czytać podobnie jak przewołana na początku Susan Sonatag, *jako projekcję czy aspirację*⁷, której ciemnymi źródłami mógłby się zająć psychoanalitik.*

Tak samo zjawisko, jak i jego filozoficzne i socjologiczne ujęcia są oczywiście nienowoczesne. Od wieków przebieranki rytualne i dla rozrywki były ważną częścią kultury, w których twarzą interesowano się bardziej niż resztą ciała. Jej intrygująca dwoistość jako reprezentacji prawdy o właścicielu, niepisanego dokumentu jego tożsamości, a zarazem przestrzeni udawania, podszywania się i grania, zachęcała do wszelkich manipulacji tym żywym obrazem. Pokrywano ją różami i bielidłami, rysowano ją niejako na nowo kohlami, glinkami i tuszami, nakładano na nią maski i maseczki udatnie skrywające, ale i uchylające rąbka tajemnicy. Dokonywano również zmian poważnych i trwałych,

⁴ Rainer Maria Rilke, *Malte. Pamiętniki Malte-Lurdisa Brigge*, *op. cit.*, s. 17-18.

⁵ Witold Gombrowicz, *Operetka*, [w:] *Dramaty. Dzieła, tom IV*, Kraków-Wrocław 1986, s. 316.

⁶ Guy Debord, *Jedność i podziały w obrębie pozoru*, [w:] *Spółczesność i spektakl. Rozważania o społeczeństwie spektaklu*, przeł. Mateusz Kwaterko, Warszawa 2006, s. 55.

⁷ Susan Sonatag, *op. cit.*, s. 222.

by zmienić wygląd uciekinierów, spiskowców i przestępców. Dzisiaj, kiedy można przekształcić twarz za pomocą wyrafinowanych zabiegów chirurgicznych, podrasować makijażem, cyfrowo skorygować pojawiającą się w sieci, wreszcie, zamiast przekształcać, sięgnąć także do metod dawniej sprawdzonych i obsadzić jej posiadacza w roli bardziej do twarzy dopasowanej – nadal wydaje się jednym z najkłopotliwszych elementów interakcyjnego świata. Rozziew pomiędzy twarzą oczekiwaną a tą możliwą do uzyskania rośnie. Zaufanie do twarzy własnej i cudzych spada. Podejrzany jest zakres wszelkich w zakresie twarzy interwencji, bo coraz częściej nie jest jasne, jak głęboko sięgają i czy w ogóle nastąpiły. Niedająca się określić różnica między prawdą a pozorem czyni twarz maską *ex definitione*. *Scena ciała zmienia się wraz nieodwracalnym postępem technologicznym: od opalania się na słońcu [...] aż po opalanie się dzięki pigułkom i hormonom, kończąc na opaleniznie uzyskanej w wyniku operacji na samym kodzie genetycznym [obecnie ciało modelowane] jest od wewnątrz, bez konieczności odwoływania się do perspektywicznej przestrzeni przedstawiania, zwierciadła i dyskursu*⁸.

Interesujący wydaje się ów aspekt modelowania od wewnątrz. W swoich *Dziennikach* Sontag pisze: *Pisarze i psychologowie badali temat twarzy jako maski, lecz mało kto zajmował się kwestią maski jako twarzy. Niektórzy bez wątpienia noszą maskę, by skryć subtelne, lecz trudne do przyjęcia emocje. Jednak większość ludzi zapewne używa jej głównie po to, by wymazać wszystko, co się pod nią kryje, i stać się tym, co przedstawia maska*⁹, a więc w istocie dokonać integracji z maską, którą dotychczas niepisana umowa społeczna traktowała jako ciało obce. Wiele teorii socjologicznych, etnograficznych czy performatywnych wydobywa różnicę między prawdą a pozorem, jakkolwiek nieznaczna mogłaby ona być. Goffmanowska koncepcja życia społecznego jako teatru, ujęcie lacańskie, w którym odgrywamy to, co jako *obce* wyłania się lustrze, gdzie rozpoznajemy po raz pierwszy sami siebie, a przede wszystkim podejścia do życia społecznego jako gry, w której obecne jest *mimesis* reprezentowane między innymi przez maskę jako obiekt i twarz-jako-maskę, opisywane przez Johana Huisinę, Rogera Caillois czy Victora Turnera, opierają się na specyficznym dialogu między tym, kto udaje i tym, kogo on udaje. W teatrze, gdzie maska wciela *Innego*, nadal zachowuje się jej odrębność, choć na przykład *aktor teatru nō* śpi czasem obok maski, w której ma zagrać, tak by maska stopiła się z nim [a] performer balijski nakłada każdą nową maskę, szukając sposobu, aby jej życie mogło przeniknąć w jego ciało¹⁰. Maską jest tu czymś bliskim, lecz wyraźnie osobnym, podczas gdy maska w rozumieniu Sontag oznacza zatarcie granicy między ja i nie-ja. Co więcej – o ile maska rozpowszechniona w obrzędach, używana w karnawale

czy teatrze – niejako poszerzała istotę ludzką, wyrażająca zwierzęta i ptaki, postaci mityczne i baśniowe, będąca przedmiotem symbolicznym dawała wgląd w inność, podczas gdy współczesna maska i quasi-maską, powstająca jako efekt procesów medycznych i społecznych, redukuje swego nosiciela, odsyła co najwyżej do jego lęków i ograniczeń oraz do wzorów kultury pop.

W tej perspektywie, wywołana obecnie obawą przed wirusem wszechobecność masek, wydaje się koszmarnym snem socjologa i filozofa, kondensującym owe redukcjonistyczne tendencje, nawet jeśli pierwszą jej przyczyną jest chęć utrzymania higienicznych standardów w imię ochrony życia własnego i innych. Wykonane z tkanin i tworzyw przesłony nazywane są maseczkami, tym językowym ujęciem zapewne nieświadomie mając czynić zakrywanie twarzy procederem błahym i czysto technicznym. Deminutyw nie może jednak ukryć powagi faktu, że to, co dotychczas uchodziło za podstawę interakcji – możliwość odbierania i nadawania drobnych drgnień mówiących ust i policzków, krzywiących się nosów, szczęk rozwartych w śmiechu, szepcie czy wołaniu – zostało skasowane razem z elementami intonacji głosu i dykcji. Czy życie osób i kształtowanie stosunków społecznych, dokonywanie wyborów i budowanie związków może się odbyć bez uszczerbku, gdy wyłączy się część intuicyjnego systemu akcja-reakcja, czyli tego, co jest warunkiem *sine qua non* społecznej budowli? Wydaje się, że zakrycie twarzy maseczką, jakkolwiek by nie było medycznie uzasadnione, jest zjawiskiem o nie dających się oszacować konsekwencjach społecznych i psychicznych, choć na razie nikt głośno tego nie mówi, bo nie dopuszcza tego ani polityczna poprawność, ani logistyka radzenia sobie z wirusem. Jeśli jednak uznajemy język niewerbalny za kluczowy dla budowania interakcji i nawigowania w międzyludzkiej rzeczywistości, co potwierdza tak potoczne doświadczenie, jak i niezliczone badania psychologiczne i socjologiczne, a twarz jest tego języka najważniejszym wehikułem – możemy słusznie pytać o skutki nieobecności twarzy na ulicy, gdy pytamy o drogę, w klasie szkolnej, gdzie subtelności komunikacyjne przenoszone przez dwieście mięśni twarzy warunkują rozwój, u lekarza, dla którego zawsze obserwacja pacjenta była źródłem istotnej wiedzy i odpowiedzią w diagnozie, w pracy i transakcjach handlowych, w których złożoność ludzkiej mimiki i głosu jest często faktyczną przesłanką podejmowanych decyzji. W goffmanowskim teatrze dnia codziennego odebranie jego aktorom podstawowego środka wyrazu, *ograniczenie kontaktów i utrzymywanie dystansu społecznego rodzą i utrzymują lęk*¹¹, a także związane z nim często nieufność i agresję, pozbawiają wszystkich uczestników interakcji wiarygodnych wskazówek, jak poruszać się w komunikacyjnym świecie.

Interesująca jest dość powszechna zgoda na tę *wycinkę* imponderabiliów (celowo używam tytułu powieści Thomasa Bernharda o grze pozorów i łatwej rezygnacji

⁸ Jean Baudrillard, *Clone story*, [w:] *idem, Symulakry i symulacja*, przeł. Sławomir Królak, Warszawa 2005, s. 128-129.

⁹ Susan Sontag, *op. cit.*, s. 222.

¹⁰ Richard Schechner, *Performanse*, [w:] *idem, Performatyka. Wstęp*, przeł. Tomasz Kubikowski, Wrocław 2006, s. 233.

¹¹ Erving Goffman, *Wstęp*, [w:] *idem, Człowiek w teatrze życia codziennego*, przeł. Helena i Paweł Śpiewakowie, Warszawa 1981, s. 111.

z wartości traktującej). W rachunku strat i zysków uznaje się życie i zdrowie za wartości nadrzędne. Jak zauważa celnie filozof Jan Hartman, *dla współczesnego społeczeństwa ekonomiczne aspekty ratowania życia, podobnie jak kwestie zaprzestawiania leczenia, tak zwanej uporczywej terapii i odłączania urządzeń podtrzymujących funkcje życiowe, wciąż są niemalże tabu – poruszanie ich na gruncie publicznym, wychodzące poza rytualne zapewnienia o bezcenności życia ludzkiego, prowadzi do paniki moralnej. Bioetyka jest dobrym, lecz niestety rzadkim przykładem skutecznego oporu profesjonalnych elit wobec społecznego lęku będącego symptomem dezorientacji aksjologicznej, w którą popadliśmy*¹². Wykraczające poza statystyki zachorowań i zgonów koszty COVID-19 praktycznie nie są brane pod uwagę. Nie uwzględnia się w prognozach długoterminowych rezultatów dewastacji tkanki społecznej w zakresie edukacji, opieki medycznej nad cierpiącymi na inne niż wirus choroby, kultury, kształcenia i pielęgnowania umiejętności porozumiewania się oraz na wielu innych polach. Niektórzy próbują coś na ten temat pisać, ale ich głosy nikną pośród chóru zajętego skutkami krótkoterminowymi. Inni usiłują coś zamanifestować i bronią się przed uniformizacją dorysowując na płótnie i włókninie polipropylenowej wzorki, obrazki i wykonując napisy, inni sięgają po wyrafinowane stylizacje dobierając specjalne tkaniny, ozdoby, tiule i brokaty, próbują obśmiać lub zindywidualizować maseczkę. Ale jest ich mało, a ich działania sytuują się na granicy dowcipu. Pragmatyka podpowiada maseczkę lekarską lub po prostu kawałek szmatki zszytej w domu, która nieuchronnie przywołuje skojarzenia z instytucjami totalnymi, w których pojedyncze istnienie oraz jego prawo do ekspresji nie mają znaczenia, a zsunięta niechlujnie poniżej nosa czy ust przypomina owe opaski, który umarłym podwiązywano szczęki, gdy *rigor mortis* deformował ciało. Medykalizacja choroby i śmierci, stanowiąca częsty wątek w rozważaniach bioetyków, i w tej, jakby metaforycznej formie, daje o sobie znać. Jaki zapis zostawi w naszej podświadomości stałe obcowanie z takim komunikatem?

Nawet jeśli z powodu lęku, w akcie – jak wielu utrzymuje – społecznej solidarności, wreszcie: geście uległości wobec władzy, maseczki uznamy za słuszny wybór, nadal sposób ich traktowania czeka na szerszą refleksję, a ich używanie w sytuacjach, gdy nie jest to konieczne, opowiada o społeczeństwie coś więcej niż tylko, że jest subordynowane. Kieruje nas ku masce nie jako ochronie *własnego zachowania, swojego nagiego, autentycznego ja, lecz [ku czemuś, co] służy jego przekraczaniu*¹³, poza własne, jednostkowe poczucie tożsamości w zhomogenizowany świat ustalanych przez kogoś innego kryteriów. Absurdalność zasłaniania twarzy na pustej ulicy czy w lesie, w aucie, prowadzonym przez samotnego kierowcę, wreszcie w domu, w obecności bliskich,

których skąd inąd się przytula, całuje i trzyma za rękę, nasuwa myśl, że maska jest wyborem a nie przymusem, nawet nie rozsądną koniecznością. Że odczuwanie siebie jako jednostki niepowtarzalnej z jej ekspresyjnością, głównie przez twarz wyrażaną, jest czymś rzadkim, a nie powszechnym. A także, że proces społecznego ujednolicenia dokonał się, a masieczkowa obligacja po prostu dobrze się weń wpisuje wraz nijaką jej estetyką. Są i tacy, którzy wprost mówią, że ich twarze nie były godne uwagi ani dość ładne, i to dobrze, że można je zasłonić. Nie spełniający norm piękna kultury popularnej zasłonięci maseczką mniej rażą, a ich częściowe wyłączenie ze społecznej cyrkulacji sprawia ulgę wszystkim. Jakiegokolwiek zresztą są powody zakrywania twarzy, dokonuje się przejście od maski, która wyrażała i podkreślała indywidualność lub której nakładanie było gestem symbolicznym czy religijnym, do maseczki, która indywidualizm niweluje, a jej symbolika odsyła ku militarnym rygorom i śmierci.

Dlatego pielęgnuję wspomnienie matki mego ojca. Czy i ona nosiła maskę? Tak myślę. W rozumieniu socjologicznym – na pewno. Wypracowała formę surową i nieprzystępną, wyrazem twarzy chroniąc twarz rozumianą jako spójny system wartości. To, w co wierzyła i uważała za ważne. Podobnie jak inne osoby, które z mojej pamięci wyłaniają się ze swymi fizjonomiami nie po to, by się podobać lub dopasować do zmiennych oczekiwań środowiska, ale by przypominać mi, że w ciele ulegającym procesom deformacji i zniszczenia może mieszkać coś znacznie bardziej interesującego niż marzenia o spokojnym, przyjemnym życiu, sukcesie towarzyskim, egzotycznych wakacjach, a nawet niż budujące i cenne poczucie intelektualnej i fizycznej sprawności. Ich maski wydawały się żywić wspólnym krwiobiegiem z ich wnętrzem.

Zdaje się, iż obecnie, nie tylko masieczka pandemiczna, ale wiele innych typów masek, wytwarzanych przez stosunki społeczne i ekonomiczne oraz iluzje podtrzymywane przez media, a także quasi-masek, produkowanych skalpelem, substancją chemiczną czy technikami cyfrowymi, ma unieważnić to, co pod spodem. *Przejście od znaków, które coś skrywają, do znaków, które skrywają, że nic nie istnieje, stanowi decydujący zwrot*¹⁴, powiada Jean Baudrillard. Gdybyśmy więc mogli zajrzeć do wnętrza, pod maskę, byłoby być może jak u Rilkego: *Kobieta w nagłym przestrachu poderwała się zbyt ostro, zbyt prędko – i twarz pozostała w jej rozwartych dłoniach. Ujrzałem tam tę twarz, jej pustą formę, z nieopisanym wysiłkiem przykułem się do tych dłoni, aby nie zobaczyć tego, co się od nich oderwało. Groza mnie zdjęła na widok twarzy od środka, ale jeszcze więcej bałem się nagiej rany, tej głowy bez twarzy*¹⁵. ■

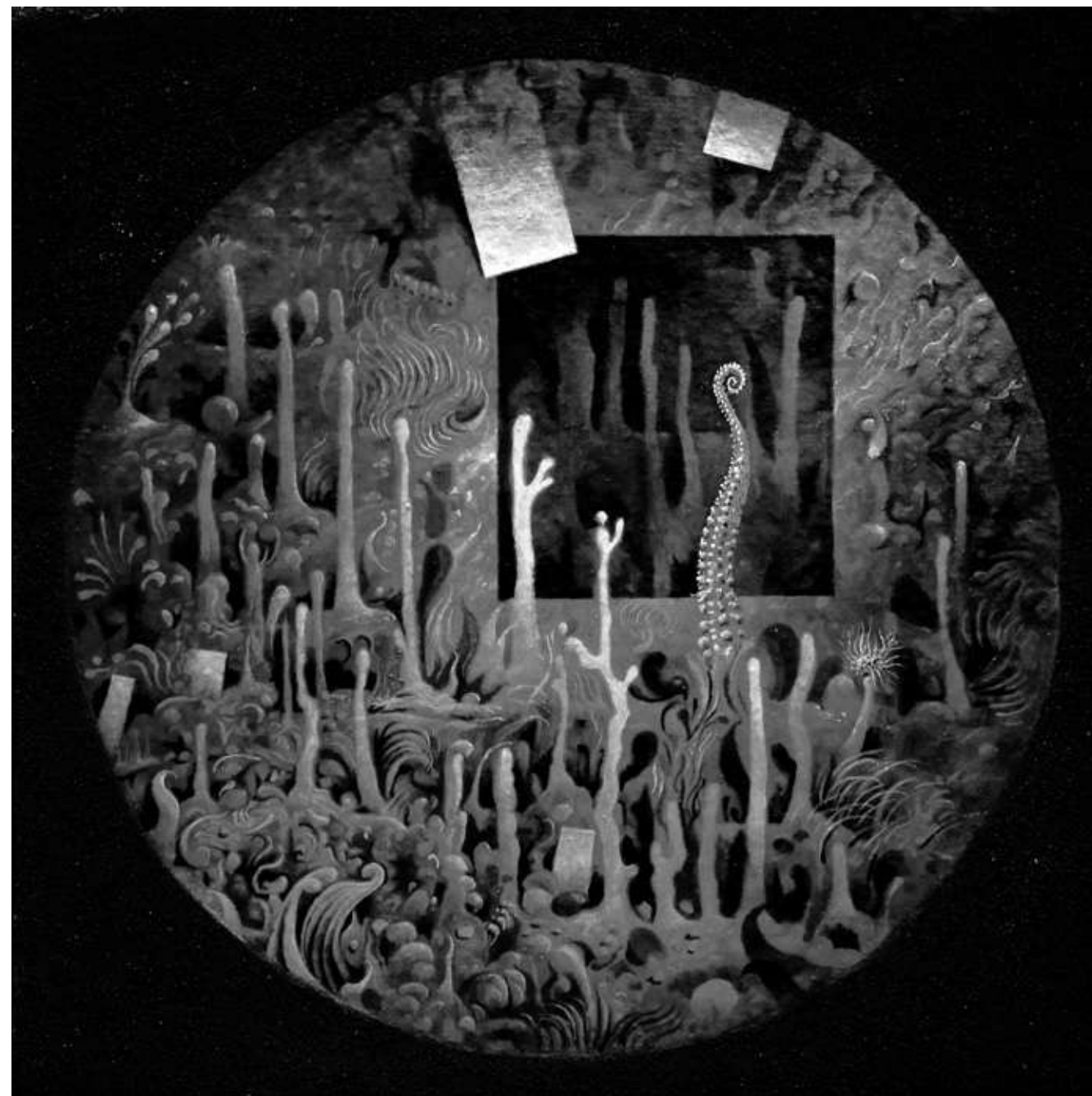
MONIKA BRAUN

¹² Jan Hartman, *Przestaliśmy się zastanawiać, po co nam życie. Skupiamy się tylko na tym, żeby było jak najdłuższe*, „Gazeta Wyborcza” 17 października 2020.

¹³ Susan Sontag, *op. cit.*, s. 222.

¹⁴ Jean Baudrillard, *Procesja symulaków*, [w:] *idem, op. cit.*, s. 12.

¹⁵ Rainer Maria Rilke, *op. cit.*, s. 18.



Wielkanocna Apokalipsa

Piątego kwietnia roku Pańskiego 1722 około godziny siedemnastej flotyła trzech holenderskich statków przemierzających bezkresny Pacyfik dostrzegła na horyzoncie wyspę. Ponieważ był to dzień Wielkiej Nocy, dowódca owej małej armady, komandor Jacob Roggeveen, nadał widocznej w oddali ziemi nazwę związaną z tym kalendarzowo katolickim świętem.

Rapa Nui, od przybycia Holendrów zwana Wyspą Wielkanocną, to w istocie niewielki, zagubiony na środku oceanu skrawek lądu pochodzenia wulkanicznego. Od położonych na wschodzie wybrzeży Chile w Ameryce Południowej, wysp Galapagos na północy, archipelagu Markizów oraz kontynentu australijskiego na zachodzie oddziela ją bez mała 3500 i więcej kilometrów oceanicznych przestrzeni. Jest to z pewnością jedno z najbardziej odseparowanych od reszty świata miejsc zasiedlonych przez ludzi.

Skupiłem swoją uwagę na tym skrawku Ziemi tylko z tego powodu, iż jest on jednym z koronnych argumentów zwolenników teorii o starożytnych kosmonautach. Ale czy słusznie? Na to pytanie spróbuję teraz odpowiedzieć.

ZASIEDLENIE RAPA NUI

Nie wiemy, czy koloniści pod wodzą legendarnego króla Hotu Matu'y przyплыли tu z własnej woli, czy raczej coś ich do tego zmusiło – jakaś katastrofa, przegrana wojna, konflikt plemienny, kara banicji... Faktem jest, że przybyli tu z rodzinami, z inwentarzem zwierzęcym: drobiem, świniami, psami, szczurami (które także były podstawą ich żywienia) i z nasionami roślin. To wskazuje na migrację zaplanowaną.

Kiedy do niej doszło?

Badając listy genealogiczne, opisujące imiona kolejnych wodzów i sięgające czasów Hotu Matu'a, Sebastian Englert doszedł do wniosku, że Hotu Matu'a i jego towarzysze przyплыli na Wyspę Wielkanocną nie wcześniej niż w XVI wieku. Tymczasem Metraux na tej samej podstawie umieścił ich przybycie w XII wieku. Później jednak archeologia udowodniła, dzięki datowaniu metodą radiowęglową, że ludzie byli na wyspie już w 640 roku

n.e., a być może nawet w IV wieku (choć pojedyncze daty należy zawsze traktować bardzo ostrożnie). To zgadzałoby się z inną legendą, według której od czasów Hotu Matu'y było 57 pokoleń władców, co przy założeniu przeciętnie 25 lat na jedno pokolenie dawałoby nam rok 450 n.e.¹ – napisali John Flenley i Paul Bahn, współautorzy książki „Tajemnice Wyspy Wielkanocnej”. Zatem ogromna rozpiętość powyższych dat dowodzi tylko tego, że ostrożnie należy podchodzić do wszelkich naukowych szacunków. Przyznam, że proponowane przez Flenley'a i Bahn'a datowanie wydaje mi się najwłaściwsze. Przekonuje mnie również ich pogląd, że kolonizacja była jednorazowa – rozłożenie jej na kilka etapów (jak niektórzy badacze sugerują) wydaje się mało realne z uwagi na znaczne oddalenie wyspy od innych lądów i niesprzyjające żegludze prądy oceaniczne. Ponadto takie wydarzenia z pewnością pozostawiłyby trwałe ślady w miejscowych legendach.

Dłuższy czas toczyły się naukowe debaty odnośnie kierunku tej migracji. Największym orędownikiem szlaku wschodniego, wiodącego z Ameryki Południowej, był sławny podróżnik i pisarz Thor Heyerdahl. Uważał on, że tutejsze rzeźby (*moai*), kamienne platformy (*ahu*), na których wiele *moai* umieszczono, rytymaskalne przedstawiające profile człowieka-ptaka, kamienne mury domów z ceremonialnej wsi Orongo i wiele innych artefaktów świadczą o ich boliwijskim rodowodzie – wiązał je z kulturą Tiahuanaco. Niemal na pewno się mylił. Późniejsze, bardzo wszechstronne i wnikliwe badania (również genetyczne) dotyczące tej populacji dowiodły jej wyraźnych i wielorakich związków z obszarem Polinezji. W opinii większości naukowców, na wyspę Rapa Nui koloniści przybyli z zachodu, być może z Hawajów lub Markizów. Według tutejszych ustnych przekazów Hotu Matu'a i jego współplemieńcy mieli pochodzić z dużej, zielonej, ciepłej wyspy położonej daleko na zachodzie, nazywanej przez nich Marae Renga. Mogło tu chodzić o Mangarewę lub jakąś inną wyspę z archipelagu Markizów. Inne legendy głoszą, że ich ojczyzną była wyspa Hiva. Wiemy, że na oddalonych o 3641 kilometrów Markizach są: Nuku Hiva, Fatu Hiva oraz Hiva Oa. Na tej ostatniej wyspie znajduje się kamienny posąg zwany Takaii, o wysokości 2,83 metra, umieszczony na platformie. Monolityczne rzeźby związane z ceremonialnymi platformami odnajdziemy również na wielu innych wyspach Polinezji i w Australii, co prawda: *nie są one podobne do rzeźb z Rapa Nui, lecz niewątpliwie zdradzają cechy wspólnego dziedzictwa i tradycji rzeźbiarskiej*².

NARODZINY I UPADEK RELIGII

Niezależnie od tego, skąd ludzie Hotu Matu'y przybyli, ich historię w największym skrócie można streścić tak: przyплыli, jak chcą legendy, na przeszło 30 metrowej łodzi przypominającej katamaran. Rozbili się na skałach klifu. Ci, co przeżyli, pobudowali

¹ J. Flenley, P. Bahn, *Tajemnice Wyspy Wielkanocnej*, AMBER, Warszawa 2003, s.79.

² Ibidem, s. 105.

chaty, domy i ośrodki kultu. Po kilku wiekach ich potomkowie, ogarnięci żarliwą religijną obsesją, w XI-XII wieku rozpoczęli stawianie na brzegach wyspy kamiennych platform, na których umieszczali *moai* – figury uosabiające wodzów oraz innych prominentnych członków tego społeczeństwa. Zarówno osoby żyjące, jak i zmarłe. Flenley i Bahn uważają, że różne klany zamieszkujące rozmaite rejony wyspy rywalizowały ze sobą w monumentalizmie i wspaniałości tworzonych obiektów kultu. Proces wznoszenia *ahu* oraz rzeźbienia *moai* z wulkanicznego tufu i rzadziej z innych rodzajów kamieni: czerwonej scorii, bazaltu i trachitu, trwał nieprzerwanie aż do końca XV wieku, kiedy powstały największe i najokazalsze monumenty. W XVI wieku zaczął się regres, nastąpiły wieki ciemne, zapanował długotrwały kryzys gospodarczy i demograficzny. Drzewa, z których, jak się sądzi, wytwarzano liny, rusztowania, dźwignie i rozmaite płozy potrzebne do transportu gigantycznych rzeźb, zostały do ostatniego wycięte. Zatem nic nie zatrzymywało wilgoci, brakowało cienia, wyjałowiona gleba nie dawała plonów, środowisko naturalne zostało bezpowrotnie, kompletnie zdegradowane, wyginęły endemiczne gatunki ptaków, a to oznacza pustoszenie upraw przez owady. Zaczęło brakować żywności, nastał głód, zniechęcenie i zbiorowa apatia, w ślad za nią upadek wiary. Pod koniec XVIII wieku, po przeszło tysiącletnim okresie pokoju, rozpoczęły się wojny. Archeolodzy znaleźli duże ilości szczątków ludzkich, tysiące obsydianowych sztyletów *mataa* i grotów włóczni z tego okresu. W roku Pańskim 1770 (pół wieku po Holendrach) przyплыли hiszpańscy żeglarze. *Gonzalez wręczył miejscowym wodzom i kapłanom proklamację aneksji, aby „podpisali ją znakami w kształcie ich pisma”³*. Znaki postawione na tym akcie bezwarunkowej kapitulacji przypominały tutejsze ryty naskalne. Pierwszego marca 1774 roku u wybrzeży wyspy zacumowały dwa angielskie okręty: Resolution i Adventure, dowodzone przez kapitana Jamesa Cooka. Po zlustrowaniu okolicy Cook napisał: *Żaden naród nigdy nie będzie domagał się chwały odkrycia Wyspy Wielkanocnej, trudno bowiem znaleźć na tym morzu wyspę oferującą mniej możliwości wytchnienia i udogodnień dla żeglugi niż ona*⁴. Mylił się, na ten wątpliwy splendor połąsili się wszak Hiszpanie. Nie jest wykluczone, że między tymi trzema wizytami Europejczyków, a także przed nimi i po nich, mogli tu docierać piraci, statki wielorybiczne i galeony handlarzy niewolników. Czy była to owa przysłowiowa kropla przepełniająca czarę goryczy? Kropla przesądzająca o losie tutejszych pomników? Stało się bowiem tak, że niedługo po utracie przez wyspę niepodległości, w ciągu paru zaledwie tygodni lub miesięcy, *moai* zostały przewrócone, a niektóre z nich nawet z premedytacją pokawałkowane. Jak wiemy z historii, obalanie pomników zawsze wiązało się z wojnami, buntami, rewoltami przynoszącymi gwałtowne przemiany społeczno-ustrojowe. W tamtym burzliwym okresie, jak można przypuszczać, kult przodków został przez ludność wyspy odrzucony.

³ Ibidem, s. 175.

⁴ Ibidem, s. 21.

Później zastąpiono go wiarą w boga-stwórcę Makemake (znanego z Markizów) i kultem człowieka-ptaka. Wierzeniom tym towarzyszyły obrzędy odnoszące się do płodności i urodzaju (tak pożądanych w tych niespokojnych czasach). W wieku XIX pojawili się na wyspie katolicy misjonarze, a w wieku XX turyści – przedstawiciele skomercjalizowanego, zewnętrznego świata. To dla nich pobudowano luksusowe hotele, infrastrukturę, również lotnisko, i sprowadzono dźwigi, które na powrót ustawiły *moai* na *ahu*... Rzecz jasna jako największą miejscową atrakcję.

AHU, MOAI I PUKAO

W czasie rozkwitu (między XI a XV wiekiem) wzniesiono tu nie mniej niż 313 platform ciągnących się gęstym kordonem wzdłuż linii brzegowej wyspy. Największe z *ahu* są długie na ponad 150 metrów i wznoszą się na wysokość ponad 4 metrów. Ustawiano na nich od kilku do piętnastu *moai* mierzących od dwóch do prawie dziesięciu metrów. Niemal 10 metrów liczy posąg zwany Pero, niegdyś ustawiony na Ahu Te Pita Kura. Jest szeroki na 3,2 metra i waży 82 tony! Niektórym z umieszczonych na platformach posągów dodano swoisty rodzaj nakrycia głowy – *pukao*, znany też z wysp Polinezji. Symbolizował on wysoką pozycję społeczną wyrzeźbionych postaci. *Pukao* były wytwarzane z czerwonego kamienia, a ich waga często przekraczała 2 tony. Na przybrzeżnych platformach stoi 164 *moai*; do tej pory na wyspie zinwentaryzowano ich 887, z czego niemal połowa (397) znajduje się w kamieniołomie w obrębie wygasłego wulkanu Rano Raraku (leżą na plecach, większość z nich nieodcięta z macierzystej skały). Wiele *moai* jest zakopanych w ziemi po szyję, znajdują się na zewnętrznych stokach Rano Raraku oraz na innych zboczach wyspy.

Czy produkowano je na społeczne lub prywatne zamówienie? Czy ich rzeźbieniem zajmowały się wyspecjalizowane w tej profesji klany (co zasugerowali w swojej książce Flenley i Bahn)? *Największy posąg, jaki kiedykolwiek wyrzeźbiono, nazywany El Gigante, był 20-metrowym olbrzymem o masie 270 ton; uważa się jednak powszechnie, że jego przetransportowanie, a tym bardziej podniesienie, wykraczało poza i tak godne podziwu możliwości mieszkańców wyspy (...). Niedokończony i porzucony w kamieniołomie Rano Raraku sam w sobie stanowi zagadkę: czy został wykonany na rozkaz jednego, opętanego manią wielkości człowieka, czy też grupy? Czy robotnicy porzucili go, kiedy zdali sobie sprawę, że rzeźbiąc posąg, którego nie dadzą rady ustawić, trudzą się na darmo? Mieszkańcy wyspy powiedzieli Thomsonowi w 1886 roku, że platforma Takimi była ostatnia, jaka została zbudowana, i miał na niej stanąć ten właśnie posąg. A może, jak sądzą niektórzy naukowcy, rzeźba ta nie miała nigdy być ustawiona, lecz stanowiła (jak wiele innych leżących posągów) rodzaj gigantycznego petroglifu, podobnie jak leżące postacie na nagrobkach w europejskich katedrach?*⁵

⁵ Ibidem, s. 107.

Na wyspie Rapa Nui roi się od zagadek i związanych z nimi hipotez. Naukowcy przeprowadzali próby transportu tych wielotonowych rzeźb umieszczając je w pozycji horyzontalnej – na plecach lub brzuchu, na rozmaitych płozach i rolkach, których tarcie niwelowano podkładaną trawą, albo przemieszczano je na stojąco – za pomocą chwiania (tak jak przesuwamy lodówkę). Wymyślono też rozmaite pochylnie, umożliwiające umieszczanie *moai* na wysokich platformach, a potem kilkutonowych *pukao* na ich głowach. Niektóre z tych eksperymentów były obiecujące, nie wyjaśniły jednak, jaką metodą przetransportowano i ustawiono na wysokim *ahu* 82 tonowego kolosa zwanego Paro. Niedawno odkryto na zboczach rodzaj rynnowych traktów o przekroju liter U i V prowadzących do kamieniołomu w Rano Raraku. Flenley i Bahn przypominili, iż: *naukowcy zawsze zakładali, że drogi na wyspie były płaskie i poziome, i (w tej sytuacji) żadna z proponowanych dotychczas technik (transportu) nie pasuje do struktury odkrytych dróg*.⁶ Technologie płóz, rolek i sań, czy nawet przesuwanie za pomocą chwiania z pewnością nie nadają się do stosowania na tych wykutych w skale szlakach komunikacyjnych. Stwierdzili zatem, że kwestię transportu *moai* trzeba przemyśleć na nowo, czyli uznać, że w chwili obecnej jest nierozstrzygnięta.

Można natomiast w pełni zgodzić się z ich poglądem, że prawie 900 znajdujących się na wyspie *moai* wykuto w ciągu połowy tysiąclecia. Dokonano tego za pomocą kamiennych siekier i ostrych, bazaltowych *toki* (pięściaków). W kamieniołomie znaleziono ogromne ilości tych narzędzi. Naukowcy obliczyli, że grupa 6 ludzi rozmieszczonych co pół metra była w stanie ukończyć pięciometrowy posąg w 12 – 15 miesięcy. Wynika z tego, że 20 lub 25 doświadczonych rzeźbiarzy zatrudnianych do tej pracy przez 450-500 lat było w stanie wykuć wszystkie znalezione na wyspie posągi.

ARINGA ORA

Większość platform biegnie równolegle do wybrzeża, blisko morza. Kilkanaście najbardziej okazałych *ahu* ma ukierunkowanie solarne bądź lunarne uwzględniające dni letnich i zimowych przesilen lub równonocy. Przypuszcza się, że szczyt Poike był znacznikiem kalendarzowym, bo w dniu przesilenia zimowego słońce widziane z ceremonialnej wioski Orongo wschodziło dokładnie nad nim. Na północno-zachodnim krańcu wyspy, w Matariki, znajduje się zespół 56 małych dołkowych zagłębień, tzw. *cup marks*, kojarzących się z megalitycznymi kręgami, będących przypuszczalnie rodzajem astronomicznej mapy. Wszystkie *moai* z nadbrzeżnych szpalerów skierowane są twarzami do lądu. Na widocznych od strony oceanu plecach wielu z nich wryto „tatuaze” przedstawiające schematyczny kształt maski z oczami. Motyw widywany także często w sztuce naskalnej Hawajów oraz na Markizach (być może symbol ducha?).

⁶ Ibidem, s. 131.

Dzięki odkryciu archeolożki Soni Haoa wiemy, że *moai* pierwotnie miały oczy zrobione z białego koralu i krążka czerwonej scorii, a ich wzrok skierowany był w niebo.

*Nigdy nie natknęliśmy się na ślad jakiegokolwiek kultu i nie sądzę, żeby ktoś uważał te posągi za idole, choć wyspiarze okazują im szacunek*⁷ – napisał de La Pérouse w 1786 roku. *Nawet dzisiaj każdy starszy mieszkaniec Rapa Nui dobrze zna nazwy wszystkich posągów, niezależnie od tego, czy wciąż jeszcze stoją, czy zostały przewrócone, i okazuje im wielki szacunek*⁸ – stwierdził z kolei, w 1882 roku, Geiseler. Marynarze Cooka słyszeli, że wyspiarze określali *moai* zbiorową nazwą *aringa ora* („żyjące twarze”), niektóre z nich terminem *ariki* („wódz”), były też takie, które miały przydomki, a nawet dowcipne przezwiska typu: Skręcona Szyja, Wytatuowany, Śmierdziel itp.

*Te wznoszące się pionowo ku niebu rzeźby na poziomych platformach wokół wybrzeża stanowiły świętą barierę oddzielającą dwa światy, były pośrednikami między ludźmi a bogami, między życiem a śmiercią. Tego rodzaju strefy przejściowe mają ogromne znaczenie rytualne we wszystkich ludzkich społeczeństwach. Figury przodków, zwrócone twarzami w głąb lądu, ku wsiom, a plecami w stronę morza, zapewniały prawdopodobnie ochronę i bezpieczeństwo. Analogii można szukać na przykład na indonezyjskiej wyspie Sulawesi (Celebes), gdzie na wysokich klifach ustawia się drewniane figury zmarłych, z inkrustowanymi oczami, ubrane w szaty i nakrycia głowy, aby ich duchy mogły zawsze czuwać nad wioską*⁹ – napisali autorzy „Tajemnic Wyspy Wielkanocnej”. I nie sposób się z nimi nie zgodzić.

TRAGIKOMICZNA ODMIANA MEGALITYZMU

W podsumowaniu pozwolę sobie na własną interpretację zdarzeń. Uważam, że społeczność Rapa Nui wykształciła na przestrzeni setek lat jedyną w swoim rodzaju odmianę megalitycznej teokracji. Jak pamiętamy, w megalityzmie kult Wielkiej Matki związany z płodnością i odradzaniem się życia, łączył się z kultem przodków zapewniającym ciągłość trwania wspólnoty. Menhiry i betyle symbolizowały konkretne osoby; często ustawiano je w święte kręgi, żeby odgradzały wewnętrzną przestrzeń – ochroną, uświęconą, sakralną od tej zewnętrznej – wrogiej i groźnej – obcej. Niektóre z tych głazów przekształcano czasem w stele przedstawiające symboliczne wizerunki kapłanek i kapłanów oraz wielkich wodzów. Kręgi pełniły również istotne dla społeczności funkcje kalendarzowe. Podobieństwa są oczywiste. Wyspa Wielkanocna była dla jej mieszkańców magicznym kręgiem – sferą sakralną chronioną przez duchy przodków. Menhirów ani betyli na wyspie nie było. Ich rolę pełniły stele-pomniki wykuwane

⁷ Ibidem, s. 109.

⁸ Ibidem, s. 110.

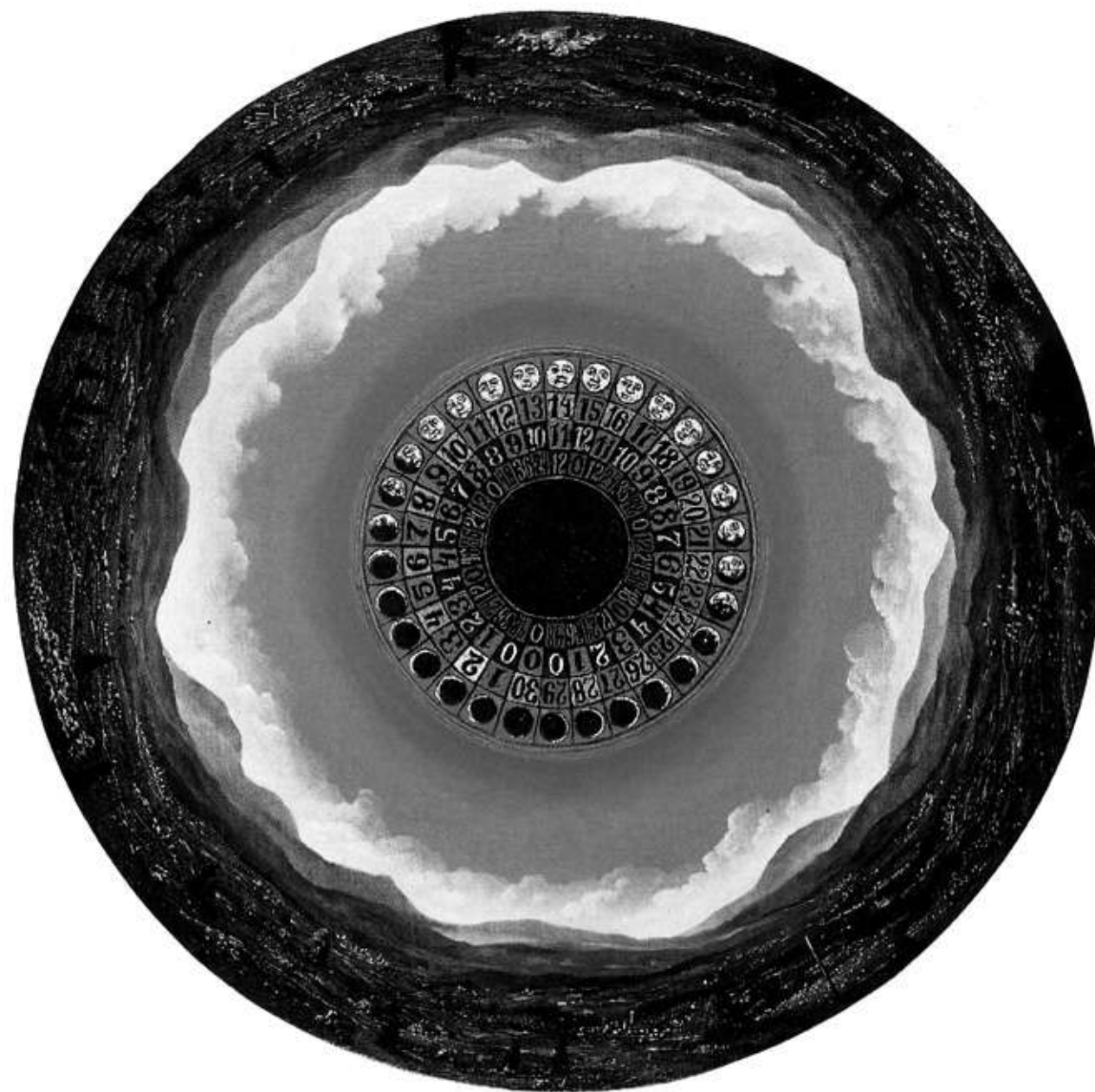
⁹ Ibidem, s. 111.

przede wszystkim z tufu wulkanicznego. Zakładam, że tutejszy odłam megalityzmu stworzyli mężczyźni, bo kult Wielkiej Matki (o proveniencji matriarchalnej) został tu zupełnie wyparty bądź zmarginalizowany (tylko w nielicznych *moai* można się dopatrzeć wizerunków kobiet). Podstawę religii stanowił kult przodków reprezentowanych głównie przez wodzów-mężczyzn. Ta ryzykowna modyfikacja – „amputacja” żeńskich elementów religijnej doktryny, tych związanych z płodnością i urodzajem, skutkowa-ła w okresie późniejszym całkowitą dewastacją środowiska naturalnego wyspy. Był to zaiste tragikomiczny finał. Co więcej, wygląda na to, iż w powszechnym odczuciu tubylców, duchy przodków opasujące wyspę szczelnym kordonem, zawiodły ich oczekiwania – przestały chronić przed zewnętrznym światem. Zatem bezużyteczne idole zostały przez rozsierdzony lud obalone. Stało się to wkrótce po podpisaniu przez kapłanów i wodzów dokumentu aneksji wyspy przez katolickie Królestwo Hiszpanii, w drugiej połowie XVIII wieku.

Koncepcja przyjęcia nowej wiary – z bogiem-stwórcą Makemake w centrum, postacią człowieka-ptaka, kultem płodności i urodzaju, była z pewnością słuszną, ale niestety, o kilka stuleci spóźnioną. Ekologicznej katastrofy żadne, najżarliwsze nawet modły, czary i zaklęcia cofnąć już nie mogły. Tak zwykle dzieje się, gdy porządki wyobrażone – fikcje brane za prawdę – stają się wbrew racjonalnym przesłankom, głównym czy wręcz jedynym motorem kształtowania społecznych norm i płynących z nich zachowań. Na tym odseparowanym od reszty świata skrawku lądu paradoksalnie uzyskano efekt odwrotny od zamierzonego, co na ironię zakrawa – duchy przodków, w postaci *moai* ustawianych w religijnym obłędzie na *ahu*, zamiast ludność wyspy chronić przed wyimaginowanym zewnętrznym złem, sprowadziły na *Rapa Nui* zło: w postaci realnej ekologicznej zagłady. Bo przecież, o czym tutejsi przywódcy duchowi najwidoczniej nie wiedzieli, albo nie chcieli wiedzieć, zło bierze się z wewnątrz – z każdego z nas – z naszej głupoty, pazerności, braku umiarkowania i przewidywania – z ludzkiej, nieliczącej się z niczym i nikim hydry egotyzmu.

Dla mnie Wyspa Wielkanocna nie tyle jest zagadką, co raczej naszą planetą w miniatu-
rze. Jej tragiczna historia może być dla nas przestrogą na nadchodzącą przyszłość. Z tą jednak różnicą, że nie liczyłbym na to, że jacyś „turyści” z zewnętrznego świata, gdy już katastrofa ekologiczna Ziemi stanie się dla wszystkich oczywistym faktem, przybędą nam – jej sprawcom – na ratunek. ■

JANUSZ JAROSZEWSKI



Projekcja

Byłby to bezsprzecznie doskonały sposób na wydłużenie sobie życia, przynajmniej w jego terminalno-wegetatywnym zakresie – o ile, przypuścimy dość karkołomnie, że dany, hipotetyczny widz przykładałby do tego rodzaju istnienia jakikolwiek ciężar gatunkowy.

Zwizualizowana ekranowa wersja czysto biologicznego trwania posuniętej w latach, płaskiej, bezrefleksyjnej, trywialnej, na wskroś przewidywalnej antybohaterki (zasadniczy wątek owej filmowej narracji) stale coś jedzącej, pichcącej, niedosłyszającej (co w oczywisty sposób implikowało szczególnie zbanalizowany typ powtórzeń w wysocce naturalistycznych, bełkotliwych dialogach), siorbiącej przed kamerą cienką herbatkę lub/oraz – na przemian – snującej się w nieforemnym swetrze w prążki i w wydepantych łapciach po wyfroterowanych do lustrzanego połysku (przez jakąś najpewniej portorykańską, anonimową pomoc na godziny) parkietowych klepkach podłóg swojego obszernego, choć pozbawionego jakiegokolwiek zindywidualizowanego sztafażu lokum w jakiejś brukselskiej kamienicy. Owa z gruntu niszowa, rozciągliwa guma kisielowatej magmy dokumentalnej, o druzgocącej rozpiętości 2,10 h, rejestrująca beznamietnie tę zobiektywizowaną nicość egzystencji, dzięki wybitnej negacji (przez reżyserkę) jakichkolwiek rozsądnych standardów montażu wyznaczonych dla kina autorsko-kontekstualnego (i każdego innego) fenomenalnie wydłużała widzom (zwabionym przez organizatorów krzykliwymi reklamami w prasie i internetowych mediach) sekundy, minuty i kwadransy opisanej projekcji (mniejsza o jej tytuł), kończącej doroczny Europejski Festiwal Kina Niezależnego.

Przypadkowy widz, zblazowany profesor astronomii, siedzący w przedostatnim rzędzie, w na pół wypełnionej sali kinowej nr 2 (tej w rozmiarze L, lub nawet LM – czyli kameralnej, a może studyjnej?), w której dokonywała się na odbiorcach owa psychologiczna tortura, już w trakcie pierwszej sceny prezentującej powiewający w porywistym wietrze krzak na jakimś półpustynnym, jałowym pustkowiu, gdzieś w połowie pierwszej minuty tej sceny (trwającej w istocie około 7 min.) odniósł przemożne wrażenie, że rozwleka się ona (ta scena) nieskończenie długo, dużo za długo i, że jest żenująco, wręcz obscenicznie rozmamłana i wyprana z jakichkolwiek symbolicznych znaczeń! Wytrzebiona (w jego druzgocącej ocenie) z nich (owych znaczeń) w stopniu absolutnym (!) z uwagi na bezsporny fakt, iż ów powiewający na wietrze, symboliczny roślinny

motyw, był już wcześniej permanentnie eksploatowany przez innych „ambitnych” twórców, w ich „ambitnych” filmach z kategorii kina autorsko-niszowo-niezależnego, a też kina komercyjnie-popularnego, w rozmaitych klipach muzycznych, w rozlicznych dokumentach traktujących o bezsprzecznej grozie Holocaustu, a nawet w dwóch reklamach piwa marki „Bieszczady”! Był ów „poetycki” motyw eksploatowany w nieodległej przeszłości wciąż i wciąż w tym samym ponawianym celu wywoływania w świadomości i wrażliwej psychice bezwolnych (w teorii) widzów poważnej, onirycznej refleksji, wręcz medytacji doświadczanej w celu osiągnięcia stanu totalnej alienacji, dojmującej samotności czy wręcz hipnotycznej zadumy nad nieuchronnością bezsensownych zdarzeń, czyli nad owym osławionym „przemijaniem” (z przykrością używam w tym kontekście niezmiernie literacko wyświechtanych określeń: „nieuchronność zdarzeń” i „przemijanie”, ale zapewniam – nic innego ani mnie, ani Przypadkowemu Widzowi z Przedostatniego Rzędu Sali nr 2 nie przyszło w tamtej jałowej chwili do głowy).

PWzPRzSnr2 już w połowie pierwszej (opisanej) sceny poczuł się urażony. Zażenowany i znieważony przez autorkę tego dokumentalnego czegoś. Był zde gustowany faktem, iż ona jako twórczyni – dostarczycielka strawy dla ducha (co by nie mówić) miała czelność potraktować jego (jej widza) jak przysłowiowego prostaczka z prowincji, ćwierćinteligenta, analfabetę filmowego, którego ambiwalentnymi odczuciami i złożonymi procesami myślowymi można, a nawet należy (w jej opinii) w ten prymitywny, siekierą ciosany sposób moderować.

Na początku drugiej sceny (trwającej pięć minut z okładem!) przedstawiającej wnętrze pustego mieszkania – pustego w znaczeniu braku oznak życia, jak również w sensie jego surowego wystroju pozbawionego – jak wcześniej sygnalizowaliśmy – interesującą zindywidualizowanych cech typu: obrazy, książki, nostalgiczne zdjęcia rodzinne na ścianach, urny z prochami nieboszczyków-mężów, ciekawe kolekcje szklanych figurek w gablotach, chińskiej porcelany tu i ówdzie rozmieszczonej, infantylnych lalek z dzieciństwa, makatek własnego wyrobu, dyplomów w ramkach, sztyletów powieszonych w rzędach, wypreparowanych zwierząt upolowanych własnoręcznie – jelenie, bizona, lwy, tygrysy, nosorożce... lub ukochanych przed laty – koty, psy, kanarki, świnki morskie... Niczego takiego tam nie było. Tylko: drzwi, okna, klamki, stoły, krzesła, poduszki na kanapach i wyfroterowane do połysku posadzki, oraz jeden donicowy kwiat typu fikus – dobrze utrzymany (to trzeba obiektywnie przyznać). Otóż już na początku tej beznamietnie rejestrowanej sceny PWzPRzSnr2 poczuł, że właśnie oblażył go pchły osierocone najwidoczniej przez jakiegoś wcześniejszego gościa festiwalowego; drapiąc się zatem po prawej, zaatakowanej przez nie łydce, rozważał w duchu ewentualność wytrwania w tej kameralnej/studyjnej sali jeszcze ze trzech lub czterech scen, w nadziei, że jego siedząca obok partnerka – Superwytrwała i Ultratolerancyjna dla twórców filmowych Kinomaniaczka, też może znuży się, zamęczy i zadręczy monotonią płynących

z ekranu obrazów i da się wyprowadzić z tej jakże żenującej analizy wegetatywno-terminalnych stron ludzkiej egzystencji.

Ostateczną opinię na temat filmu wyrobił sobie po obejrzeniu sceny nr 3 (489 sekund) oraz nr 4 (578 sekund) – precyzyjne miary sekundowe odmierzył bezgłośnie, w myślach, odginając wielokrotnie, po kolei, palce obu rąk. W scenie nr 5 już nie liczył czasu, tylko, drapiąc się po lewym boku anektowanego wtedy przez pchły swojego brzucha, rozmyślał z przymkniętymi oczami o zawiłych i pokrętnych szlakach, po których prześlizgują się ambitne filmowe produkcje ambitnych, ustosunkowanych w branży reżyserów-reżyserek, oraz dumał o ich tajemnych związkach z prominentnymi kuratorami-kuratkami filmowych, międzynarodowych, świetnie nagłośnionych w mediach festiwalu. Rozmyślał także o rozmaitych zakulisowych interakcjach między tymi ludźmi, o zacisznych salonikach, gabinetach i gwarnych bankietach, wewnątrz i w ramach których do owych ustaleń pracownicy dochodzono i je potem konsumowano autorytarnymi decyzjami, ku radości i zadowoleniu wszystkich zainteresowanych podmiotów (być może z pominięciem jednak interesów szarych, niesłusznie zunifikowanych przez branżę widzów?).

W trakcie szóstego ujęcia – tego, gdy beznamiętnie rejestrowana kamerą antybohaterka (prywatnie będąca matką reżyserki) ponownie (jak w scenie nr 4) jadła w swojej sterylnej kuchni obiad z plastikowej miski, siorbiąc i mlaskając przy tym w charakterystyczny dla siebie sposób – nasz PWzPRzSnr2 nachylił się do swojej partnerki i szepem zapytał: „Ile zostało do końca?”. Ona spojrzała na swój mały, poręczny, podświetlany zegarek marki Zenith i odszepnęła, że nieco ponad godzinę. „To idę” mruknął niemal bezdźwięcznie, lecz zdecydowanie. Po czym – nie oglądając się na nic i nikogo – wstał, wykonał półobrót i ostrożnie prześliznął się do majaczącego w półmroku wyjścia (podobnie jak wcześniej uczyniła to jakaś 1/3 poirytowanych widzów).

To, co ujrzał w hollu kina, na przystanku, a potem w tramwaju przeszło jego najśmielsze wyobrażenia. Była to jakaś permanentna, wszechobecna, olśniewająca Epifania! Zawładnęła nim niewiarygodna, fundamentalna, wręcz transcendentalna iluminacja kształtów i znaczeń. Mijani ludzie przypominali... co tam przypominali – oni BYLI Olimpijskimi Bogami! Ich różnobarwne stroje migocące w słońcu, sylwetki bez najmniejszego zarzutu, dziarskie ruchy i gesty, promienne oblicza, włosy wypielęgowane odżywkami, fascynujące stylizacje, tatuaże, no i wreszcie prowadzone przez nich (za pomocą lśniących, przenośnych urządzeń) pozornie banalne rozmowy o sprawach bieżących typu: „Starenia, jadę, no jadę, będę *about* za kwadrans. Pasi?”, „Tak. Tak. No w mordę, przecież staram się... No tak. Ja ciebie też”, „Mówisz? Ale siara!”, albo: „Weź się wyluzuj, bo wiesz, ona to... no sama rozumiesz” brzmiały w jego uszach niczym *Dialogi z Timajos*, strofy Dantego lub rodzaj heglowskich zwartych notacji rozstrzygających doniosłe kwestie społecznego współistnienia na niewiarygodnie wyśrubowanym intelektualnie

poziomie szesnastego piętra wtajemniczenia *Zen*. Nigdzie nie dostrzegął żadnych symptomów apatii, depersonalizacji, dystrofii, derealizacji, anhedonii, żadnych psychosomatycznych nerwic, depresji i dwubiegunowych rozdarć, które wszędzie przedtem ewidentnie rejestrował... Świat najwyraźniej (choć to przecież niemożliwe!) podczas jego krótkiego, choć pozornie nieskończenie długiego, pobytu w kinie, uległ najpewniej gruntownej oświeceniowej modernizacji – wypiękniał, wypachnił się, odświeżył i się psychologicznie oraz socjologicznie cudownie (bez dwóch zdań) uzdrowił!... niestety... tylko do kolejnego poranka!

Dlatego nie dziwny się, że nasz były PWzPRzSnr2 już podczas wczesnego, wspólnego śniadania uznał za zasadne (a nawet bezwzględnie konieczne) zapytać swoją partnerkę:

– Nie poszłabyś do kina?

– Na co? (*zdziwiła się*).

– Na wczorajszy film.

– Już go nie grają. Festiwal się skończył (*przypomniała mu*).

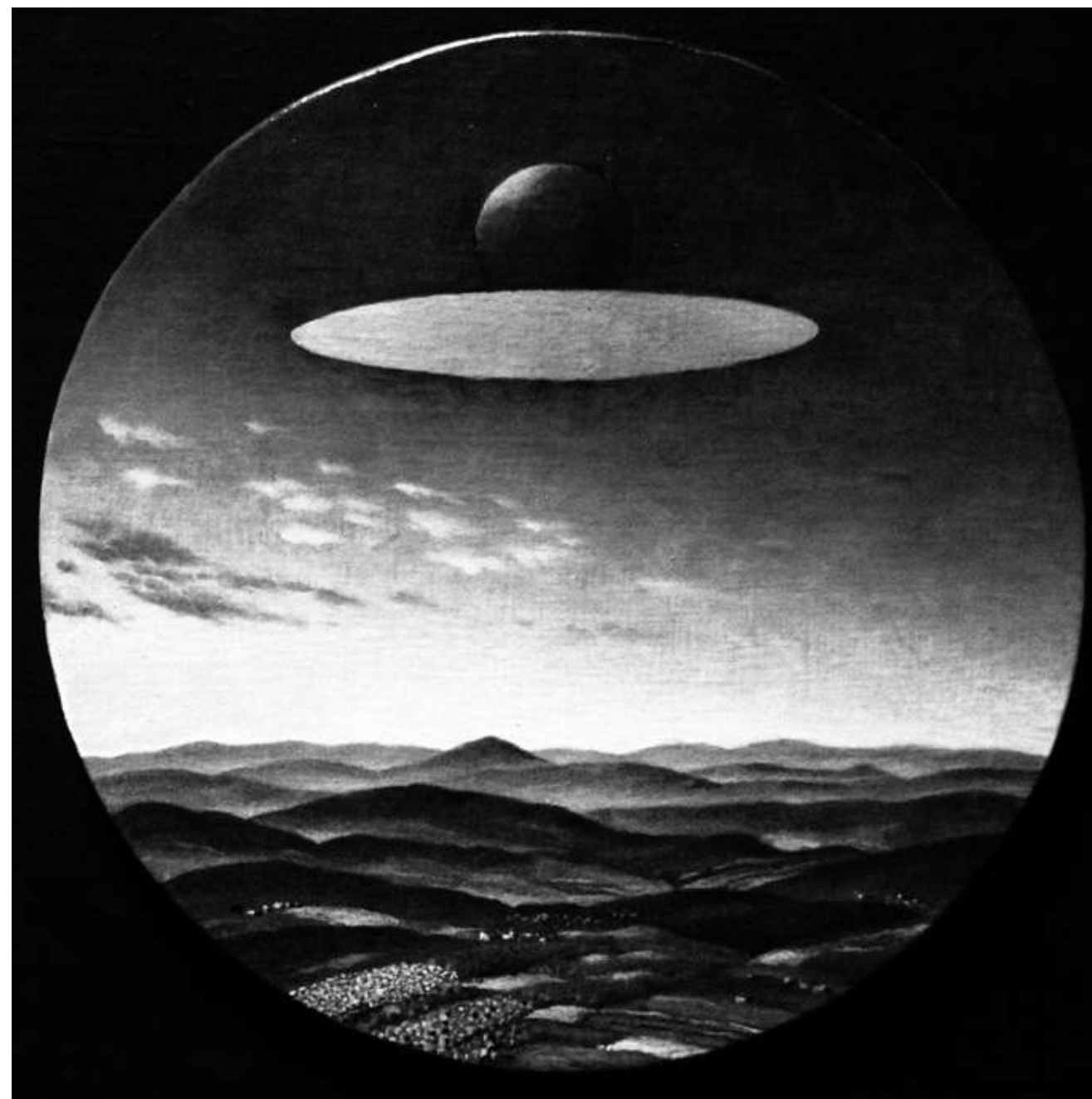
– Tak. To bardzo szkoda (*stwierdził z nieukrywanym żalem*).

– Ja tam nie żałuję, wierz mi, ten film był bardzo, ale to bardzo kiepski i nic, naprawdę nic nie straciłeś wychodząc w jego połowie.

Zapewniła go z pełnym przekonaniem wyrażonym promiennym uśmiechem... W którym to uśmiechu on dostrzegł niewyraźne, zamazane, mgliste kontury wczorajszej oszałamiająco podniosłej, oczyszczającej świat cały Epifanii. ■

27-31.07.2016.

JANUSZ JAROSZEWSKI



Majowe pola

Było późne popołudnie, wydarzenia wybrzmiały i nic nie wskazywało, że ten zwyczajny kolejny dzień będzie zapamiętany na lata nie tylko przez Michała, ale całą ulicę majowych pól w Londynie. Kiedy o godzinie 19.30 Michał otworzył drzwi, aby udać się do pracy w British Museum, gdzie pracował od lat 20 jako stróż nocny, uderzyła go fala muzyki na żywo. Niemiecka pieśń defiladowa była tak intensywna, że cofnął się w tył, nie wiedząc dokładnie, czy jest w realu.

Rozejrzał się, wszystko było na swoim miejscu, wytarty karpety, sterty ulotek, morze zastygłe na obrazie. O co chodzi? Orkiestra tymczasem nie ustawała. Muzyka potęgowała i pięćdziesięcioletni Michał nie bardzo wiedział, co począć.

Z dolnego pokoju tymczasem wyszedł mój brat, a z dwóch górnych drugi brat i jeszcze ten Francuz, którego imienia nie pamiętam. Wszyscy śpiewali naprzemiennie hymn państwowy i sto lat po polsku, na koniec wręczono solenizantowi płytę gramofonową.

– To prezent, najlepszego i drugie tyle od nas wszystkich.

Wciąż oszołomiony spojrzał na płytę i otwarte drzwi. Muzyka nie ustawała. Podniosły marsz znany z filmu *Pociągi pod specjalnym nadzorem* kołysał teraz pięknie, kołował ból. Stworzony, aby się nie bać śmierci i życia, sprawił, że Michał chciał czy nie, wziął głębszy oddech, wyprostował się bardziej i wyszedł. Orkiestra dęta, wynajęta na tę okoliczność z Posku przy Hammersmith, ubrana była odświętnie w stroje śląskich górników. Trąbki, puzony, a nawet bęben i talerz co rusz w ruchu.

– Odwagi, Michał, to Twój dzień.

Wyprostował się, otarł łzę i ruszył w kierunku stacji metra na Picadilly Line, a muzyka nieprzerwanie prowadziła go przez całą drogę. Było to tak duże wydarzenie, że lokalna prasa wydała w następnym tygodniu na całą stronę komunikat i podziękowanie. Od nalotu Niemców na Anglię nie widziano tutaj takiej defilady. Cała ulica kto żyw przyłączał się do marszu. Mój starszy brat nie wierzył i wciąż szeptał *I cant believe*, a młodszy nie przestawał się powtarzać – Muszą się dołożyć. Wracać do domów, to nasza orkiestra – krzyczał.

Taka radość i szczęście spłynęło na wszystkich wyrąbane, że chciano rzeki zwracać i w ogóle robić jakieś niestworzone rzeczy. Starsi salutowali, dzieci biły brawo. Otwierano okna, machano kolorowymi chustami. Cały wieczór w pobliskim pubie Spining Wheel tamtejsza Polonia w liczbie sześciu osób omawiała to wydarzenie. Niektórzy

przez chwilę rozmyślali, czym jest piękno. Ale wszystkie te migotki jednak nikły w porównaniu z marszem. Blisko 20 osób z orkiestry i Michał na przodzie. Z tyłu bracia, ja i ten Francuz, a za nami co rusz ktoś dołączał, aż do stacji Nordfields. Auta trąbiły, a muzyka z minuty na minutę potęgowała. Miała w sobie wszystkie nuty życia – gorycz, słodki ból, i potęgę tryumfu. To było coś. Boże, jak oni grali! Nie dało się przejść i nie płakać.

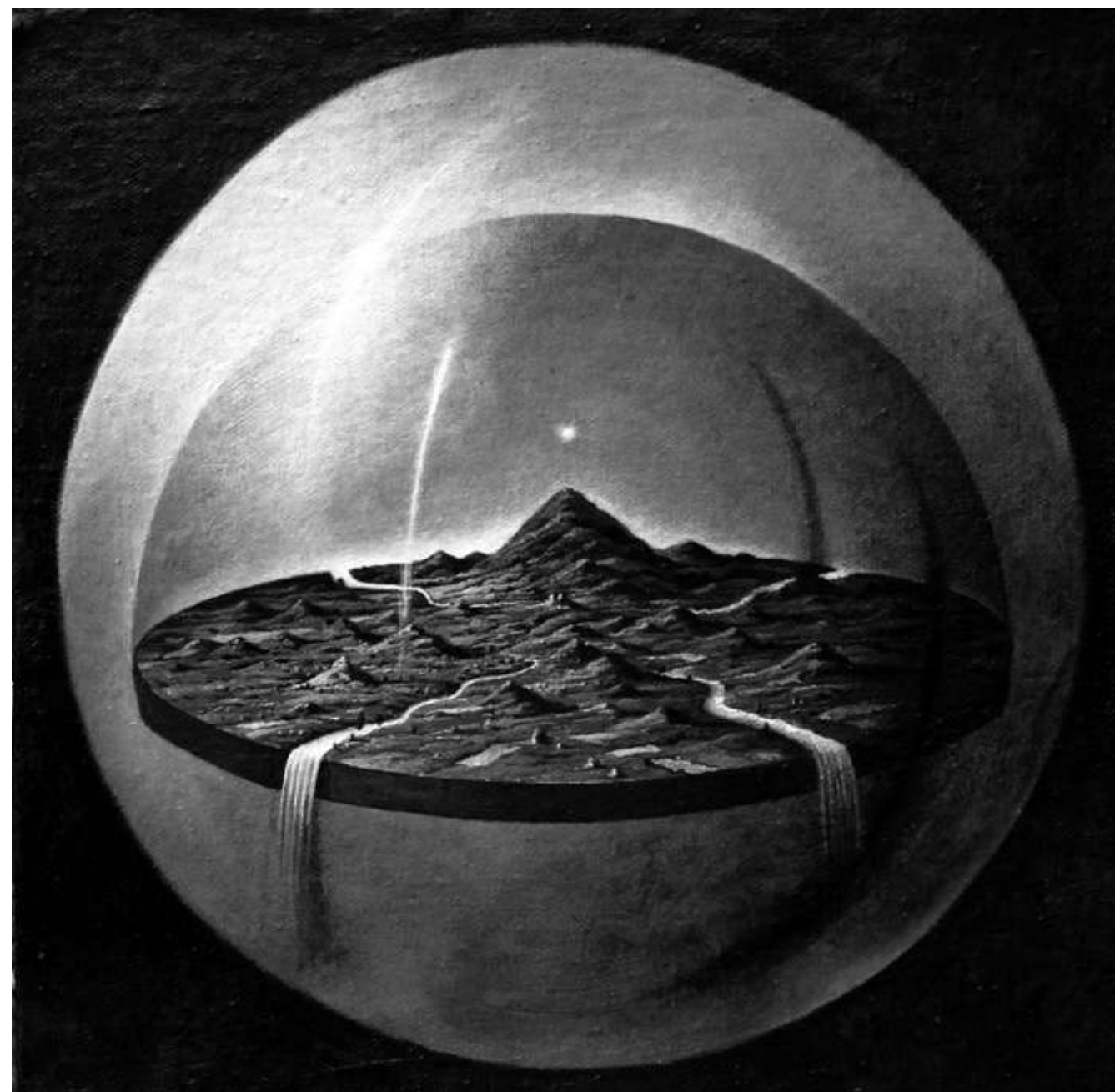
W muzyce zawierał się los nas wszystkich, dzieci bez mamy i taty, bez matki ojczyzny. Potężnej postury Michał z trudem opanowywał drżenie, ale w połowie drogi nie wytrzymał i łzy poleciały mu ciurkiem. Był jednym z tych dzieci. Nie próbował już niczego udawać. Szedł i płakał na głos. Widział mamę i tatę, jak nadlatują samolotem i rzucają w niego kolorowe płatki kwiatów. Każdy mijany dom machał przez uchylone okno, a niektórzy osobiście wychodzili przed i salutowali. Nawet ze sklepu mięsnego na rogu wychylił się znajomy rzeźnik, a rozpoznając Michała zamachał nożem i metalowym prętem do ostrzenia. Auta przystawały. Pytano, co się dzieje, kim jest ten człowiek, co to za orkiestra. Zapanowało święto. Przed stacją z budki wybiegł Hindus w turbanie, a widząc, co się dzieje otworzył bramkę, by Michał nie musiał wyciągać miesięcznego biletu. Gdyby ktoś właśnie wtedy powiedział, że to urodzinowy prezent, nikt nie uwierzyłby. To zbyt banalne na takie uniesienie. To nie był zwyczajny marsz, to był marsz życia. To święto Michała i jego nieżyjących rodziców. Spoglądali na niego czule, mama Katrin, której grobu nigdy nie odnalazł i tata lotnik zamordowany zaraz po wojnie przez komunistów za to, że walczył o Anglię. Michał odprowadzony aż do bramki metra wszedł na peron, muzycy przerwali, gruchnęła potężna salwa oklasków, których już nie mógł usłyszeć. Siedział w wagonie czule wtulony w siebie, jakiś szlachetny i spokojny jak nigdy. Trzymał płytę przy sobie jak tarczę. Rozpamiętywał swój los. Zamknął oczy.

Mama, zanim umarła, zdążyła go wpakować do domu dziecka wraz z tym zdjęciem, które teraz wisi nad jego łóżkiem, a cały czas wisało nad nim w dzieciństwie, aż do pełnych lat. Mama musiała wierzyć, że dzięki zdjęciu odnajdzie kiedyś tatę. Kilka tygodni później do pudła, w którym go spakowała, dołożono jej akt zgonu na dowód, że go kochała i tylko dlatego nie mogła z nim być. I to było wszystko, co otrzymał po rodzicach. Wszystko. W małym pudle, do którego w doniosłych chwilach zagląda, oprócz zdjęcia i świadectwa śmierci były również listy ułożone w równy stos i zakneblowane gumową opaską. Musiało minąć wiele lat zanim je otworzył. Jak się okazało – niewysłane listy do taty. Pisała, że niczego nie żałuje, że jest szczęśliwa, że jest tatą i syn nazywa się tak, jak on. Planuje zapisać go do polskiej szkoły. Czytając je, Michał zrozumiał swój los bardziej. Po kilku latach nauczył się nawet polskiego, a swoje trzy sypialnie wynajmował przeważnie Polakom, w tym również i mnie. Mieszkalem tam blisko rok. Mama pisała również, że byłaby gotowa na wspólne życie, tylko nie wie, gdzie go szukać i w dodatku jest trochę chora, ale wyjdzie z tego i na pewno się odnajdą. Jednak wołała zawczasu

spakować kilkutygodniowe dziecko wraz z tymi listami i zdjęciem. Jej rodzice zginęli od niemieckiej bomby, którą spuścił na Londyn jakiś pilot Luftwaffe.

Mała fotografia, staranie i czule oprawiona, przedstawiała atrapę samolotu, właściwie jego bok z dwoma otworami na twarze. Dekoracja do pamiątkowego zdjęcia, które się nie wydarzyło. Dziwne, że zdecydowano, aby zdjęcie przez całe dzieciństwo towarzyszyło Michałowi wisząc nad nim niczym sznurek. Czy nie ma tu okrucieństwa? Puste zdjęcie bez ludzi. Zamiast prawdziwego samolotu – atrapa, zamiast rodziców – dwie dziury, kratery po miłości, której żar nie ogarnął nawet jego pierwszych dni na świecie. Wszystkiemu winna Pani dyrektor, bo gdy wypisywała tożsamość dziecka, na skutek prośby mamy zgodziła się zmienić nazwisko na Dębowski. Oczywiście wbrew regulaminowi. Mama przypuszczalnie wiedząc, że za chwilę odejdzie, liczyła, że dziecko w życiu dorosłym odnajdzie ojca po tym podpisie na odwrocie zdjęcia. Dlatego jej prośba była w pełni uzasadniona. Do tego, lepiej mieć tatę niż rubrykę ojciec nieznany. Popołniono jednak błąd, niepotrzebnie myląc dziecko. Należało od początku mówić, że rodzice odlecieli tym samolotem do nieba i tam się z nimi spotka. Zamiast tego wciąż pokazywano mu zdjęcie mówiąc, że to pamiątka po rodzicach, że oni na nim są. Na pewno podpis taty z tyłu, a mama też, tylko jej nie widać. Cóż, nie było to szczęśliwe. Tylko kto wtedy mógł wiedzieć, że 50 lat później Michał wyjdzie do pracy w swoje urodziny w asyście podniosłego marsza i cała dzielnica, kto żyw będzie świętować wraz z nim, ten, jak się okazało, niezwykajny dzień. Kto wtedy mógł przewidzieć orkiestrę górniczą, nas i w ogóle dziewięćdziesiąty siódmy rok, który spędziłem w trzeciej strefie zachodniego Londynu na ulicy Mayfieldsavenue. ■

JANUSZ GALUSZKA



TRĄBKA

Nad nią było niebo koloru welonu na figurce Najświętszej Panienki, której powierzała swoje tajemnice. Z oddali usłyszała szum pociągu, najpierw taki ledwie, ledwie, jak bzyczenie owada, potem wyraźniejszy, ale wciąż daleki. Cisza oznaczała postój na polnej stacji. Odsapał swoje, gwizdnął dwa razy, zastukał kołami i tyle po nim zostało. Jak z ludźmi – pomyślała – przychodzą, pogadają, przeważnie o sobie, pohłasują, a gdy cichną, znaczy to, że już droga im w głowie. Tę łąkę pamięta taką samą od lat, kwitnie sobie, nikt jej nie kosi, nie podsypują jakimś świństwem. Inny świat – powiedziała do siebie – zupełnie inny...

– Tato! – zawołała, ale ojciec palcem przy ustach poprosił o ciszę. Nie wytrzymała – tatusiu! – Nie odezwał się. Trzymał w dłoni pęczek łąkowych kwiatków. Myślała, że to dla niej, ale on przekładał je z jednej ręki do drugiej, powoli, jakby się nimi obmywał. Wreszcie usiadł, bardzo długo przyglądał się swoim dłoniom z obydwu stron. Czego na nich szukał? Sięgnął do kamizelki, wydobyl kieszonkową cebulę na łańcuszku, nakręcił starannie i przyłożył do ucha. Jej też dał posłuchać. Zegarek tykał mocno, ale w jego głosie była domieszka łagodnej śpiewności, taki ułamek sekundy muzyki, jakby zaznaczał tym, że jest nie tylko maszyną.

– Chodzi – powiedziała uradowana – pięknie chodzi.

Ojciec uśmiechnął się i przyglądał zegarkowi. Głodził jego kopertę z wytłoczonymi na niej ptakami. Otwarł porysowane, żółte szkieleto i każdą cyferkę, po kolei, dotykał prawie, jakby sprawdzał, czy jest ich dwanaście. Kiedy je policzył, niezgrabnymi palcami oderwał wskazówki, jakby to były nogi muchy, i rzucił za siebie.

– Dlaczego to zrobiłeś, to był taki piękny zegarek po dziadku ?

– On już niepotrzebny, kochanie.

Pierwszy raz powiedział do niej – kochanie. Bo prości ludzie nie bawią się w takie ceregielne słowa. Powoli odsuwał się od niej, jakby skrawek trawy, na której siedział, miał kółka i odjeżdżał z nim w stronę, gdzie niedawno był pociąg. Miała jeszcze w uszach tykanie zegarka, ale ono mieszało się teraz z głosem trąbki.

Otworzyła oczy, potrząsnęła głową. Chwilę temu niebo miało inny odcień, nasłuchiwała przez chwilę; głos trąbki był prawdziwy. Uniosła się na łokciach: od strony smugi, za którą na piaskach gięły się dalekie sosny, szedł powoli mężczyzna w zielonej koszuli i pogrywał na trąbce. Słońce miał za plecami, więc jego zacieniona postać wyglądała na

przyklejoną do pokręconych złotych rurek, które ściągnęły blaski z całej okolicy. Opadła na plecy pod niebem z welonu Najświętszej Panienki i nasłuchiwała. „Z orkiestry uciekł. Może go wykopali, bo fałszował – kombinowała. – Albo do baby go niesie i fujarkę stroi. Inaczej być nie może, bo komu by się chciało grać dla nikogo?”

Trąbka umilkła. Podniosła głowę: mężczyzna stał przy drzewie wypalonym piorunem, uniósł trąbkę, nacisnął na taki dings, którym spuszcza się ślinę i ruszył ku niej.

– Dobry dzień, piękna kobieto!

Parsknęła śmiechem.

– Pan w sprawie? – zapytała, nie przestając żuć żółtą trawę.

– Bez potrzeby, jeśli można. Wędruję tak sobie, gdzie słońce drogę wskaże i dmucham.

– Co pan robisz?

– Dmukam w mój przyjacielski instrument, a z niego różne figle migle na okolicę wędrują.

– Bóg pomaga i jakoś to wychodzi. Całkiem, całkiem...

– A na tym polu, co leżało jak persjański dywan, tu pszczołka, tam motylek, a między tym ogrodnictwem Wenus widzę ja, rozkłada się niejaka, niby na obrazie olejnym ręcznie wymalowanym.

– Chrzanisz gościu. Z pamięci lecisz, do każdej tak samo.

– Choć granie, wiadomo, uwagę pochłania, to jednak widzę, jak dwa wzgórza biją ku zachwyconym oczom niebios, więc pomyślałem, że i mnie spojrzeć wypada.

– Zbyteczna fatyga.

– Nieprawda, bo za pozwoleniem łaskawej pani dojrzałem, że nie tylko cyce u niej, jak baterie przybrzeżne na niejakej wyspie Krecie, w wojennym czasie, ale reszta też, rzecz by można – wystrzałowa.

– Idź grajkę z Bogiem.

– Pójdę, to jasne, odpocznę chwilę i oddechu świeżego załapię, żeby znowu grać. Bo jak się zacznie, droga pani, to później wszystko dokoła się tego domaga. – Usiadł. – Tak mi się widzi, że pani w zamyśleniu niejakiem pochłonięta. Musi być coś ważnego?

– Musi. Tatuś mi w myśli.

– A co mu dolega?

– Był tu niedawno i zegarek zabytkowy popsuł, ale powiedział mi – kochanie. Pierwszy raz...

– To piękna rzecz słyszeć coś takiego – mężczyzna leżał w trawie i jednym palcem kręcił trąbką młynka.

– Lepiej pan zagraj, żebyś nie zasnął z tego zmęczenia.

– Jakże by można zasnąć przy takiej kobiecie, chyba wyłącznie z miłości. Tak to sobie myślę niepoprawnie w skrytości mojej, ale zagrać też mogę, choć na leżąco trudności bywają, bo ślina się cofa i nie wychodzi najlepiej.

Po kilku taktach zerwała się nagle.

– To samo grał kulawy Antoś na naszym weselu. Tak nas z Zenkiem na kochanie sparło, że uciekliśmy cichcem do takiej szopki z sianem. Wszystko zostało porzucone: gorzałka, świniaki, goście, tańce, tylko my wczepieni w siebie, jak te głodne psy, jak dzikusy... Ale chytrusy nas znalazły i belka po belce, deska po desce, szopkę rozebrali. Siano tylko zostało, a my na nim, na samej górze, rozhuśtani, jak w lunaparku. Można nas było wynieść, spalić, zarąbać, udusić. Nie było nas na tym świecie. Dopiero od muzyki ocknięcie przyszło. To samo grał.

– To się nazywa „Cisza”.

– Niech będzie, ładnie się nazywa. Całe wesele się zeszło, wszyscy z babciami i dziećmi. A my, jak Adam i Ewa zaproszeni do wyjścia z Raju głosem trąbki Archanioła Gabriela, patrzyli na nich oczami upiórów wyrwanych ze snu i wlekli się z tej kopy siana utytlani, z pogryzionymi wargami, chwiejąc się na miękkich nogach. – Opadła na trawę. – Graj pan dalej, ładne to. – A, że wciąż było cicho, dodała: – Musu nie ma, artyści trudne ludzie, wiem coś o tym. Mój Zenek też na akordeonie koncert mógł zrobić, i nawet w powiat jeździł na muzyczne udzielanie. Wszystko zagrał, w papiery nie musiał doglądać.

Mężczyzna zasnął. Trąbka wypadła mu z ręki i leżała skosem na twarzy.

– Z nimi tak zawsze – mruknęła – mało przyjemności, a spania dużo.

Podniosła się i przeszła za kępę sitowia. Obcy nawet nie drgnął. Wróciła, przyjrzała mu się: opalona twarz przerysowana była powojem zmarszczek, spod których przebiegały pogodne rysy chłopaka. Tylko takie duże dziecko – pomyślała – może iść pustym polem i grać, ot, tak sobie, bez potrzeby. Leżąc tak, wygląda na ofiarę trąbki, która spada z nieba. Przeróżne rzeczy z nieba lecą, trąbka też może. Ustawiła się tak, że jej cień zakrył mu twarz. Wkrótce się poruszył i instrument położył obok. Przetarł zaspane oczy.

– Zagraj, spróbuj – podał jej trąbkę.

Zaśmiała się głośno, dotknęła metalem twarzy, spojrzała w ten pękaty mały lejek, w który się dmucha i chciała go przyłożyć do ust, ale na wargach mężczyzny dostrzegła małe okrągłe zagłębienie i koronkę ciemniejszych spękań wokół.

– Idę, graj sobie sam. – Oddała mu trąbkę. Odeszła może dwadzieścia kroków, gdy granie odezwało się znowu. Trąbił to samo, co wcześniej. Przysiadła, granie zbliżało się i ucichło, przy niej.

– Co się stało? – zapytał.

– Niby nic, takie tylko myślenie po głowie mi biega, że dużo biedy może być z grania. Wiem coś o tym. – Poprawiła włosy nad czołem i sięgnęła łańcuszka na szyi. – To właśnie tłucze się w myślach, i w tej sprawie tatuś odwiedziny złożył.

– I powiedział – kochanie.

– Bo kiedyś nie zdążył.

– Z graniem, u mnie przymusu nie ma. Instrumentowi też odpoczynek się należy.

– Sięgnął do chlebaka po jabłko, rozłamał i podał jej połowę.

– Dobrze – podziękowała – on też był dobry, choć po całym powiecie za pieskami, co bezpańskie, ścigał. Kiedyś przywiózł takiego wygolonego, białego dziwaka, którym ciągiem tylko dygotki rzucały. Miałam się nim zająć, ale następnego dnia auto z jegomościem zajęchało, co chciał wykupić golonego za niezłe pieniądze. Tatuś na forse nie łąsy i powiedział, że sam go odda pod wskazany adres. Mnie też zabrał. Staliśmy z pół godziny pod furtką, bo z otwartych okien, przez ogród, muzykę było słychać. Prosiłam, żeby zostawił białego za płotem i wracał do domu. Ale on tylko o graniu mówił, na okrągło, że nigdy takiego nie słyszał i że trzeba poczekać. Granie ucichło i wtedy dopiero zadzwonił. Ta paniusia, jak zobaczyła golonego, to do furtki dopadła i oboje kwiczeł, jak zarzynane świniaki. Z tego kwiku, to tatusia nawet w policzek pocałowała, a mnie tortu dała na drogę.

Od tej pory tatuś w zawodzie się opuścił i późno do domu powracał. Wyszpiegowalam go. Pożałowałam tego, bo on jeździł do niej, do tej kurwy fortepianowej. Grała na tym czarnym pudle, ubrana tylko w taką firankę, że te szmaciane cycki i zwiędłe dupsko, wszystko było na wierzchu. A on, jak niewolnik, klęczał obok. Jak zmęczyła graniem te swoje trupiaste łapska, to wstawiała ze stołka, zadzierała firankę i kopala go, potem znowu grała i znowu kopala. Za którymś razem nie wytrzymałam, złapałam kawał cegły i rzuciłam, ale jej nie zabiłam.

Dwa dni później wrócił zbity i pokrwawiony. Nic nie chciał mówić. Obmyłam go, chciałam opatrzyć. Nie pozwolił. Założył czystą koszulę, wypalił papierosa i powiedział, że idzie do gospody. Kłamał. Jak tylko usłyszałam wycie psów, wiedziałam, że stało się coś złego. Zanosilo się na wieczorny deszcz i zmrok popędzał do domów ostatnie wozy z sianem. Powiesił się. Z tej całej hańby, co go oplatała, zrobił to w sraczu. – Jej mocne, lekko żółtawe zęby delektowały się ostatnimi kęsami jabłka. – Widzisz więc, gościu, jak dobre, w złe zmienić się może, a granie, zapałka dla duszy, lodem serce rozerwać.

– Dobrze, że powiedział ci – kochanie.

– Takie rzeczy mówi się o swojej porze. – Zamknęła oczy i uniosła twarz ku słońcu, jak do opalania. – Tylko dlaczego popsuł zegarek po dziadku? – Odwróciła się w stronę gajka: był zapatrzony w nie wiadomo co, albo myślał o trąbce i ona mu zasłoniła te jego chabrowe, przymrużone ślepka. – Śmieszny jesteś z tym swoim graniem. Idzie sobie taki komediant – uniosła zwinęte dłonie naśladując trąbkę – myszom, kretom i zającom podgrywa, i pewnie myśli, że ktoś tego słucha.

– Wszyscy słuchają, wszyscy, obowiązkowo – zaśmiał się półgłosem – za bilety zapłacili.

– Może ja też spróbuję? – Przytknęła trąbkę do warg, ale poza zduszonym charkotem, nic więcej z niej wydymać nie mogła. Poczula jego dłonie na ramionach.

– Ej, ty, koleś z orkiestry wydętej, weź te pazurki i wsadź do rurki. – Śmiała się. – Nie myśl, że mam po tatusiu słabowitości do muzykantów, choć na ślubnego Najjaśniejszy też artystę przydzielił.

– Ale w damskich miechach słabości nie masz, nic nie ujmując innym panienkom.

– Mój Zeniu powiadał, że te moje cyce, to dla niego najpiękniejszy akordeon na świecie, i jeśli na nim nie pogra, to żaden inny mu nie stroi. Tak, nie stroi. Do muzycznej duszy się wypowiadam i na inne pomysły życzenia nie mam. A Zenek, jak w artystycznej robocie się nie udzielił, to nic mu się nie składało ani w rękach, ani w głowie. Gdy ten jego szczupak zaczynał go kasać, to wtedy pochrapywał przez wyschnięty gardziół: „Odrobinę szczęścia w miłości”, bo na mojej harmoszcze poćwiczyć była mu konieczność, a kroki tanga, z figurami, opracowane były na sto. „Potem stanąć serce przy sercu...” – a kochanie i śpiew płynęły, jak srebrna rzeczka pełna złotych rybek. – Sięgnęła po źdźbło trawy, przesuwając je po wilgotnym ciastku wargi, z jednego kącika w drugi, aż delikatnie musnęła spodem języka i zaczęła żuć powoli.

– Spróbuj jeszcze zagrać – powiedział – może się uda.

Przyjrzała się trąbce. Dmuchiwała delikatnie, potem mocniej, ale ta wciąż była tylko głuchą blachą.

– Twarda jesteś, ja to lubię! – Rozpięła bluzkę, nabrała powietrza i całą kompresję zgromadzoną pod połykanymi przez oczy grajka piersiami, usiłowała zmusić trąbkę do wydania czegoś więcej niż pierdzące beczenie. – Niedobrze, siostró, niedobrze. Skąpisz babskiej duszy artystycznej radości, jakbyś tylko u jednego na służbie była. Ale ja nie z takich, co żaby w ręce nie przelecę. – Przemawiała do trąbki. – Takiego szpasu nie miałaś w żadnej orkiestrze i mieć już nie będziesz. – Odetchnęła głęboko, stanęła pewnie na nogach, otrząsnęła ramiona, odchyliła się do tyłu i wsunęła trąbkę między nagie piersi, szerszą częścią do góry. Zanuciła jakieś para...para... dira... dira... i tanecznym krokiem zaczęła chodzić wokół mężczyzny, który rozmazanymi chaberkami wodził za nią, aż przykleknął. Zakręciła jeszcze pirueta i stanęła przed nim zwycięska.

– Wenus z trąbką – zdołał wyszeptać – Wenus, i tyle.

Przyglądała mu się, jakby naznaczała nagrodę. Uśmiechnięta, pochyliła się: instrument wysunął się spod jej piersi i wpadł w jego dłonie. Spoglądał na trąbkę, trzymaną, jak do ofiarowania, i na kobietę, aż powiedział:

– Teraz, to ona dla mnie więcej niż złota. Niezasłużenie tyle rozkoszy naraz nam przypadło.

– Nie myśl sobie, gościu, że jak przeżyć takich doznałeś, po których twoje smętne oczka jeszcze więcej koloru straciły, to dalej będzie, jak na ślizgawce. O nie, łazęgo polna i światowa. Niedoczekanie twoje wytrąbione.

Grajek sięgnął po drugie jabłko, rozłamał i podał kobiecie.

– Dwie połówki, jak dwie cukrowki – zauważyła i zlizwała sok z warg. – Wygląda na to, że żyjesz tylko trąbieniem i jabłkami.

– Różnie ludziom w przeznaczeniach pisane. Jedni z walizkami od drzwi do drzwi, z perfumą, mydłem i sztuczną biżuterią wędrują, innych pot czarny w fabryce zalewa,

a ja, słów szkoda, bo wszystko widać i słyszać. Czasem dobra dusza nakarmi, inna przygarnie. W mieście z kapeluszem stanę. Ptakom zazdrościć nie muszę.

– Ptakom, mówisz, no niby faktycznie, racja. A i Wenus spotkać się zdarzy.

– Która trąbkę na złoto przetopi, że głowę człowiek straci razem z dmuchaniem i pojęcie mu odbierze, jak teraz zagrać na takim skarbie.

– A przecież ludziom grania potrzeba, ono im dusze pompuje kolorowym powietrzem, choć tatusiowi nieszczęście w udziale przypadło.

– Przeróżnymi drogami Bóg wędrowanie wyznacza, on wie, gdzie iść należy. – Zamyślił się. Któryś już raz przełożył trąbkę z jednej strony na drugą, sprawdzając, ile w niej złociwości przybyło. Posprawdzał, wygłaszał rurki i powiedział: – Kiedyś, za miastem pogrzeb mnie minął. Obcy, ani biedny, ani bogaty. Oddalili się, a ja wtedy pomyślałem: Nie znam gościa, który żałobnikom czas w środku dnia zabiera, ale to przecież człowiek, może też lubił granie? Zawróciłem. Gdy dół łykał trumnę, zagrałem. Ludziska spojrzwały zdziwione, a ja pod drzewem, z metalem ku niebu, w skrzydła grałem tamtemu, żeby mu lżej było do góry się wspinać. Dmuchałem w przejęciu takim, że wkrótce tylko nieboszczyk i ja zostaliśmy na tym miejscu marność ziemskiej. Przy bramie podeszła młoda osoba i zapytuje, kto mnie zamówił na granie? On, pokazałem do góry. Była siostrą powołanego na Ostateczną Rozprawę Sądową, wcześniej, mocno cierpiącego w chorobie. Za uciechę, co zrobiłem dla ulgi duszy, obiadem poczęstowała. Potem, przez kilka miesięcy, wsiadaliśmy na rowery i jechali gdzieś w pola. Ja grałem, ona śpiewała. Miała ładny głos.

Milczeli. W tym kinie, co mieli przed oczami, pokazywali obrazek z rozmazanymi malinami nad horyzontem, ku któremu zsuwało się, jak do wodopoju, utrudzone słońce sierpnia.

– Może warto wypróbować instrument – powiedziała po tym, jak słońce napełniło się już do połowy – który pozłacaniem ozdobiła damska fatyga, i to jeszcze, czy on się z tego wszystkiego nie scharapiął, no, nie popsuł. – Mężczyzna dalej milczał, jakby oniesmielony wszystkimi skarbami, jakie mu przypadły, więc zanuciła cicho: „Odrobinę szczęścia w miłości, odrobinę serca czyjegoś...”

Ocknął się, zwilżył wargi, przyłożył do nich trąbkę, lewą dłonią zakrył otwór, z którego wydobywa się głos i zagrał. Tak ledwie, ledwie. Tak cicho, jakby to, co dało się słyszeć, dochodziło z samego środka, z najważniejszej skrytki człowieczej.

– Tak właśnie gra najbardziej złota trąbka – powiedziała półgłosem. Przysunęła się i powoli zaczęła rozpinąć guziki jego zielonej koszuli. W oddali narastał szum pociągu, by wkrótce zniknąć. – Towarowy – powiedziała do siebie i wyłuskała następny guzik. ■

C. II. 2005.

JANUSZ JANO MIELCZAREK

Tyle czasu, ile życia

Droga, jak droga, przepalona szaro-żółta cuma wiążąca twoje okręty, ten, który opuściłeś i drugi, gdzieś tam, na którym zamierzasz odpłynąć. Opadające słońce wczesnego popołudnia toczyło nadzieję na zbudzenie się choćby najmniejszego ruchu powietrza. Przysiadł nad rowem, przełamywał kawałki kukurydzianego chleba i żuł powoli. To, co pozostało, zapakował do chlebaka, płócienny kapelusz zsunął na tył głowy, żeby żar nie rozłupał mu czaszki, wcisnął twarz między łokcie i oparł je na kolanach.

Żółte auto nie zważając na czerwone światło, wyjąc klaksonami pędziło wprost na niego. Ocknął się.

– Trąbię i trąbię, a ty śpisz. – Odezwał się stary człowiek na trójkołowcu przerobionym z motocykla. – Ktoś ty? – zapytał.

– A ty?

Stary ściągnął z głowy oklejoną siwą szczecina staroświeckie okulary lotnicze i przecierał je ręką przepoconej podkoszulki bez koloru.

– Piękne, miałem takie – pochwalił mężczyzna. – Okulary miały spękane muszle oczne i łataną na różne sposoby gumę trzymającą je na głowie. – Takich teraz nie kupisz.

– Za skarby – potwierdził motorzysta, otarł głowę z kurzu i ponownie je nasunął. Gotowy do jazdy, zapytał: – Ty, skąd? – uśmiechnął się – no... – szukał określenia – no... ty... Przydrożny.

– Stamtąd – pokazał przestrzeń za plecami Starego.

– Podwieźć?

– Nie trzeba – machnął ręką i ciszej dodał – mam tyle czasu, ile życia.

– Czego?

– Wilka złego – roześmiał się.

Stary miał tylko jedną nogę. Z owiniętej ceratą deski, na której siedział, wyczuł bućtem korbę rozrusznika, podparł się na kierownicy i kopnął. Motor zaklekotał i zamilkł. Za drugim i trzecim razem tak samo. Przygarbił się, pomruczał pod nosem, nieruchomo wpatrywał się w przednie koło pojazdu i stukał palcami w zardzewiałą kierownicę.

– Popchnę – zaproponował Przydrożny.

– Fajnie.

Nie pomogło. Mężczyzna przyjrzał się silnikowi, przecierał oklejone kurzem i oliwą kable, oczyścił styki, poprawił mocowania.

– Teraz pojedziesz.

– Szpenio jesteś – pochwalił Stary, gdy silnik zagdakał za pierwszym kopnięciem. – Siadaj – zaprosił – masz u mnie garo, albo piwo. Sam wybierasz.

Droga nadal była cumą rzuconą między nic rozpościerające się po lewej i prawej. Warczące zbyt głośno przez wypalony tłumik dziwadło posuwało się w tempie leniwego wierzchowca, znacząc ślad burym kurzem.

– Już niedaleko! – krzyknął Stary do ucha pasażera. Pojazd niespodziewanie skręcił i, slalomując między kępami suchego zielska, zjeżdżał coraz niżej. Zatrzymali się przed budą skleconą z desek, blachy falistej i trzciny. Obok stała łódź koloru kory migdałowca. Utopioną w piachu podpierały po bokach szerniałe belki. Nazywała się Arka.

Stary sięgnął do blaszanej pochwy po drewnianą kulę, wcisnął pod pachę obciążone ceratą podparcie i utykając pokołysał do wejścia. Przydrożny zdjął z kierownicy lotnicze okulary, naciągnął je na oczy i spojrzał ku niebu: przez ich szyby przypominało brunatno-zieloną wodę, do jakiej nurkował polując na ryby w miejscach zacienionych przez korzenie drzew.

– Gwiazd teraz nie zobaczysz – usłyszał za plecami głos Starego, odpinającego paski połataną czerwonej plandeki okrywającej skrzynię. – Pomożesz?

Z okularami na czole mężczyzna przenosił skrzynki i wstawiał je do okratowanego schowka na tyłach budy. Skrzynia była pusta, można było zaciągnąć brezent.

Usiedli w wątlmym cieniu trzcinowego daszku na wkopanych w ziemię pniakach. Żyłasty facet w marynarskiej czapce dygocącymi rękami postawił przed nimi brytfankę suszonych rybek i piwo w metalowych kuflach. Zapachniało tłuszczem. Przydrożny jadł rybki powoli, przełamując każdą na pół. Wciąż pamiętał słowa ojca, który przeżył kiedyś tylko dlatego, że to niejadalne świństwo, którego nie żarły nawet psy stójkowych, długo trzymał w ustach, panując nad wyrzyganiem go, a potem dopiero przełykał. Rybki chrzęściły w zębach.

– Nie jesz? – zapytał.

– Potem. – Pociągnął piwa, skrzywił się. – Kapitan mówił, że mógłbyś mu urąbać drzewa i zostać na noc. Zapłaci.

– Tu chyba tylko pan Bóg bywa, gdy się uharata do ostatniej kropli potu.

– On się boi tego miejsca. – Stary rozplaszczył dłonie na deskach stolika i patrzył na pajęczyny brudu wżartego w spękaną skórę palców. – Ci, co tu przyjdą wieczorem nie lubią obcych.

– Jego też?

– Obcy to obcy.

– A sami się lubią?

– Nie, ale jakoś żyją, póki nadarżają się obcy. – Stary sięgnął po rybkę, wetknął ją ogonkiem do ust i dla zabawy tykał palcem w brązowy, srebrzący się pyszczyk, jakby

grał na wardze. – Opowiadają, że była tutaj kiedyś wielka woda, ci, co się z niej uratowali, wierzą, że znowu przyjdzie nagle i nie wiadomo skąd, a wtedy może dla nich braknąć miejsca w Arce.

– Przecież to bajka.

– Coś musieli wymyślić. – Sięgnął po drugą rybkę. Spojrzał w prześwitujący trzciniowy daszek i dokończył: – Czysty jest tylko lot ptaka.

– Z wnęki pomieszczenia przyglądała im się odwrócona profilem kobieta.

– Elo, chodź do nas – zaprosił Stary.

Uśmiechnęła się ciemnymi oczami, otworzyła bezgłośnie usta, obciągnęła sukienkę na biodrach i zniknęła w cieniu.

– Podobno to córka Kapitana. – Kręcił kuflem, jakby przez to piwo nabrało lepszego smaku. – Po równo: piękna i biedna.

– Dlaczego?

– Nie mówi. Słyszysz, ale nie mówi. Resztę zobaczysz, jak zostaniesz. – Gwałtownie wlał w siebie piwo. – Taki to, kurwa, zasrany żywot wszelki. – Spojrzał na kikut lewej nogi, poklepał go. – Gdzieś ty, że łupiesz w kostce, której nie ma? – Podniósł głowę znowu wystrojoną w okulary i gapił się w rozżarzone powietrze. Wstał, sięgnął po kule, starannie wyważył swój środek ciężkości i stojąc na jednej nodze, nie podpierając się, gwizdnął przeciągle, jakby dawał znak orkiestrze. Powoli, rytmicznie unosił głowę, okręcał się, giął, podrzucał ramiona. Kurz wzbijał się coraz wyżej. Wkrótce nad jego chmurą podrygiwała już tylko głowa w lotniczych okularach: uwiązana gdzieś u nieba część kukły w dance macabre. Nagle kula wypadła mu z ręki, stracił równowagę i przepadł w tumanie. Zza szopy wybiegła Elo, pomogła mu się podnieść. Doprowadziła do stołu i oczami koloru szkieł w lotniczych okularach z bliska spojrzała na mężczyznę. Kurz spokojnie wracał na swoje miejsce. Dobry majster cię sklejał – pomyślał mężczyzna – ale zatracił się w tej robocie i za późno się w tym połapał. Elo przyniosła Staremu wodę w bańce. Wypił kilka łyków, a resztę wylał na głowę i plecy.

– Przed czym uciekasz? – zapytał, gdy się uspokoił. – Pieniądze, kobieta, śmierć?

– Pochylił się ku twarzy człowieka z kilkudniowym zarostem. – Stąd nie wysyła się pocztówek z zaklęciem – „pamiętaj, czekaj, wróć”. – Stukając widelcem o krawędź brytfanki, wyliczał: – kobieta... pieniądze... śmierć... – Pogodzony z milczeniem sąsiada odwrócił okulary z czoła: ku brwiom potoczyły się tłuste strugi brudu i potu. – Wiem dlaczego – uśmiechnęła się szeroko pokazując słupkowate, niekompletne uzębienie – masz dwie całe nogi. Aż dwie...

Droga, jak droga – pomyślał mężczyzna – choć wydaje się nie mieć końca, to jednak, co do tego, nie ma pewności.

– Ty, Przydrożny, posłuchaj chwilę – powiedział poważnie, pochylony nad stołem. – Zacząłem budować większy – pokazał w stronę trójkątowca – będzie mocniejszy. Znasz

się na tym, zrobimy z niego rakietę. Ty będziesz jeździł na jednym, ja na drugim. Zarobimy kawałek grosza. Będzie na to i owo, a nawet na tamto i owamto. – Skupiony czekał na odpowiedź. – No, to jak?

– Przegadam to ze sobą.

– Myślisz, że się jeszcze spotkamy? – Stary wysypał suszone rybki na gazetę, zwinął papier i wetknął paczkę do wojskowego chlebaka sąsiada.

– Na pewno, jak dzisiaj.

Jednonogi spokojnie sadowił się na zakurzonej maszynie. Gotowy, przekrzykując klekotanie motoru zawołał: – Pamiętaj, że ci, co tu dzisiaj przyjdą, nie lubią obcych. – Naciągnął okulary, uniósł rękę na pożegnanie i przyczajony nad kierownicą, kurzem między zeszlými kępami zielska znaczył ślad odjazdu.

Kapitan pokazał stertę pniaków do porąbania, dał miskę gęstej zupy z ciemnymi kluskami, kromkę chleba i bańkę wody z trzciniowym sokiem. Posilił się i zaczął ostrzyć siekiere. Kobieta przeszła obok. Zniżające się słońce obiecywało daleki jeszcze, ale już wyczuwalny tlen przedwieczoru.

Przy pierwszym zmęczeniu usłyszał zbliżające się z daleka głosy mężczyzn idących ku Arce.

– Znałeś wcześniej Glida? – zapytał Kapitan układając naręcz drewna.

– Kto to?

– Ten, który cię tu przywiózł. Podobno Elo jest jego córką.

– Po co mi to wiedzieć?

– Zwyczajnie, na zapamiętanie – rzucił odchodząc.

Ocierał się z potu, gdy Elo przyszła po drewno. Przyklękła, pochyliła się i spod bluzki wyrwały jej się gołębnie piersi. Spokojnie układała drewna w płytkim koszyku. Gdy był pełen, sięgnęła po kawałek ze świeżo rozłupanego pniaka, wodziła po nim palcami, wsunęła go na dłużej między nagie piersi i podała mężczyźnie.

Zmierzchało, głosy po drugiej stronie budy w nieskładnym śpiewie skarżyły się na niekochające kobiety. Na skatowanej suchotą ziemi wieczór naklejał ciemne łaty tajemnic. Zmęczony oparł się na stylisku siekiery. Niespodziewanie pojawił się przy nim młody człowiek w fioletowej czapce z metalowym emblematem i uciętym piórem kruka.

– Gdzie masz rower? – zapytał.

– Nie mam.

– A co masz ?

– Nic.

– Nie można mieć nic.

– Tak wyszło.

– Słabo ci idzie – pokazał na urąbane drewno – może siekiera tępa? – zaśmiał się głośno i odchodząc dodał – wystarczy.

Usiadł przy szopie łataney kawałkami blachy i płyt ze starych reklam, sięgnął po jedzenie. Na niebie umierała ostatnia, niepotrzebna smuga światła. Do łodzi podeszły dwa cienie i wspięły się po drabince. Kontur kobiety zastygł na chwilę wahając się przed pogrążeniem wewnątrz. Śpiew stawał się coraz głośniejszy, marszowy. Wkrótce tupano już do rytmu i walono pięściami. Zasłonił się tekturą i zasnął.

Zbudziło go szarpnięcie. Odruchowo zacisnął palce na rękojeści przytroczonej do przegubu dłoni. Nad nim stał Kapitan. Było cicho.

– Poszli, możesz iść spać do łodzi – powiedział prawie szeptem, choć nikogo nie było w pobliżu.

Usiadł na burcie. Od daszku osłaniającego prymitywną kabinę z oberwanym sterem śmierdziało smołą. Usłyszał, a może mu się wydawało, ciche popiskiwanie jakiegoś zwierzątko. Mam wejść w ten śmierdzący i sprostytuowany barłóg Elo? – pytał siebie.

– Nim zasnę, pewnie się zonanizuję. – Nie dokończył, bo uderzony snem zsunął się do środka. Spod dachu szopy wyfrunęła sowa i zaatakowała to coś kwilące przy łodzi.

Znowu pojawiło się żółte auto. Nie trąbiło, może nawet stało w miejscu, ale rośło, ogromniało. Jego głowę ugniatała blacha zderzaka, który rozrósł się do grubości kanalizacyjnej dreny. Charczało w nim, jakby koła auta odzierały kogoś ze skóry.

Na tle nieba rozpoznał jej głowę z pokręconymi włosami, ale głos go przeraził. Słyszał go po raz pierwszy. Szarpała mu koszulę, pokazywała dłonią na szyję, celowała w pierś.

– Tgyyy... nic... ne ma... – wykrztusiła z największym trudem – tgyyy... naaa... na... – pokazywała w przestrzeń. Płakała prawie szarpiąc go za włosy.

Wyskoczyli z łodzi. Pokazała mu, że ma się pochylić i biec za nią. Po kilometrze, może dwóch przystanęli odpocząć. Do miejsca, z którego zbiegli, zbliżał się korowód świetlistych plam. Rozbiegały się, skupiały, zataczały kręgi, aż za jakiś czas zwały się w jedną rosnącą powoli, powoli, żeby nagle wybuchnąć łuną. Oparła rękę na jego ramieniu. Pocałował ją w policzek. Zmroziło go dobyte z jej gardła charczenie. Wskazała, gdzie mają iść dalej. Zmęczeni drogą dojrżeli pośród pustkowia cienie drzew. Podeszli bliżej: między drzewami były gruzy po jakiejś budowli, a przy nich rozsypujące się resztki czegoś, co mogło być kiedyś wieżą, albo dzwonnica. Nie sięgał tu widok ognia.

W milczeniu przyglądał się jej ciemnym konturom. Powiem ci najważniejsze – prosił w myślach – tylko nie uwalniaj swojego potwora, proszę. Powiodła jego ręką po swojej ociekającej potem twarzy. Usiadła w wyłomie muru. Mężczyzna drugą dłonią przetarł swoją twarz. Wchłaniał na przemian ich zapachy. Nauczył się rozróżniać te szczególne ślady zostawiane przez ludzką fizyczność. Kiedyś sądził, że jest ich kilka, dzisiaj wie, że są tak różne, jak głowy, oczy, nosy czy zęby ludzi. W sąsiedztwie jednych wytrzymywał, bliskość innych była katogą. Jeden z tych śmierdzieli, gdy dowiedział się o najgorszym, nagle stał się bezzapachowy. Jej i jego pot pachniały identycznie, jakby były wydzieliną gruczołów tej samej osoby. W ciemności dotknął jej ramion i szyi, palcami odgadywał oczy, usta i całą rzeźbę Elo.

Łasiła się do jego dłoni, kasała je ledwo wyczuwalnie. Może próbowała ściągnąć z nich skórę i przenieść na siebie? Niespokojny gładził jej ramiona, głowę i szyję. Właśnie na szyi ścisnęła nagle jego ręce. Wyczuwał ślinę przepływającą przez jej gardło. Uścisk potęgował się. Łapała powietrze astmatycznie rozwartymi ustami. Przeraził się, że jej ręce zaciska na gardle energia czekająca od dawna pośród ruin na ofiarę. Jak wszystko tutaj. I teraz oto on, jak to on, nie myślał nigdy wcześniej, że będzie lękał się o kogoś strachem pogardzanego karła.

Ale zacisk jej dłoni zelżał, zmienił się w lekki, suwany do przodu i ku karkowi dotyk pieśczości. Odpowiedział tym samym. Przyciągnęła jego głowę, całowała czoło, usta, policzki. W rzednącej farbie nocy słyszał jej oddech i czuł zapach skóry podobny rozchodzącemu się od kawałków drewna o różowych słojach, które rozłupywał dla Kapitana.

Odepchnęła go, zamknęła oczy i zwilżyła wargi. Kilkakrotnie głośno wciągnęła powietrze, jakby przygotowywała się do zanurkowania na dużą głębokość. Znieruchomiła i z ledwie rozchylonych ust wydobył się cichy, śpiewny głos. Zastygła nie dowierzając. Uderzała pięściami po głowie i policzkach. Po chwili uspokojona, znowu przygotowała się do znurkowania. Teraz głos z jej gardła był taki sam. Wybuchła. Szarpała ręce mężczyzny i gwałtownie nacierała nimi twarz, ramiona, piersi. Zatańczyła, a potem biegnąc poprowadziła go między ruiną, jakby chciała zbudzić ją do życia.

Zmęczona i spokojna przyłgnęła do mężczyzny. Objął ją, wsunął palce we włosy.

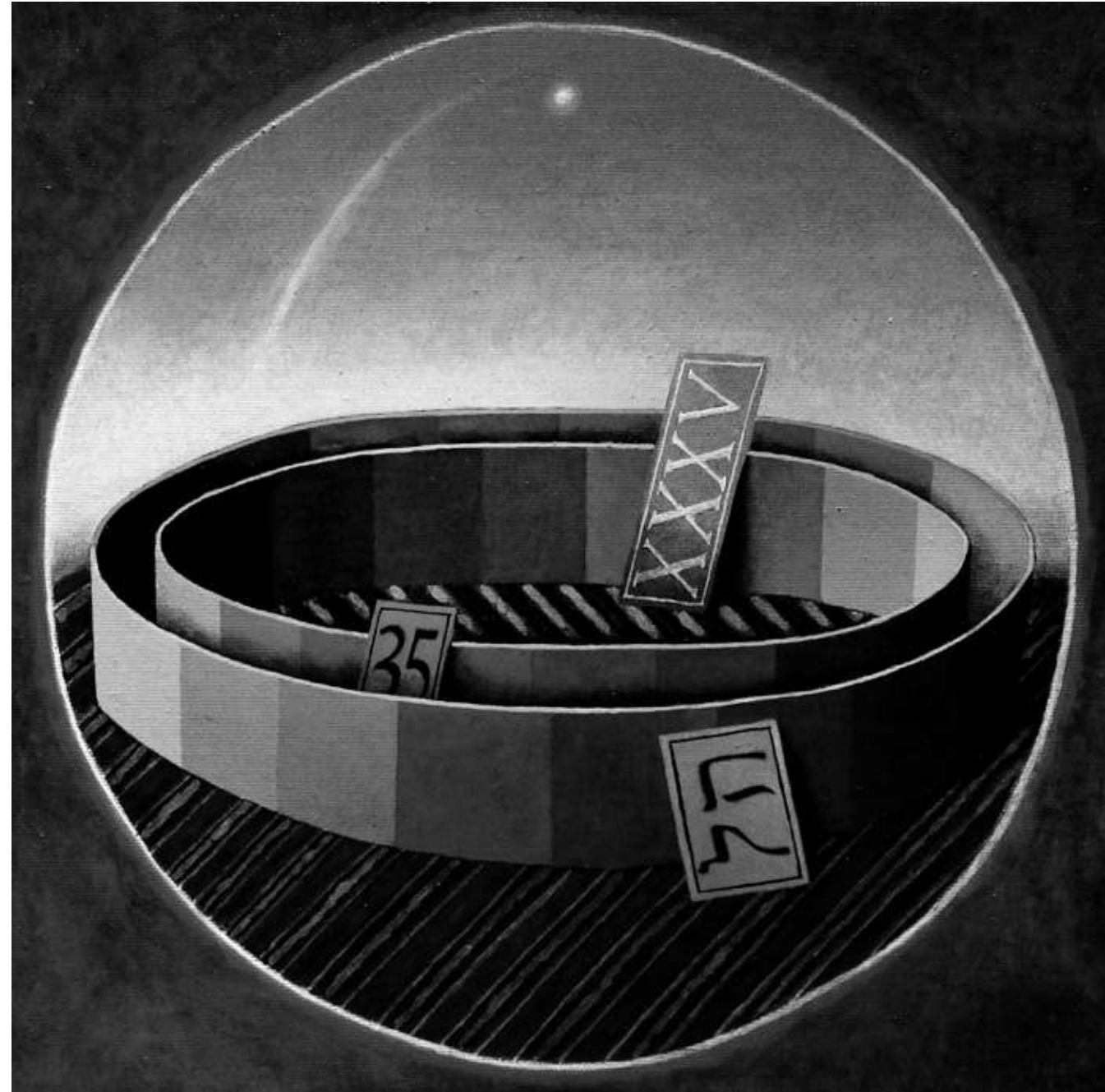
– Piękna jesteś – powiedział cicho, jakby tylko ona miała to słyszeć. – Mam znowu tyle czasu, ile życia. Zabierz z niego swoją część. Jesteś nadzwyczajna.

Na znak milczenia zakryła mu dłonią usta, uniosła twarz ku niebu zrzucającemu ostatnie szmaty nocnych zasłon i dobyła z siebie czysty głos na kilku nutach. Wokalizę stworzoną przez najprostsze, przypisane nam w chwili zachłyśnięcia się pierwszym oddechem – dobro i czułość.

Końcem języka dotykał słoną skórę jej dłoni. Nad ramieniem Elo wypływał nad horyzont majestat wielkiej, złociejacej ryby. ■

12 –16.II.2010 r.

JANUSZ JANO MIELCZAREK



Sen o poezji i modlitwie

Zapach; ten zapach. Zawsze go czułem, od najwcześniejszego dzieciństwa. Może nawet przenikał ciało matki, gdy jeszcze pławiłem się w wodach pierwotnych. To bardzo prawdopodobne, ponieważ moja matka była niebywale religijna i przesiadywała często, więc i wtedy, gdy była w ciąży, w kościelnej kaplicy przesiąkniętej – czy jest nabożeństwo, czy go nie ma – wonią kadzidła; tego specyficznego, kościelnego kadzidła. A ten aromat w każdym dniu mojego życia znaczył coś innego, niemniej zawsze był istotny, wręcz wpływając na wiele moich decyzji, które początkowo uważałem za przypadkowe, ale po późniejszej analizie dochodziłem do wniosku, że postąpiłem tak, a nie inaczej, ponieważ czułem ten zapach, który, niczym sole trzeźwiące, wpływał na jasność umysłu.

Podobnie działały powtarzane po wielokroć litanie, co może wydać się dziwne, ale harmonia tych tekstów, ich rytm i mechanika uruchamiały w moim umyśle obszary, które zwykle były uśpione. Komórki mózgu uzyskiwały specyficzną polaryzację, napełniały się energią, więc doznawałem wtedy przenikliwości i między powtarzane strofy wplatałem bogate w logikę i piękno myśli. Nigdy nie pragnąłem ich pamiętać, by potem je zapisać i zredagować, choć byłem pewny, że mógłbym uczynić to bez trudu. Czułem, że w takim działaniu kryłoby się świętokradztwo, ponieważ nie miałem najmniejszych wątpliwości, że ten stan, w którym trwałem, odmawiając litanie, zawdzięczał boskiemu światłu, jakie wtedy rozjaśnia duszę; a skoro duszę, to również umysł. Tak działają słowa, umiejętnie dobrane, umiejętnie postawione, bez wątpliwości, bez najmniejszych wątpliwości, ponieważ zapisane są dłonią prowadzoną przez Stwórcę. Jak dłoń, którą zapalam teraz świecę przy ołtarzu, tę świecę, którą tak oszczędnie się traktuje, by płonęła tylko wtedy, gdy potrzeba, a teraz potrzeba, więc płonie.

Mój towarzysz – już gotowy – pochyła się nad księgą, ale dostrzegam, że wzruszenie nie pozwala mu zacząć, więc przysuwam się, obejmuję go i szepczę słowa otuchy, którymi tak często dzielę się z wiernymi, szczególnie tam, przy konfesjonale, gdzie przez kratkę okienka przepływają w moją stronę grzechy ciężkie, lekkie i nijakie. Tylko dlatego przepływają, by fala niosła czyny w postaci słów gdzieś dalej, gdzie władza kapłana, o ile w ogóle taka istnieje, nie sięga. Pozostaje tylko wzruszenie, takie jak teraz, gdy brat ociera łzy ciekące z oczu, łzy, które wywołał widok słów na papierze. Gdy spojrzę na kartkę, również nie powstrzymam płaczu. Sprawia to boska tajemnica

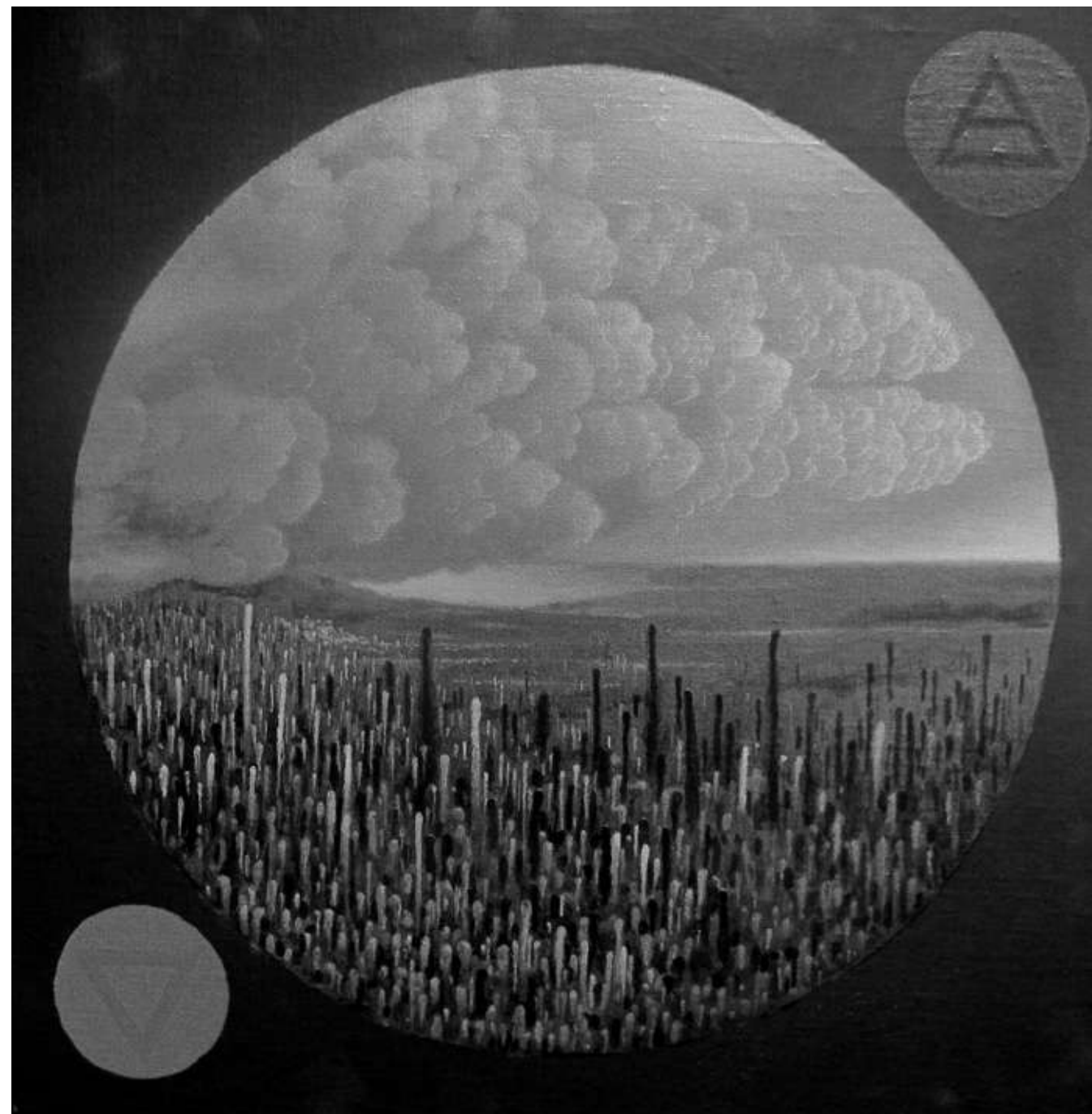
zawarta w znakach liter układających się w słowa, zdania, strofy, w jedyny sens, jaki nam, pokornym sługom Pana, udało się odnaleźć w tym pełnym chaosu świecie.

Święta jest ta nocna godzina, która przywołuje dobre duchy wzbudzone pięknymi słowami płynącymi z ust przyjaciela znającego wszystkie odcienie mojej duszy, od tych ciemnych, które lepiej by ogarnął mrok, po jasne, najjaśniejsze, którymi tak radośnie dzielić się ze spowiednikiem. Przyjaciel – pośrednik ślący do Boga przesłanie. A przecież przychodzi pora, gdy to ja siadam po drugiej stronie i wysłuchuje jego niepokojów, jego tak drogich mi grzechów, a raczej słabostek świętego, które on traktuje tak bardzo poważnie, tak serio, że muszę naprawdę się nabiedzić, by dobrać do nich pokutę. Zawsze wybieram taką, w której i ja mogę uczestniczyć. Jest to najczęściej modlitwa, długa litanie, albo powtarzane po wielokroć święte strofy pacierza. Najlepiej, gdy czujemy pod naszymi ciałami chłód kościelnej posadzki; to jest jedyne posłanie, które dzielimy, posłanie, którego niewygody zdają się największą rozkoszą.

Ale i teraz, gdy słyszę słowa święte wymawiane jego ustami, jest czas radości, czas jasności, i szczęście przepełnia nasze dusze, więc z trudem tłumiąc łzy, dołączam się do niego, i już dwa głosy wypowiadają słowa, wersy, strofy, które – mimo iż znamy je na pamięć – odczytujemy z kart księgi, ponieważ słowo mówione ulatuje w przestrzeń, a słowo zapisane trwa, choć zdawałoby się, że papier jest tak mało wytrzymały. A jednak często bywa czymś trwalszym od kamienia, więc nawet ta cudowna budowla świątyni, która wznosi się strzelistymi wieżami ponad nami, jej kolumny, sklepienia, a nawet lśniące złotem ozdoby nie znaczą nic w porównaniu z odczytywanymi przez nas zdaniem, układającymi się w najpiękniejsze melodie, do których przygrywają na uroczystych trąbach aniołowie, tworząc harmonie opiewające doskonałość świata, który – od najmroczniejszych zakątków, po błyszczące w promieniach słońca górskie śniegi – stworzył dobry Bóg. A stworzył, wymawiając słowo, które teraz krąży między jego ludem, słowo, które może mieć tak wiele znaczeń, jak ilość gwiazd na nocnym niebie. Pod tego nieba opieką modlimy się tym słowem, słowem tym przeklinamy zło, żyjemy tym słowem, oddychamy nim i w tym słowie oddajemy ducha Panu, zwracając z szacunkiem jego dar najwspanialszy.

Słowo jest wszystkim. Jest światem, a zatem jest i nami: moim przyjacielem i mną. Wytrwale pochylamy się nad księgą, wyczarowując dwugłos uroczysty; przeistaczamy litery w dźwięki, które tak doskonale brzmią w tym niezwykłym wnętrzu. ■

KRZYSZTOF RUDOWSKI



Glosa do „Pasji Jezusa z Nazaretu”

WEDŁUG POETKI URSZULI M. BENKI
(W ODBIORZE ANDRZEJA SAJA)

Jeśli w pasji pisany zbiór wierszy – inspirowany nader pasyjnym tematem – nie zdobyłby w czytelnicznym rewanżu takiej samej uwagi, to cel poety/poetki byłby chybiony. A że tak nie jest, niech dowodem będzie ta krótka recenzja – spontaniczna reakcja czytelnika na rzecz, która dotknęła i poruszyła „struny” wrażliwości, tak że wybrzmiał natychmiast parapoetycki komentarz: teksty rezonujące na kolejne stacje tego poematu – modlitwy.

Wiersz wierszem się interpretuje i jest tu tyleż osobnym dopowiedzeniem, co i wyrazem pokłonu dla intencji autorki „Pasji”. Ta skromna glosa do poruszających scen i objawień nie ma zamiaru konkurowania z tekstem U. Benki; pragnie je tylko sobie przybliżyć, wyjawiać i czytelniczne ukontentowanie wyrazić.

Więc idźmy tą „drogą” wyznaczoną przez autorkę zbioru jako kolejni odbiorcy i uczestnicy tego pasyjnego przekazu i doświadczenia celu, którym jest zbawienie: od czego, albo ku czemu ?

Był cud...

Idę w procesji, od stacji
do celu, w ostatnim rzędzie
z widmami, cieniami...
kształtem osobnym, nieobojętnym

Skarga na czas, który wraca
słowem – a staje się
w czynie, w się wstąpieniu
nim przeminie – nie milczącym

Stacja I (według Jakuba)

„Odgrodzić się snem jak od bestii”

Usnąć... snem usprawiedliwionego
Ducha, który nie dręczy, nie
pokutuje za grzechy Innych

Usnąć i wpaść w tę otchłań,
skąd zionie nicością i pozorem,
a oczy modlitewnie ślepną.

Spać – zasłonięty kotarą widzialnego,
z tamtej strony, skąd spozierają
oczy Boga – tej czarnej dziury,
która pochłania nas – bestia
nieoczywistości w oczywistym świecie,
skąd płynie skarga, Czyja ?

Scena II (według Judasza)

„Ciało wiersza w błoto się zamieni”.

Według grzechów naszych
niczym nie zawinieni bo
natura jest naszą Matką
a Duch jasności przyzywa
by poeta u-jawniał
co w mroku zasiedziało:
gniazdo uświadczenia
w lęku lęk się wykluwa
bojaźń pod nieznanym
to się sen nazywa
albo moc z tamtego świata
truchleje w nas
samotnie rośnie w nas wina
albo konieczność...
Zdradzonym w przedświcie
serca nie uładzi
szum krwinek rozpaczy
gdy modlitwa zawodzi

Część 2 (Pascha)

„Anioł tu szedł”

Każdy Anioł wzywa do czynu
by się Jakub w nas odważył
i przeciwstawił:
jak ciało – duchowi
jak zamysł – skończeniu.
Walka to twórcza gra
nicości z usiłowaniem

Część 3 (Imperium)

„Z pychy pono ta nowa ziemia/wstała”

Nic po nas zostanie
tylko cienie rozproszone
migające jak zorze,
a świt wstający po nocy
będzie jak początek
widzenia a'rebous.
Choć jeszcze ślepi – już
rozpoznajemy dobro od zła

Część 4 (Requiem)

„Noc była wieczna”

Że noc jest wieczna – wiemy to,
nawet nieśniąc – albo
w odwrocie zmysłów
Gdy otula nas macica świata;
sen się nami wyraża,
jak każdy sen,
i rodzi się samotnie.

Część 5 (Pole Judaszowe)

„Swego diabła jak krzyż każdy niesie”

Grzeszymy? W sobie złożeni
jak w łożu niegodziwości:
ale to złuda; ciało nas niesie
do swego unicestwienia,
więc zawierzamy demonowi...
Tylko dusza protestuje
i pętli się w snach,
w skrzydłach wybawienia;
bywa że gaśnie: nienasycona.

Stacja III (według Ducha)

„Każdy krok/ Wiódł od otchłani do otchłani”

Jakże to – wzniesienie –
u nas rosnące uwielbieniem
gdy szczyt sięga nieba
podstawa kurczy się do stóp
dziecka wyjętego z łona

Matki nasze wraz z nami
płaczą i płacą daninę
za uświadomienie...
aż upadłe w otchłań – wstaną
by nas pocieszyć

Stacja IV (według tłuszczy)

„Co pan nos wtykasz w sądy...”

by nie spoważnieć do cna
trzeba by w śmiechu się urodzić
i szydzić i kpić z nawyku
myślenia – bo ono podległe
władzy sądenia – a ta
w błocie się nurza i taka
czeka na odpuszczenie grzechu

bycia człowiekiem
w ukłonie przed królem kpiny

(Ja tu tylko wstąpiłem
idący pośród swych zwątpień,
cały ubrudzony literaturą
i mitem odpowiedniości
wobec siebie).

Stacja V (według Heroda)

„Milczysz/ Powrozami, widzę, spętanyś, ale gorzej/ Wzgardą”

1. Ktoś osaczony i osądzony
we własnym imieniu
nasze personalia wymawia;
aż ręce same się rozkrzyżują,
aż serce samo się wybrzusz
i popłynie krwi stokiem,
aż pęknie zasłona świątyni,
zza której te niewidzialne oczy
zobaczą to, czego świat nie widział,

i melodie przestrzeni ścichną,
ustanie wszelki lament,
a zgroza usta zaknebluje

„Uczyń cud i odejdiesz wolny”

2. Miał się spełnić cud
i stało się: słowo
po słowie z martwych
wstało i zamieszkało
w boleści
Czym jest cud?
Ten zastrzyk niewiedzy:
środek znieczulenia
gdy boli...
Dawkowany stopniowo
by go przeboleła nasza wina?

Więc się spełnił
w niedorzeczności i zwątpieniu
wtedy opadły łuski oczu
sądzących i opuścili
podsądnych – by nie widzieć
swego czynu jak rośnie
wina ciężaru krzyża zdjętego .

Stacja VI (według Łotra)

„Człowiek/ To tylko sposób istnienia Boga/ Winogrono na pędzie Boskim”.

Czy to wystarczy: być
sokiem boskiego pędu
tu – na ziemi – zasadzonego
by owocowało gronami
dojrzałości do gniewu?
Pysznością modlitwy albo
odurzającą krwią wina?

Po wyciśnięciu nektaru;
co zostaje z ducha?
W pięści Boga – w tłoczni
nadziei na długie leżakowanie?

Stacja VII (według Weroniki)

*„Płótno moje całe kobiet pokolenia
tkały jak własne istnienia”.*

Każda Matka w połogu
swą chustą szczęścia owija
zrodzoną twarz dziecka;
tę która odbija rysy boskie...

Potem – ta twarz – się zmienia
przybiera pozy i własne pragnienia
ale w zbiorze – jest kalką
tej samej chusty: odbiciem wieczności

Stacja VIII (według Magdaleny)

*„Wzdęte głązy niosą nas w ciemność
A ramiona dębów w namiętność”*

Ona – pramatka nieświętych
kobiet – gdy poświęcają swoje ciało
i składają na ołtarzu oddania
Jest ziemią i pługiem który
zapładnia jej wnętrze
ziarnem zadośćuczynienia
Posiada przywilej dotyku tego
co zarezerwowane w świętości
ale czasem zwraca się ku śmiertelnym

Stacja IX według Dziecka)

„Mamo, ja muszę zerwać tę duszę”

Ileż wzruszeń i poruszeń
i kamyk i ćma i misie;
zabawki porzucone na brzegu:
dzieciństwo płynie wraz z czasem
do oczekującego morza dorosłych.
Tam – w labiryncie pomyłek –
błądząc i klucząc w słowach
szukamy tego znaku i nici
co wywiodą nas z pułapki
nieuświadomionej konieczności.

Stacja X (według Józefa z Arymatei)

*„Grób ogromny jak ziemia
Wędruje otchłaniami kosmosu”*

Bóg nie do grobu złożony
lecz w naszych sercach skryty
puka nieodmiennie od wieków
To wieko kiedyś pęknie i wypuści
ducha pojednania – zalsni
w wieczystej afirmacji swego błękitu

Stacja XI (według Łazarza)

„Bóg w błoto zszedł, Cały...”

Ból, łzy i błoto oblepiające
każdy ruch – by dobrać słowo
przystające i gładko rozmazane
jak łzy na ubrudzonej twarzy
Niepiękni kochają mocniej albo
gorliwiej – bo tylko to mogą
dać z siebie – prócz wierności
za przywrócenie do łaski życia

Stacja XII (według Damy i Sowizdrzała)

*„Gdy jednak bruk mówi już głosami,
Chcę wysłuchać, a ty daj akompaniament”*

Gdy piękno – ideał sięga bruku
odzywają się nieme struny
to przyzywa tamta przestrzeń;
odbicie z głębi obecności, stamtąd
skąd biją strugi wieloznaczności,
a ich bryzgi – słowa, wiersze
modlitwa... spadają jako wodospady
treści, które ujmuje poeta
Tam – w głębi ducha – muzyka
konkuruje z ciszą wieczności
i tylko żart skalny – trwa
o który rozbijają się sentencje

Stacja ostatnia

„Wszystkim, wszystko...”

Jestem Jedno – jeden;
jestem drzewem drzew;
jestem górą gór;
jestem niebem nieba;
jestem różą róż;
jestem snem snów;
jestem żrenicą żrenic;

jestem matką matek;
jestem prawdą prawd;
jestem tym i tamtym;
wszystkim wszystkiego;
i innością Innego;
Jestem Jeden w Jednym.

Coda

Tako rzecz poetka
Matka bezgłośnie modlitwy
Córki muz w niej zasiały
ból ustawicznego rodzenia
I oto syn jej – niepokorny
I niepokonany – wisi w sobie
jak niewidzialny krzyż
przed którym kłękamy
i odmawiamy modlitwy
przed kolejnymi stacjami
naszej męki i naszego lęku
w słowie zmartwychwstałego.

I niech się zaświeci
w nas ten wstyd że wiara
płochą kpina zbywa sąd
o tym co objawione ale

skryte w namiętności słów
wpisanych w triumf poety
nad nocą która snami
mówi to co niewypowiadalne

aż się odwróć strony: biała noc
z czarnym dniem połączy pępowina
i tylko nadzieja w połogu
i tylko rodzący się ból

tylko echo niesie dusze tych
co żyją w lęku i nadziei
aż sięgną wymarzonej miary
przez Tego Który to doświadczył.

Tyle tej wiary w słowo u-świadamiające cud tworzenia, w nadzieję, że słowo stanie się ciałem, nie zniknie w jaskini rzeczywistości, gdzie swe żarna czas rozkręcił i sypie nam w oczy zasłonę niewiedzy, lecz wiara – ta usłużna wróżka – przepowiada to, co niewypowiadalne; i stąd ten skromny komentarz do poezji.

Wszystkie cytaty z tomiku U. Benki” Pasja Jezusa z Nazaretu”, Akwedukt, W-w 2020. ■

ANDRZEJ SAJ

KRZYSZTOF RUDOWSKI

TEATR MÓJ WIDZĘ...

Nikogo z wybrańców, którzy mieli okazję poznać genialny prozatorski fresk Urszuli Benki o biblijnej Magdalenie, nie zdziwi ta apokryficzna opowieść traktująca o Pasji. Zdumiewać może jedynie temperatura tych mikropoematów tchnących właśnie pasją, jaka konieczna była do ich powstania.

Zbiór rodził się wyjątkowo długo; blisko trzydzieści lat. Ale znaczące dzieła potrzebują czasu. Nie ma bowiem wątpliwości, iż by tworzyć teksty wielkiego kalibru, konieczny jest właśnie czas; czas do namysłu, czas na wnikliwe studia nad tematem, a przede wszystkim – to wie każdy wtajemniczony – czas oczekiwania na natchnienie. A *Pasji Jezusa z Nazaretu* Urszuli Benki nie da się inaczej określić niż *n a t c h n i o n a*.

Dobrze znamy osoby dramatu: Judasz, Herod, Łotr... Ale nigdy nam ich mało, jak nigdy mało nam chleba powszedniego. To bowiem pokarm naszych dusz od chwili narodzin po chwilę śmieci, a im do niej bliżej, tym bliżsi stają się ci, którzy zdają relację z Pasji.

Można się domyślić, że pierwsza Stacja dotyczy Jakuba, syna Zebedeusza, tego samego, który spoczął w Santiago de Compostela. U Benki apostoł *tańczył nocą w oliwniku*; w tekście wręcz fizycznie czujemy rytm wyimaginowanej melodii. Dlaczego Druga Stacja poświęcona jest Judaszowi? Dlaczego jest tak rozbudowana, układając się w pełen napięcie poemat? Możemy zadać wiele pytań, a każde będzie miało umocowanie w wątpliwościach, jakie od dwóch tysięcy lat ma każdy, kto pisze o Judaszu Iskariocie; być może autorka ma ich nawet więcej niż inni...

Tymczasem kolejne Stacje ukazują topografię miasta. Uliczki Jerozolimy zaczynają w pewnym momencie przypominać zaułki Dublina, szczególnie gdy oddajemy głos Tłuszczy przekrzykującej się niczym przekupnie na targu. Pojawia się forma dramatu, który staje się integralną częścią dzieła, jak dramat który wtargnął w tekst dwudziestowiecznego *Ulisses*.

Dlaczego raz jeszcze zburzona zostaje proporcja i Stacja Piąta, poświęcona Herodowi, przemienia się w tętniący namiętnościami epos? Czy zasadą jest oddanie głosu na dłużej postaciom negatywnym? Może po to tylko, by je obronić, a może przemienić,

jak na kartach Ewangelii przemienia się wodę w wino? Na myśl przychodzi sienkiewiczowski monolog osadzony w retoryce Szekspira. W czymże lepszy Jordan od Dniepru, w czymże?

Do głosu dochodzi liryka, czysta poezja płynąca wprost z krzyża, na którym cierpi Łotr. Nie dziwi nas odpuszczenie mu grzechów. Za tak piękne strofy.... Ale romantyczna wizja Magdaleny (jakże bliskiej autorce, skoro poświęciła jej prawie tysiąc stron powieści) nie ma sobie równiej w tym zestawieniu. Chciałoby się rzec: najczystsza, najpiękniejsza. Trudno więc się dziwić, że za nią przychodzi Dziecko, które rodzi się przeciw z miłości; z Miłości.

Trochę rozwagi, może tylko rozsądku, jeśli za życia posiadamy gotowy grób. Ale przecież legenda głosi, że Józef z Arymatei był tym, który dzierżył kielich. Oddajemy tymczasem głos Łazarzowi – ludowemu poecie, a zaraz potem dialog Damy i Sowizdrzała barwy gwiazdnej poezji.

Pointa jest wszystkim. Jest ostatnim rozdaniem, jak „rozbójnik” w karcianej grze kierki. Dla mnie tchnie powagą borgesowskiego *Innego poematu o darach* (w kongenialnym przekładzie Stachury), w którym autor dziękuje *boskiemu labiryntowi skutków oraz przyczyn* za świat, drobiazgowo wyliczając jego składowe, wśród których nie zabrakło podziękowania *za ostatni dzień Sokratesa, za Swedenborga i za apteczną woń eukaliptusów*.

Dołączę do tego poematu tylko jeden wers:
za Pasję Jezusa z Nazaretu Urszuli Benki ■

KRZYSZTOF RUDOWSKI



„Im mniej, tym więcej” – o poezji Andrzeja Saja

Czas jest zjawiskiem fascynującym; stanowi przecież miarę wszelkiej zmiany, która zachodzi w świecie zarówno żywego człowieka, jak i rzeczy. Wszystko się przeistacza, wszystko pulsuje, nic nie jest identyczne z tym, co trwało jeszcze przed sekundą. Oczywiście dzieje się to jakby na zwolnionym filmie; nie dostrzegamy (i nie doświadczamy) tego natychmiast. Ale owe zmiany zachodzą właśnie w czasie, albo... poza nim. Dopiero gdy patrzymy w przeszłość możemy je zauważać, a także rozważać.

W swym głównym nurcie analizuje podobne zagadnienie poezja Andrzeja Saja zawarta w tomie „Stare zwyczaje Młode nawyki”. Oto w wierszu bez tytułu otwierającym zbiór czytamy:

(...)
raz się wznosimy,
to znów spadamy,
a los wciąż nas osadza
nad horyzontem ziemi
(...)

(* * * Stare nawyki...)

We wszystkim istnieje – wydaje się mówić poeta – element niezniszczalny.

„Stare nawyki” zakodowane są w nas i wyznaczają miarę wszystkiego. Przytoczmy zakończenie powyżej cytowanego wiersza:

W mowie – oswojeni dzicy
bądźmy czujni jak poeci,
albo jak dzielni wandale
niszczący starą kulturę,
by zbudować nowe państwo
(skąd nas nikt nie wygoni)

Świetna metafora owych zmian zachodzących w otaczającym nas świecie; zmian niekoniecznie rewolucyjnych, niszczących „stare”, ale niedających niczego natychmiastowego w zamian. Uogólniając – zauważmy, że „stare” staje się niezbywalnym fundamentem „nowego”. Zaznacza się więc tutaj progresywny rozwój świadomości człowieka. Tak też jest i w naszym jednostkowym życiu: dojrzewając, starzejąc się – korzystamy z poprzednich doświadczeń, które – bogatsi o nieustannie nabywaną wiedzę i doświadczenie – wykorzystujemy podświadomie do budowania zarówno świata zewnętrznego, jak i przede wszystkim wewnętrznego. Zmienia się nasze podejście do wszelkich zjawisk, pogłębia się ich rozumienie.

W poezji Andrzeja Saja czas jako taki nie ma charakteru destrukcyjnego. A jeśli nawet by miał, to my i tak nie odczuwamy tego nazbyt boleśnie, bo pozostaje on dla nas „środowiskiem naturalnym”, płynie obok nas i w nas samych. Wszak ryba nie czuje dyskomfortu dlatego, że woda jest mokra...

Pomimo wszystkich zmian ważna okazuje się zasadnicza ciągłość, która pozwala nam na wyraźniejszy ogląd świata. To co było, niechże dalej będzie fundamentem tego, co jest. Powiada poeta:

Gdy idziesz w starość weź ze sobą
wspomnień garb ochronny
i kompas poezji – może zawodny
ale tam dokąd idziesz
wszystkie kierunki łączą się w jeden
biegun niezrozumienia
(* * * Gdy idziesz...)

Czas wprawdzie trzyma wszystko, co istnieje, na uwięzi, stymuluje nasze działania, ale właśnie – podkreślmy – nie bywa czynnikiem destrukcyjnym. Owszem, przynosi kres. Jednak ważniejszy jest fakt, że stanowi siłę inspirującą, pozwala człowiekowi wciąż budować własną tożsamość, na swój sposób określać świat widzialny i niewidzialny. Bo przecież:

i tak dojdiesz do celu
samego w sobie:
kropki na końcu zdania.
(jw.)

Według poety świat można opisywać w warstwach powierzchniowych, ale wciąż jest on niedefiniowalną tajemnicą, niedającą się objąć w całości ludzkim umysłem. Nawet

język poezji okaże się tutaj bezradny. Można bowiem poznawać w jakimś sensie „manifestacje zewnętrzne”; można zbliżać się do samej istoty, ale nie sposób werbalizować, dokonywać daleko idących uogólnień. Nasze poznanie ma charakter przede wszystkim zmysłowy:

*młodzi nie dojrzą oczami starości
tego co wiek późny zebrał i przeżył
(...)
bo młodość i starość – to dwa stany
tej samej materii – w samowyczerpaniu
nic nie jest trwałe i nieodnawialne
jak mgła – zwiewna – nieprzenikalne
(* * * młodzi nie dojrzą)*

Czy zatem jesteśmy zdeterminowani? W pewnym sensie tak. Mówi poeta, że przecież jedziemy wszyscy w tę samą stronę *choć pociągi zmierzają w kierunkach przeciwnych* (W drodze). Czas prowadzi w kierunku wieczności. Czas więc – jak twierdzi podmiot liryczny – okazuje się wieczny, podobnie jak Słowo. Ale Słowo było na początku, a czas? Poezja Andrzeja Saja zbliża się intuicyjnie do Absolutnej Tajemnicy, i to jest najbardziej istotnym tej poezji walorem; prowadzi dyskurs z niewidzialnością, z samym Absolutem, który w tej jakże dynamicznej wizji manifestuje się pod różnymi postaciami, symbolami, pojęciami. Nic tutaj nie jest jednoznaczne, skończone. Wszystko znajduje się w ciągłym ruchu. *Te wiersze są chciwe treści* napisał poeta w jednym z utworów, i ten wers zawiera kwintesencję twórczości Andrzeja Saja.

Druga część tomu – „Serenitas vitae” – to osobliwy poemat składający się z czterdziestu części. Nawiązuje on do herbertowskiego „Pana Cogito”. Alter ego postaci Pana Cogito stanowi występujący tutaj Stary poeta, który patrzy na świat z perspektywy własnych doświadczeń i gorzkiej egzystencjalnej wiedzy, a w Panu Cogito widzi doskonałego interlokutora. „Serenitas vitae” to poemat egzystencjalny, mówiący o „starości”, o lęku przed utratą zdolności twórczych. A jednocześnie o satysfakcjach wcześniej nie znanych młodemu poecie, bo wynikających właśnie z szerokiej wiedzy oraz z wielu doświadczeń. Napisałem „starość” w cudzysłowie, bo nigdzie w wierszach Saja nie spotkamy utyskiwania nad utratą jakiegokolwiek sprawności fizycznej czy intelektualnej. Czas wszystko czyni innym, młodość zastępuje starością, ale w zasadzie też niczego nie niszczy. Oto:

*(...)
stary poeta zwie sny po imieniu
zna ten najstarszy i ten który*

*czeka na swe kolejne urodziny
nie strzela słowami na darmo
(Serenitas... XVI)*

Trzecia część tomu, „Ananke”, zawiera utwory bardziej zdystansowane do samego podmiotu lirycznego. Tu możemy przytoczyć początek tytułowego wiersza:

*To co konieczne jest nieuchronne
by spełnił się cykl odnowy – tylko
czas powtórny, nie niwelujący,
zamyka się w kole wiecznotrwałym.*

Znowu swoisty determinizm? Czas w poezji Saja ma zawsze charakter cykliczny. Przemijanie nie jest drogą do nieistnienia, ale zmianą jego formy. Rzecz by: drogą powrotu. Wszystko trwa i dzieje się w owym „kole wiecznotrwałym”. Rzecz by: niezbywalnym.

Głęboka, bardzo indywidualna, filozoficzna poezja Andrzeja Saja jest ważnym zjawiskiem na firmamencie poezji polskiej.

Tom „Stare zwyczaje Nowe nawyki” został wzbogacony o metaforyczne prace wybitnego grafika, rysownika i plakacisty Eugeniusza Get-Stankiewicza.

Wróćmy na moment do tomu „Oprawa światła”, który ukazał się wcześniej, bo w roku 2020. Znajdują się tutaj wiersze z lat 1982-1987, do tej pory niewydawane. Można doszukać się wspólnego mianownika pomiędzy utworami z tomu „Stare zwyczaje...” a pomieszczonymi w „Oprawie światła”. Poeta usiłuje opisać to, co niewyraźne, co nie da się określić wprost. Poszukuje więc osobnego języka, dostatecznie celnej i nośnej metaforyki, która wyeksponuje całe bogactwo znaczeń, jednak ich nie nazywając. Wiersze Saja odnoszą się głównie do intelektu, wrażliwości, wyobraźni odbiorcy. Właśnie on, czytelnik, musi kreować ten cały poetycki, niedosłowny teatr. Podobnie jak fraza muzyczna, wiersze autora „Oprawy światła” wywołują pewne asocjacje, tworzą określony klimat, przekazują swoje przesłania w sposób – nazwijmy to – ponadśłowny. Dialog z tymi utworami odbywa się na innym, wyższym poziomie. Nie znaczy to jednak, że poetyckie słowo nie jest tu ważne, przeciwnie. Ale trzeba zwrócić uwagę na jego swoistą wielopłaszczyznowość. Nie wystarczy bowiem sam komunikat. Ten, wydawałoby się potoczny, komunikat jest przecież w utworach Saja wielopiętrowy. Poeta zostawia duże pole dla wyobraźni czytelnika. W swoich wypowiedziach pozostaje oszczędny – nie ma w nich żadnej zbędnej metafory ani opisu:

*im mniej tym więcej
nicość jest formą wszędobylską
możliwość zaśpiewem przestrzeni
(...)
poezja wiarą i poznaniem
ale też zwątpieniem bywa nadzieją...*
(* * * im mniej tym więcej...)

Poezja Andrzeja Saja wykracza poza realia ziemskie. Przecież nawet wyschnięte drzewo nie traci życia:

*ono żyje w spiżarni nieba
jak widomy znak boskiego pokarmu*
(* * * wyschnięte drzewo)

W twórczości Saja (w obu zresztą omawianych tomach) istnieją jakby dwie rzeczywistości. Ta realna, sprawdzalna, mówiąca o konkretnych zjawiskach – podszyta jest inną, równie ważną rzeczywistością, zaledwie intuicyjnie przeczuwaną. Mamy tu do czynienia z głęboką świadomością, że nic się nie kończy w zasięgu naszego wzroku. Przecież

*między pojęciem Boga a boskością pojmowania
tworzy się forma i ona jest wieczna
(...)
staje się w istotności
władzą zwierzchnią
niepoznawalności
i jej zapisem w Księdze*
(* * * między pojęciem Boga...)

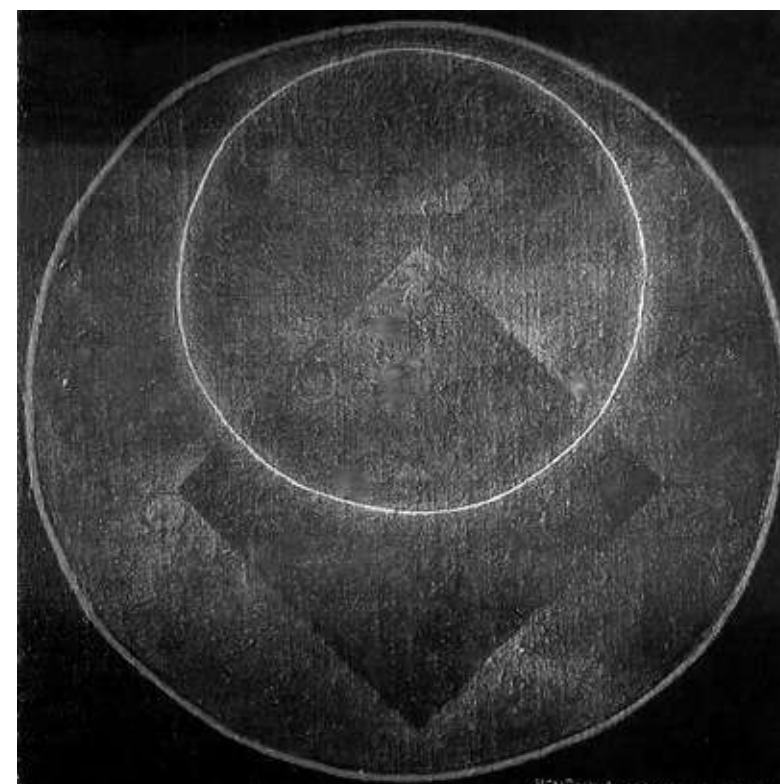
Andrzej Saj znajduje adekwatne i bardzo precyzyjne środki, by o transcendencji mówić w sposób możliwie pełny i trafny, ale też oszczędny. Brak oszczędności spłycałby wszak wizję poetycką i osłabił jej ekspresję. Mamy zatem przedstawioną tutaj przebogatą rzeczywistość milczenia i ciszy – może ją odkryć tylko poeta, który jest niczym *starzec spóźniony o własną śmierć*.

Stefan Jurkowski

Andrzej Saj „Stare zwyczaje Młode nawyki”, Wrocław 2021 s.152. Posłowie Roger Pia-skowski, grafiki Eugeniusz Get-Stankiewicz.

Andrzej Saj „Oprawa światła”, Oficyna Wydawnicza „Akwedukt”, Wrocław 2020, s.124.
Posłowie Urszula Benka. ■

STEFAN JURKOWSKI



Marginalny przegląd wydawniczy

Żadna ze wspomnianych książek nie ukazała się w poważnym domu wydawniczym, lecz są to publikacje klubowe, sponsorowane i prywatne. To oczywiście nie obniża ich wartości, a nawet może budzić nadzieję na odmienność od preferowanych wzorców. Przegląd nader fragmentaryczny i nieco przypadkowy, zacznę od książek wydanych w twardych okładkach. To dwa obszerne tomy poezji Talemacha Pilitsidisa, *Dwie rzeki i Ślad czasu*, łącznie ponad 260 stron, wydane w Głogowie, zawierają rozmaite przemyślenia, jak choćby ten wiersz:

*Gdy wołam
Słyszę wołanie
I nic więcej
Gdy
Zamieniam się w słuch
Słyszę pustkę
A w niej
Mnie
Nie ma*

Poczucie braku pojawia się w wierszach Adama Korzeniowskiego, uciekiniera z Wrocławia, który po latach spędzonych w puszczy odkrywa dalekie kraje. Jego pierwszy tomik *Świadectwo profana* wyszedł dziesięć lat temu jako 37 pozycja Biblioteki Pegaza Lubuskiego. Nowy tomik *Spotkanie Go na Lampedusie* wydany przez niecierpliwego autora zawiera takie spostrzeżenia:

*Rosjanie nie lubią Polaków (...)
Żydzi nie lubią Polaków
Polacy nie lubią Polaków
Jestem Polakiem
Nie lubię siebie*

Z wydawnictwa AKWEDUT Klubu Muzyki i Literatury we Wrocławiu trafiły pod mą strzechę trzy tomiki poetyckie, a każdy inny. Najciekawszą wydaje się mi książeczka Urszuli Małgorzaty Benki *Księżyc się pokłócił z jajkiem*. Nicią przewodnią jest opis piekła, który u Swedenborga przypomina naszą codzienność. Dlatego poetka zamyka tomik następującym wezwaniem:

*Rozluźnijmy piąstki
Powolutku zsuńmy podwiązki
Kłóćmy się już cichuteńko
Ty na twardo a ja na miękko
Na mięciutko
Na cicho cichutko*

Tom Andrzeja Saja *Oprawa światła* zawiera wiersze z lat 1982- 1987, z trudnego czasu stanu wojennego, który wciąż się dziwnie przejawia i choć lata mijają, wciąż trzeba sobie powtarzać:

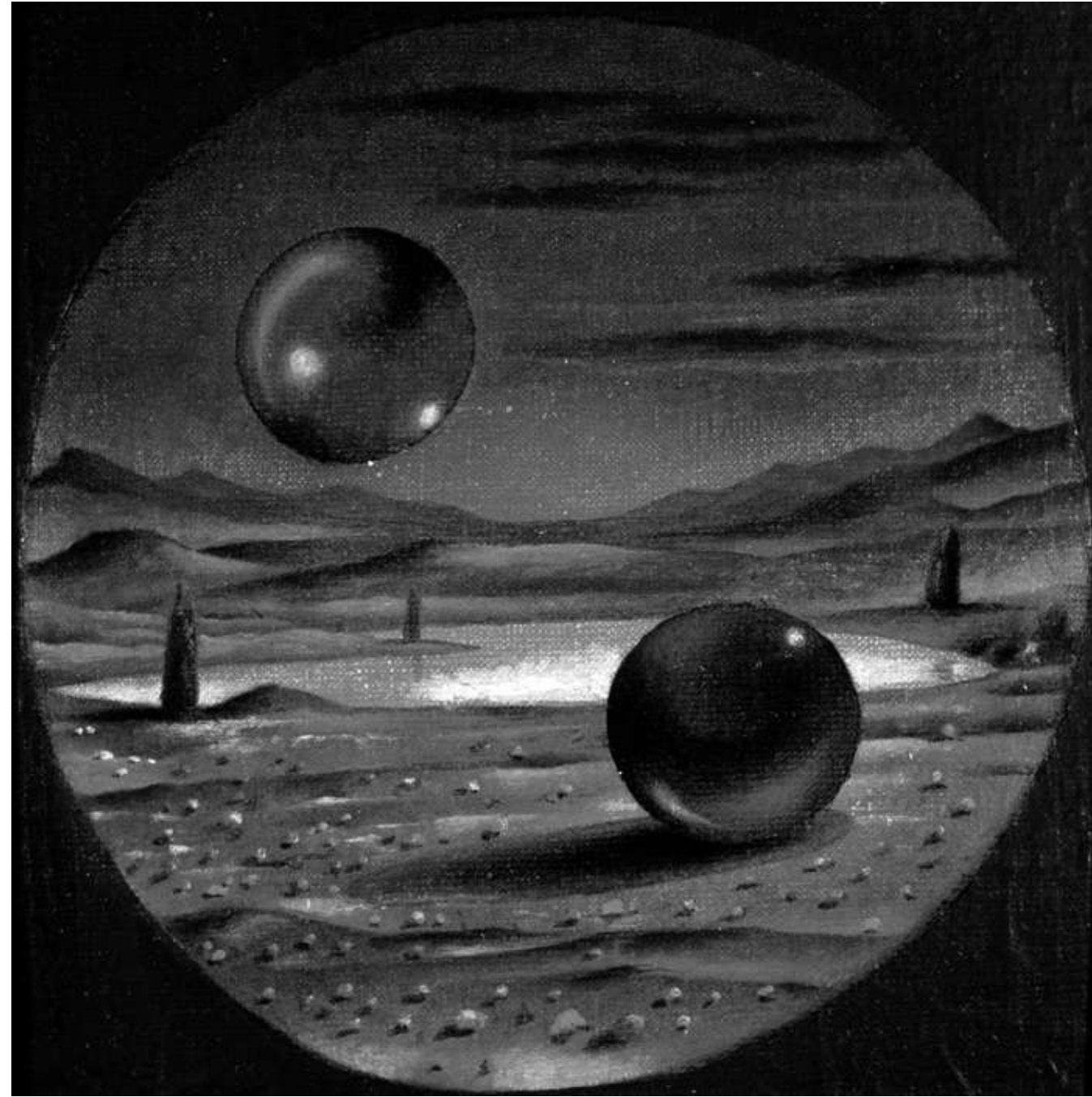
*nie upadaj na duchu mój duchu
wszystko jest lotne i przelotne*

Do tego zbioru wierszy Urszula Małgorzata Benka napisała posłowie w którym celnie określa, czym jest ta, ponad stu stronicowa książka: *...notacją dialogu z samym sobą, uwolnioną od premedytowanych form, jakie nadaliśmy refleksji nad światem, światłem, sensem sztuki, sensem zła, nad miłością i chyba też ojcostwem, a osobno – także nad funkcją liryki... rozważania biegną po giętkiej pięciolinii metafor, znakomitych, wysmakowanych, a zarazem osłupiająco spontanicznych.*

Trzecim tomikiem wierszy, który do mnie trafił - trochę przypadek gdyż Oficyna Wydawnicza AKWEDUT wydała ponad trzydzieści książek - to Andrzeja Marii Dzierżanowskiego *Tak sobie myślę*, zbiór wierszy inspirowanych zarówno spontanicznymi obserwacjami, jak i literaturą.

Ale oprócz dominującej ilościowo poezji jeszcze marginalnie istnieje proza. W *Bibliotece Rity Baum* ukazała się powieść drogi oparta na motywach egzotycznych: *Elektryka duszy* Jacka Zachodnego. W odmiennej scenerii można lepiej zauważyć zarówno inność jak i schematyczność zachowań ludzi, ich mentalność tylko pozornie różną od naszej. Czyta się to świetnie a nagromadzone opowieści, rozmowy i zdarzenia, tworzą klimat ciągłego poszukiwania samego siebie w relacji z innymi ludźmi.

Jacek Zachodny jest jeszcze autorem tomu opowiadań i dwóch innych powieści. Jako artysta wizualny osiągnął sukces, stał się zauważalny, stypendia krajowe i zagraniczne, wiele wystaw, natomiast jako pisarz nie może się przebić. Recenzenci nie chcą czytać, wydawcy stawiają dziwne warunki, a już jeśli ktoś wyda książkę poza najważniejszymi wydawnictwami, a jeszcze gorzej, jeśli autor wyda dzieło swoim nakładem, to będzie dokładnie przemilczany. Wtedy żaden szanujący się krytyk nie przeczyta ani stroniczki takiej samowoli. Tu chciałbym przypomnieć, że pewien gracz giełdowy, rysownik, podróżnik, opiumista i poeta, wydawał swoją twórczość samodzielnie, a był to Juliusz Słowacki. Może marginalne wydawnictwa są ciekawsze od głównego nurtu obsługiwanego przez ważne wydawnictwa i zatrudniające poważnych recenzentów. ■



KRONIKA KULTURALNA w czasach zarazy

Zaraza jest grą zespołową. Jest rozgraniczeniem i zarazem mieszaniem epok. Zarażanie jeden drugiego też, elementem zespołowej i, ba, kulturowej gry.

Na Biennale w Wenecji filozof Krzysztof Warlikowski zdobył Złotego Lwa za całokształt pracy reżyserskiej teatralnej i operowej. Wcześniej otrzymał m. in. Moskiewską Nagrodę Meyerholda za najwybitniejsze osiągnięcia w reżyserii światowej (2006), Nagrodę im. Konrada Swinarskiego za *Anioły w Ameryce* (2007), Nagrodę Village Voice za reżyserię *Krum* Hanocha Levina.

Oto jedno z dokonań, dające wgląd w skalę tych kreacji. We współpracy z Narodowym Instytutem Audiowizualnym TVP stworzył w 2014 czarno-biało-kolorowy spektakl *(A)pollonia* – o ofierze, winie i przebaczeniu. Ta opowieść na bazie Ajschylosa i Eurypidesa, Andersena oraz tekstów współczesnych: Johna Maxwella Coetzego i Hanny Krall czy powieści *Laskawe* Jonathana Littella, *Pobojowiska* Marcina Świetlickiego i *Pocztę* Rabindranatha Tagore, wreszcie *Mamo, gdzie jesteś?* Andrzeja Czajkowskiego, gdzie wątki dramatyczne zostały poprzepłatane z songami w wykonaniu Renate Jett. Pokazuje w campowy sposób zalegającą wciąż powojenną traumę. Powstała figura trzech kobiet: Ifigenii – poświęconej przez ojca Agamemnona za ojczyznę, Alkestis – oddającej życie za męża i wreszcie Apolonii Machczyńskiej, która osierociła swoje dzieci, ponieważ zdecydowała się ukrywać Żydów.

Heroizm okazuje się w przypadku bohaterów dwuznaczny, ich wybory moralne cholerstwem. Reżyser zapytuje o prawo do decydowania o życiu – cudzym. Podważa również mechanizm uświęcania ofiar oraz równie mechaniczny osąd moralny zbrodniarzy wojennych; zło okazuje się chaosem. To wszystko w intrygującej scenografii Małgorzaty Szczeniak. W hali fabrycznej wytwórni wódek Koneser aktorzy poruszają się na tle białej ściany, na której widać zbliżenia ich twarzy rejestrowane nieustannie śledzącą ich kamerą oraz w dwóch pomieszczeniach z pleksi – stylizowanych na salon (ruchomy) i łazienkę, a może raczej rzeźnię. Dominującymi materiałami scenografii są się metal, beton, pleksi i folia, przestrzeń rzeźni bądź laboratorium. Aktorom, przyjmującym często monologowo-marionetkowy styl gry, towarzyszą naturalnych rozmiarów manekiny-dzieci.

Spektakl stał się tematem wielu tekstów, a następnie debaty wybitnych humanistów: Joanny Tokarskiej-Bakir, Bronisława Świdorskiego i Piotra Kłoczowskiego. Rozmowę, w której uczestniczył również sam reżyser, poprowadził dramaturg Nowego Teatru, Piotr Gruszczyński, współautor scenariusza *(A)polonii*.

W epoce pandemii **bestsellerem księgarskim w Polsce jest „Mein Kampf. Edycja krytyczna”**, najpopularniejszym pisarzem – z tego wynika – Adolf Hitler.

Cena 149,90 zł, a pomimo to, w niektórych księgarniach internetowych czy stacjonarnych nie można już jej dostać. Była to jedna z książek najśłynniejszych a nieobecnych – nieomal jak luterńska Biblia u katolika w czasach kontrreformacji. Co rodzi interpretacyjne demony. I na pewno nie zapobiegło renesansowi złego ducha w Europie. *Mein Kampf. Moja walka. Edycja krytyczna* (dopiero druga na świecie; niemiecka ukazała się w 2016) pod redakcją i w tłumaczeniu Eugeniusza Cezarego Króla już wzbudza sporo kontrowersji. Redaktorka projektu „Żydoteka” zwracała uwagę, że „okładka wydania wcale nie sugeruje, że to *edycja krytyczna z komentarzem*, bo ta informacja jest niemal niewidoczna, natomiast przywołuje estetykę nazizmu”. Często interweniowali także klienci, którzy chcieli, aby leżała na księgarskim zapleczu, a nie w oknie. Naukowy komentarz prof. Króla objaśnia, na czym polegała zbrodnicza ideologia niemieckiego nazizmu; prof. Król to historyk, politolog, tłumacz niemieckiej literatury historycznej, laureat m. in. Nagrody Kilo, Jana Długosza i Nagrody im. Joachima Lelewela.

Kluczowych dla nazizmu kwestii nie da się jednak nikomu *wytłumaczyć*. Decyduje o nich nie ideologia, ale aktywność mrocznych rewirów psychiki. Paradoks tkwi w tym, że w pojęciu głosicieli zła chodzi o najwyższe dobro, a mnóstwo zbrodniczych impulsów ujmują w sposób miękki, metaforyczny, lub nudnie, mętnie lub głupkowato, co zniechęca do wmyślenia się w treść. Wrocławski tłumacz literatury niemieckiej, w tym Thomasa Bernharda, Ernest Dyczek, utrzymywał, że *Mein Kampf* odstręczyło od czytania całą wierchuszkę III Rzeszy na czele z Goebbelsem. Udawali, że czytali. Takie książki dopowiada się samemu.

Złośliwie dodać można, że samemu Hitlerowi nie chciało się już przysiąc fałdów i dopracować dzieło literacko, stąd dłużyzny, tandetne zapiewy i wiedza o świecie prosto z magla. Prof. Król przytaknie, że główny problem nie w tezach *Mein Kampf*, tylko w SPOŁECZNYCH rozmiarach owego MAGLA.

Aktor przerwał nagrywanie audiobooka z książką Artura Domosławskiego o Zygmuncie Baumanie, powodem zdanie krytykujące Jana Pawła II.

Chodzi o powieść *Wygnaniec. 21 scen z życia Zygmunta Baumana*. Lektor uznał, że nie może się zgodzić z jednym z użytych w tekście sformułowań i odmówił dalszej pracy. Fragment brzmi: „Spory budzi przesłanie Jana Pawła II, który podczas pielgrzymek do

Polski nazywa wolność człowieka, pozbawioną bliskich jemu wartości, deprecjonującym określeniem »swawola«. Papież piętnuje świeckie prawa – między innymi prawo kobiet do decydowania o urodzeniu dziecka lub usunięciu ciąży. Jednym ze skutków tych nauk i uległości znacznej części establishmentu wobec Kościoła jest wprowadzenie ustawy antyaborcyjnej. W 1995 roku w Skoczowie Jan Paweł II posuwa się do wygłoszenia niedorzecznej tezy, że w Polsce powraca dyskryminacja katolików i że są oni spychani na margines życia społecznego”.

„Aktor zachował się w porządku. Rzeczywiście, odmówił czytania, ale ani wydawnictwo, ani Audioteka nie poniosły przez to żadnych kosztów”, przekazało w komentarzu dla Onetu Wydawnictwo Wielka Litera, w którym Domosławski wydał swoją książkę. On sam, jakby zaskoczony, bo denerwujące zdanie znajduje się na... 655 stronie. Producent nagrania znalazł nowego lektora i nagrywanie rozpoczęło od nowa, z nadzieją, że wykonawca przed występem zapozna się z tekstem swojej roli. Jak widać, niski poziom czytelnictwa w kręgach wydawniczych samych wydawców finansowo naraża, ale i nie naraża.

Aktor może być nominowany do Oscara Anonimowego, trzymam kciuki.

Dolnośląski Oddział Stowarzyszenia Pisarzy Polskich wskrzesił po 13 latach Serię z Kołatką. Okładki wykreował Krzysztof Chara, również pisarz. Tak więc znakomity tomik redaktora magazynu „Format” Andrzeja Saja, urokliwe liryki Andrzeja Dzierżanowskiego i tomik-poemacik Urszuli M. Benki. Współpracujący AKWEDUKT wydał też w wersji polsko-czeskiej (tłumaczenie Libora Martinka z Uniwersytetu Wrocławskiego) świetnie przygotowany wybór poezji Czesława Sobkowiaka z postłowie Jacka Łukasiewicza, bodaj to ostatni większy tekst Jacka.

Otóż radość w cieniu. Odeszli z naszego środowiska tutaj dwaj unikalni mistrzowie literatury pisanej i oralnej: Jacek Łukasiewicz, laureat Nagrody Orfeusza, i Bogusław Bednarek, hermeneuta symboli i wielkich mitów. Jako wykładowcy jeszcze w PRL nauczali o *Nienasyceniu* Witkacego i o Graalu. Nam pozostaje, cóż, widzieć dokoła splot Graala z Witkacym.

Rewelacyjna powieść o Wrocławiu, wreszcie nie wiązka obrazków obyczajowych, nie dorywcze eseje, choćby i piórem geniusza, wreszcie nie fikcje dla fikcji, nie historyczna nowela dla liceum, tylko z Witkacym Graal w jazzowym pubie na Oławskiej. Jak w lustrze tego, co u nas jest. Autor natomiast, Krzysztof Rudowski, jest trębaczem i lubi snuć się po lodowatych Tatrach jak Bungo z *662 upadków Bunga*.

Otóż radość: Witkacego kilkaset fotografii uniknęło spalenia w mieszkaniu, do którego wpadła zapalająca petarda Narodu Polskiego paradującego w święto 11

Listopada. Na balkonie II piętra przy Alei 3 Maja na warszawskim Powiślu zapaliły się od rac i petard zabytkowe drewniane ramy. O mały włos nie stanęły w ogniu trzymane tam w pudłach oryginalne fotografie Witkacego. Były częścią zbiorów artysty fotografa Stefana Okołowicza, który od początku lat 70 kolekcjonuje i opracowuje fotografie Witkacego; wspólnie z Ewą Franczak (tekst) wydał słynny album „Przeciw Nicości” (Wydawnictwo Literackie, Kraków 1986), gdzie znalazły się 383 reprodukcje czarno-białe i 18 w sepii i kolorze.

Te zbiory prezentował Okołowicz na wielu wystawach w Polsce i zagranicą. Przygotował też część poświęconą Witkacemu w ramach wystawy „Malinowski - Witkacy. Fotografia – między nauką i sztuką” (Kraków - Warszawa 2000), której katalogiem był poczwórny numer kwartalnika „Konteksty. Polska Sztuka Ludowa”, wydawanego przez Instytut Sztuki PAN. Starano się poruszyć zagadnienia związane z antropologią wizualną. Problematyce fotografii, filmu, ich sposobom wykorzystania w antropologii, jak i też antropologicznym wymiarom filmu i fotografii, ich związkom z etnografią „Konteksty” (nr 3-4/1992; nr 3-4/1997) poświęcały szczególną uwagę. Osobny wątek wystawy i refleksji: antropologiczny status samej etnografii, o której coraz częściej powiada się, że jest „hybrydyczną działalnością” (James Clifford, uważany za ojca „postmodernistycznej” antropologii, otwartej na możliwą interdyscyplinarność opisu kultur)), hybrydą nauki i sztuki, tworem pomiędzy nauką i literaturą, nauką i sztuką. Osobnym fenomenem był oryginalny sposób wykorzystania oraz uprawiania fotografii, jako wyraźnego eksperymentu już artystycznego – fotograficzna twórczość obu bohaterów wystawy, ich młodzieńcza przyjaźń, wspólna podróż odbyta do Australii, podjęta z zamiarem, by Witkiewicz dokumentował na zdjęciach i rysunkach „materiał” pioniera etnologii, gromadzony w coraz jaśniejszym poczuciu, że przekraczali swój horyzont człowieczeństwa i stykali się ze „stanami dzikości”. Trafne było to poczucie, u progu I wojny światowej w Europie.

W sumie – uliczne ekscesy patriotycznej naszej wiary przypomniały, że „przeciw nicości” to także ostra chociaż nieświadoma walka z pietyzmem i ocalaniem od zapomnienia, od niezrozumienia, od duszy niemycia. Chyba po prostu nicość już tak ma, że ledwie jej tknąć, a wyskakuje jakieś Coś? W wypadku Witkaca to są zwykle fotoautoportrety z cholernymi grymasami, papierosem i wywalonym wzgardliwie językiem.

Obraz z pracowni XVI-wiecznego mistrza weneckiego odkryto w angielskim miasteczku Ledbury. To pierwszy taki przypadek w historii - zachwycają się eksperci. „Ostatnia wieczerza”, o rozmiarach 366 na 152 cm, wisi w kościele Świętego Michała i Wszystkich Aniołów od roku 1909.

Internetowe komentarze w naszym kraju sprowadzały się do nędzy polszczyzny, w jakiej podano informację oraz, że tylko londyński uliczny artysta Banksy

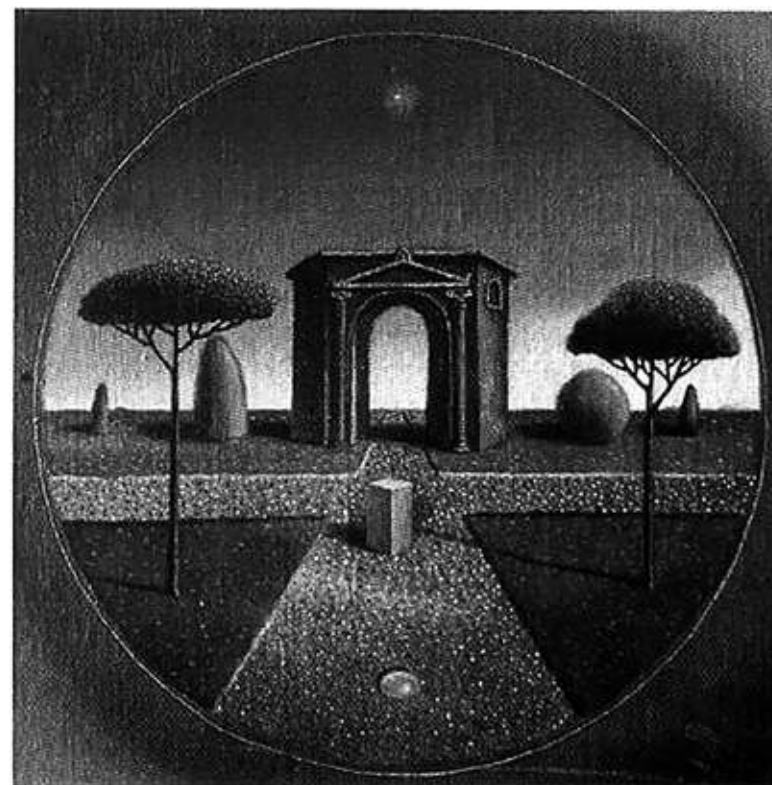
(niedawna wystawa w Warszawie) robi coś za darmo. Chociaż właściciel ściany z jego murałem zainkasował 6-cyfrową kwotę. U nas goni policja gafficiarzy i pacykarzy od ścian, a jeśli jest zamówienie, to trzeba zmyć, jak w warszawskim metrze na jednej ze stacji: baranki zbawione wznosiły się w obłoczkach w pozie na wznak, à la missio-naire. Prawda bo prawda: za pieniądze ksiądz się modli, za pieniądze lud się podli.

Nagrodę Nobla 2020 w dziedzinie literatury otrzymała amerykańska poetka Louise Glück. Autorka ze Stanów Zjednoczonych wygrała dzięki „swojemu niepowtarzalnemu poetyckiemu głosowi, który poprzez swoje surowe piękno czyni indywidualną egzystencję uniwersalną”. Jej prace znane są z emocjonalnej intensywności i odwoływania się do mitów, historii lub natury w celu snucia rozważań na temat osobistych doświadczeń i współczesnego życia.

Ze względu na koronawirusa Akademia Szwedzka ma nadzieję zaprosić ją na uroczystość w 2021.

Dotąd Glück zdobyła wiele ważnych wyróżnień literackich w USA, w tym National Humanities Medal, Nagrodę Pulitzera, National Book Award, National Book Critics Circle Award i Bollingen Prize. Jest adiunktem na Uniwersytecie Yale. Mieszka w Cambridge, Massachusetts. ■

UMB



Malarskie porządkowanie chaosu

Postawa artystyczna Henryka Wańka umyka jednoznacznym interpretacjom; bo pole jego twórczej aktywności obejmuje zarówno mistrzowskie realizacje malarskie i rysunkowe, scenografię i wytwory plakatowe, ale także szeroką paletę dokonań literackich (od poezji do prozy), a przy tym jest on również autorem znakomitych esejów i artykułów publicystyczno- krytycznych. Innymi słowy autor ten wypowiada się poprzez różne media, nie wyłączając tego najbardziej naturalnego jakim jest słowna wypowiedź; słynie on bowiem z dociekliwego gawędziarstwa – co znajduje swoje uzasadnienie w szerokości zainteresowań i pasji poznawczych tego bywalca Śląska oraz znawcy historii, tradycji i stopniowo odkrywanych tajemnic tego regionu. Waniek urodził się w Oświęcimiu, ale ważną część życia spędził w Katowicach, gdzie studiował na kierunku grafiki (w ramach krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych – studia zakończył w 1970 r.) i gdzie związał się z grupą twórców o wyraźnej fantastyczno-magicznej orientacji świadomościowej. To towarzystwo pokrewnych dusz skupione w grupie „Oneiron” (Andrzej Urbanowicz, Urszula Broll, Antoni Halor, Zygmunt Stuchlik i Henryk Waniek) preferowało sztukę zdecydowanie przeciwstawiającą się, obowiązującym jeszcze w latach 50. i 60. tendencjom; najpierw narzucanej przez władze orientacji socrealistycznej, a później – minimalistycznej i konceptualnej, lansowanej już przez tzw. artystyczną neoawangardę. Waniek (a także pozostali członkowie grupy) pogłębiali swe duchowe i kreacyjne możliwości w odkrywanych wówczas – w realiach autarkicznej polityki kulturalnej PRL-u – koncepcjach psychologii Junga, koncepcjach ezoteryzmu oraz wzorcach kultury Dalekiego Wschodu, z jej synkretycznymi i filozoficzno-religijnymi (np. hinduskim tantryzmem czy buddyzmem zen) inspiracjami... Toteż obrazy tego kręgu twórczego łączyły w sobie motywy odnoszące się i do zachodniej magii czy alchemii, ale też nawiązywały do europejskiego surrealizmu (np. w tzw. wspólnie realizowanych „Czarnych Kartach”), bądź wprost w ujęciach odnoszących się do ikonografii buddyjskiej.

Paralelność twórczej aktywności Henryka Wańka w domenach sztuk wizualnych i literatury można przypisać jego permanentnej chęci poszukiwania jedności (w oglądzie świata) w wielości wyobrażeń; to swoisty zamiar przyswojenia a wręcz porządkowania owego „chaosu” w jakim przedstawia się nam rzeczywistość i określające ją warstwy historycznych zdarzeń, faktów i kulturowych przekazów. Odkrywanie (dla siebie) tego

mikrokosmosu danej przestrzeni, rozumianej i geograficznie, i mitologicznie, czy świadomościowo, okazało się być wyzwaniem, które określiło jego osobną postawę twórczą. Źródłem artystycznej penetracji Wańka stał się bowiem region niezwykle skomplikowany historycznie i kulturowo, jakim był i jest Śląsk – rozciągający się od Oświęcimia do Zgorzelca – obszar ciągle nie do końca poznany, czy kulturowo „oswojony”, a jednocześnie niezwykle atrakcyjny w swej treści. Śląsk – to bowiem złożony konglomerat różnych historii i społecznych wpływów; od żywiołu niemieckiego, polskiego i czeskiego do żydowskiego, które w tej przestrzeni egzystowały i pozostawiały po sobie dowody swej aktywności. Obszar Śląska geograficznie różni się: Górny Śląsk – silnie zurbanizowany, gospodarczo rozwinięty o tradycjach przemysłowych i kulturze zdominowanej przez tzw. „familioki”. Natomiast Dolny Śląsk, również rozwinięty gospodarczo (rolniczo- rzemieślniczy), niemniej znamienity górzystymi krajobrazami o własnej mitologii i legendach. W swej bogatej twórczości literackiej Waniek zwykle wykorzystywał właśnie tę nie do końca przyswojoną i odkrytą „inność” Dolnego Śląska, jego historię i legendę, bogatą przykładami prac „niemieckich mistyków śląskich” i lokalnymi przekazami utrwalanymi w piśmiennictwie. Jednak to nie twórczość literacka jest tu przedmiotem zainteresowania lecz właśnie zamiar skrótownego wglądu w jego aktywność plastyczną, której skromny przykład towarzyszy edycji tego zeszytu. Na co więc warto zwrócić uwagę w równie bogatej; w tym zakresie, twórczości tego artysty?

Niezależnie od związków i współpracy grupowej w kooperatywie „Oneiron” (aktywność tej, o wspólnych przekonaniach, formacji twórczej zamyka się w latach 1965-1976), Waniek realizuje się również w koncepcjach własnej, pieczołowicie wypracowanej stylistyce i tematyce, odróżniającej jego prace od dokonań np. Urbanowicza czy Broll.

Wyraźnie indywidualna twórczość malarska Henryka Wańka datuje się od końca lat 60. i początku lat 70., kiedy wysłał on swoją pracę na VI Salon Marcowy w Zakopanem, gdzie dominowały obrazy ekspresyjne i zdecydowanie nie zgodne z „obowiązującą” już wtedy presją neoawangardowych manifestacji. Waniek – jak sam twierdzi* – już wtedy odrzucał „sztywne” reguły akademickiej poprawności i preferował w swej twórczości inspiracje płynące z tradycji art.-nouveau, twórczości Nazareńczyków i pre-rafaelitów itd.; co okazało się sposobem na wyrażenie nonkonformistyczne ujęcia prac. Te jego ówczesne „próbowanie” i poszukiwanie doprowadziło do fascynacji martwą naturą. Holenderscy malarze XVII wieku okazali się dla artysty pierwszymi i znaczącymi mistrzami i nauczycielami warsztatu. Fascynacja martwą naturą określiła image ich autora: „Te wszystkie owoce, kwiaty, naczynia, sztućce, instrumenty (...) – mówił Waniek – są opowieścią o tajemnicach świata przedmiotów i ich znaczeń. Lecz także o wewnętrznej przestrzeni obrazu”. Ten kierunek malarskich penetracji zdecydował chyba też o wyraźnym odejściu artysty od figuralizmu, którym imponował mu chociażby Zdzisław Beksiński, a także swymi ilustracjami – William Blake.

Waniek rozszerza swoją tematykę obrazowania o przedstawienie krajobrazu naturalnego i architektonicznego. Źródłem takiego obrazowania rzeczywistości były niewątpliwie równocześnie prowadzone przez artystę studia nad tradycjami okultyzmu i mistyki – stąd owo przekonanie: „...że sens każdej sztuki zasadza się na odkrywaniu tego, co ukryte. Temu, co widać i co widzą wszyscy, sztuka nie jest potrzebna”. To przekonanie, zresztą głoszone w teorii sztuki już od końca XIX wieku, wróciło w czasach po dokonaniach Kandynskiego, Malewicza i całej rzeszy eksploratorów snów i wyobraźni w nadrealizmie. W uzasadnieniu dokonań Wańka powoływano się właśnie na takie źródła, formułujące pojęcia tzw. realizmu magicznego oraz malarstwa metaforycznego – z czym artysta, jak wyraźnie stwierdził, zupełnie się nie zgadzał, idąc własną ścieżką „wydeptaną” już wtedy na kolejnej fascynacji; tym razem sztuką (i malarstwem) włoskim (cykl „Szkice włoskie” 1976-78) i jego techniką „stereoskopowej geometrii przestrzeni”. Że ten geometryczny rygor oddziaływał na świadomość artysty, świadczą jego doświadczenia z pobytu w Nowym Jorku (II połowa lat 80.) i swoisty „protest” przeciwko despotyzmowi kątów prostych, czy uwięzienia w geometrycznym schematyzmie domów i ulic oraz zwrot ku „rytmom płynności natury”. I ten zwrot ku naturze, czystej, o własnej „scenografii” i „geometrii” (dostrzeżeniu bowiem pewnej linearności w ukształtowaniu krajobrazu) sprowokował artystę do zajęcia się tematyką krajobrazową, choć przedstawianą jako swoisty spektakl natury (np. seria prac: „Teatr świata – 1977-78”).

Ale też w tym okresie rodzą się wątpliwości malarza co do możliwości pełnego oddania tego co jest widzialne i jednocześnie – ukryte, niewidzialne. Po koniec lat 70. i w początkach 80. Waniek niemal wygasza swoją aktywność plastyczną, realizując się intensywniej w literaturze. Gdy w 1981 r. wraca do malarstwa, to wraca do magicznego przedstawiania krajobrazów; fascynują go szczególnie góry (Góry Izerskie, Stołowe, Ślęza, mistyczny Zamek Wieczorny z Dolnego Śląska). Tu (w tych rejonach) Waniek sytuje swój wykreowany świat, z jego czterema żywiołami (Cztery – to liczba magiczna zgodnie z najstarszą tradycją dla odczuć artysty). Powstają obrazy, w których zmitologizowany pejzaż (labirynty, góry, emanacje światła itd.) jest oddany poprzez owe „fantomy natury” – zewnętrznie wydany pejzaż (miejsce szczególne) tego, co jest wewnętrznym, duchowym krajobrazem artysty, takim, który kumuluje w sobie i to, co jest niedostępne (góra, labirynt) i to, co widzialnie przybliża te widoki (lub poprzez sny o nich), a co wciąga również w swoją rozbudowaną narrację; trzeba bowiem pamiętać, że malarz Waniek jest również pisarzem o niezwykle „malarskiej” wyobraźni użytych słów i dociekań. Dlatego ciągle prowadzi on swoisty spór ze sobą jako pisarzem i jako malarzem. Cyklicznie porzuca jedno medium na rzecz drugiego – by zbliżyć się do tego, co jest niewyraźne, a co może służyć owemu wewnętrznemu uporządkowaniu otaczającego świata, jego widoków i niewidoczności.

Wszystkie cytaty w tekście odnoszą się do artykułu H. Wańka: Obrazy utracone...

Źródła:

P. Mrass: Oneiron. Ezoteryczny krąg artystów z Katowic.

Z. Stuchlik: Katowicki underground artystyczny po 1953 roku.

K. Ćwiklak: Czytanie świata: Henryk Waniek – pisarz, malarz, outsider.

H. Waniek: Obrazy utracone. Obrazy zachowane; Katalog BWA, Jelenia Góra, 1998. ■

ANDRZEJ SAJ

